

SIDNEY SHELDON

NIEZAWODNY PLAN

THE BEST LAID PLANS

Przełożyła Wiesława Schaitterowa

Wydanie polskie: 1999

Wydanie oryginalne: 1997

TMN

Książkę tę dedykuję
Tobie

Rozdział pierwszy

Pierwsze słowa w pamiętniku Leslie Stewart brzmiały:

Kochany pamiętniku, dziś rano poznałam mężczyznę, który zostanie moim mężem.

To proste, optymistyczne stwierdzenie nie zapowiadało w najmniejszym stopniu szeregu wydarzeń, które miały nastąpić.

Był to jeden z tych rzadkich dni, kiedy można się spodziewać tylko dobrych rzeczy, kiedy nic nie może się nie udać, nic nie śmie się nie udać. Leslie Stewart nie interesowała się astrologią, ale tego ranka, gdy przerzucała strony „Lexington Herald-Leader”, jej wzrok przyciągnął horoskop Zoltaire’a na szpalcie z przepowiedniami.

Lew 23 (lipca – 22 sierpnia)

Księżyc w nowiu opromienia twoje życie uczuciowe. Znajdujesz się u szczytu cyklu lunarnego i musisz poświęcić baczną uwagę pewnemu ekscytującemu wydarzeniu, które cię spotka w życiu. Twoim znakiem bliźniaczym jest Panna. To będzie pamiętny dzień. Bądź przygotowana, wykorzystaj go.

„Mam być przygotowana, żeby wykorzystać co? – pomyślała z kwaśną miną. – Dzień dzisiejszy będzie taki sam jak wszystkie inne dni. Astrologia to bzdura, słodkie obietnice dla głupców”.

Leslie Stewart pracowała w firmie Bailey i Tomkins w Lexington, w stanie Kentucky. Kierowała działem reklamy i public relations. Tego popołudnia miała zaplanowane trzy spotkania: pierwsze ze spółką zajmującą się produkcją nawozów sztucznych; kierownictwo spółki było zachwycone nową kampanią reklamową, którą dla nich przygotowała. Przypadł im zwłaszcza do gustu początek reklamowego sloganu: „Jeżeli chcecie wachać róże...” Drugie spotkanie – z farmerami zajmującymi się hodowlą koni i trzecie – z przedstawicielami spółki węglowej. To ma być pamiętny dzień?

Leslie Stewart miała prawie trzydzieści lat, była szczupłą, kusząco zgrabną i odznaczała się nieco egzotyczną urodą. Miała ciemnoszare oczy, wydatne kości policzkowe i miękkie długie włosy w kolorze miodu, czesała się z elegancką prostotą. Przyjaciółka Leslie powiedziała jej kiedyś: „Jeśli jesteś piękna, masz głowę na karku i waginę, możesz mieć u stóp cały świat”.

Leslie Stewart była piękna, jej współczynnik inteligencji wynosił 170, a natura zadbała o resztę. Mimo to uważała, że wygląd działa na jej niekorzyść. Mężczyźni bez przerwy przychodzili do niej z jakimiś sprawami albo jej się oświadczaali, ale niewielu z nich naprawdę się starało poznać ją bliżej.

Nie licząc dwóch sekretarek, Leslie była jedyną kobietą w firmie Bailey i Tomkins. Pracowało tu piętnastu mężczyzn. Leslie wystarczyło mniej niż tydzień, żeby się zorientować, że jest inteligentniejsza od nich wszystkich. Ale to odkrycie pozostawiła dla siebie.

Na początku obaj wspólnicy – Jim Bailey, otyły facet po czterdziestce, o łagodnym głosie, i Al Tomkins, dziesięć lat młodszy od Baileya, chorobliwie chudy, z nadkwasotą, cierpiący na anoreksję – każdy z osobna próbowali zaciągnąć Leslie do łóżka.

Powstrzymywała ich zapędy w bardzo prosty sposób:

– Poproś mnie jeszcze raz, a odejdę.

To położyło kres propozycjom. Leslie była bowiem zbyt cennym pracownikiem, żeby mogli ryzykować jej stratę.

W pierwszym tygodniu pracy, podczas przerwy na kawę, Leslie opowiedziała swoim kolegom dowcip:

– Trzech mężczyzn spotkało raz kobietę, która miała dar spełniania życzeń i obiecała każdemu, że spełni jedno jego życzenie. Pierwszy poprosił: „Chciałbym być o dwadzieścia pięć procent inteligentniejszy”. Kobieta zmrużyła oczy, a mężczyzna krzyknął: „Hej, już czuję się inteligentniejszy”. Drugi mężczyzna powiedział: „Ja chciałbym być o pięćdziesiąt procent inteligentniejszy”. Kobieta znów zmrużyła oczy, a mężczyzna zawołał: „To cudowne. Wydaje mi się, że rozumiem rzeczy, których dawniej nie pojmowałem”. Trzeci mężczyzna zaś zażądał: „Ja chcę być o sto procent inteligentniejszy”. Cudotwórczyni zmrużyła oczy i mężczyzna zamienił się w kobietę.

Leslie patrzyła wyczekująco na siedzących przy stoliku mężczyzn. Wszyscy gapili się na nią, nie widząc w tej historyjce nic śmiesznego.

No właśnie.

Pamiętny dzień, który astrolog obiecywał Leslie, rozpoczął się tego ranka o godzinie jedenastej. Jim Bailey wkroczył do ciasnej klitki, w której urzędowała, i oznajmił:

– Mamy nowego klienta. Chcę, żebyś się nim zajęła.

Leslie prowadziła już więcej spraw niż ktokolwiek inny w agencji, ale wiedziała, że lepiej się nie sprzeciwiać.

– Świetnie – powiedziała. – Co to jest?

– Nie co, tylko kto. Słyszałaś oczywiście o Oliverze Russellu?

Wszyscy słyszeli o Oliverze Russellu. Był to miejscowy prawnik kandydujący na stanowisko gubernatora. Jego twarz spoglądała z plakatów porozwieszanych w całym stanie Kentucky. Ze swoim znakomitym prawniczym dorobkiem uważany był za najlepszego kandydata na gubernatora. Występował we wszystkich talkshows, nadawanych przez największe stacje telewizyjne w Lexington: WDKY, WTVQ, WKYT, i przemawiał na falach popularnych miejscowych rozgłośni radiowych WKQQ i WLRO. Uderzająco przystojny, z czarną niesforną czupryną i ciemnymi oczami, odznaczający się atletyczną budową i ciepłym uśmiechem, miał opinię faceta, który sypiał z większością dam w Lexington.

– Owszem, słyszałam o nim – odparła Leslie. – Co mamy dla niego zrobić?

– Będziemy się starali pomóc mu zostać gubernatorem stanu Kentucky. Właśnie do nas jedzie.

Oliver Russell zjawił się pięć minut później. W bezpośrednim kontakcie okazał się jeszcze bardziej atrakcyjny niż na fotografiach.

Kiedy go przedstawiono Leslie, uśmiechnął się ciepło.

– Wiele o pani słyszałem. Tak się cieszę, że to pani zajmie się moją kampanią wyborczą.

Okazał się zupełnie inny, niż Leslie się spodziewała. W tym mężczyźnie była jakaś zupełnie rozbrajająca szczerść. Przez chwilę Leslie brakowało słów.

– Ja... dziękuję. Proszę, niech pan spocznie.

Oliver Russell usiadł.

– Zacznijmy od początku – zaproponowała Leslie. – Dlaczego pan się ubiega o stanowisko gubernatora?

– To bardzo proste. Kentucky to cudowny stan. Wiemy o tym, ponieważ tu mieszkamy i potrafimy cieszyć się jego urokiem. Ale większość mieszkańców tego kraju widzi w nas zgraję ćwoków. Chcę zmienić to wyobrażenie. Kentucky ma więcej do zaoferowania niż dwanaście pozostałych stanów razem wziętych. Tutaj bierze swój początek historia tego kraju. Mamy jeden z najstarszych gmachów rządowych w Ameryce. Stan Kentucky dał temu krajowi dwóch prezydentów. Stąd wywodzą się Daniel Boone i Kit Carson, i Roy Bean. Mamy najpiękniejsze na świecie krajobrazy, podziemne groty, rzeki, łąki porośnięte typową dla stanu Kentucky trawą, wiechliną. Wszystko. Chcę to odkryć przed resztą świata.

Mówił z głębokim przekonaniem i Leslie poczuła mu się bardzo bliska. Pomyślała o szpalcie z horoskopem. „Księżyc w nowiu opromienia twoje życie uczuciowe. To będzie pamiętny dzień. Bądź przygotowana, wykorzystaj go”.

Oliver ciągnął dalej:

– Kampania się nie powiedzie, jeśli nie będzie pani wierzyła w zwycięstwo tak mocno, jak ja w nie wierzę.

– Ja też wierzę – powiedziała Leslie szybko. Czy nie za szybko? – Naprawdę już się na nie cieszę. – Zawahała się, ale po chwili zebrała się na odwagę: – Czy mogę pana o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Jaki jest pański znak Zodiaku?

– Panna.

Kiedy Oliver Russel wyszedł, Leslie pobiegła do gabinetu Jima Baileya.

– On mi się podoba – powiedziała. – Jest szczery. Naprawdę mu zależy, żeby wygrać. Byłby świetnym gubernatorem.

Jim popatrzył na nią zamyślony.

– To nie będzie łatwe.

Leslie uniosła ze zdziwieniem brwi.

– O? Czemu?

Bailey wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien, ale dzieje się coś, czego nie potrafię wytłumaczyć. Widziałas Russella na tych wszystkich plakatach i w telewizji?

– Tak.

– Otóż to wszystko zniknęło, zostało wstrzymane.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

– Nikt nie wie na pewno, ale krąży mnóstwo dziwnych pogłosek. Jedna z nich to że ktoś stał za Russellem, opłacał całą jego kampanię i nagle z jakiegoś powodu przestał. Opuścił go.

– W połowie kampanii, którą wygrywa? To nie miałoby sensu, Jim.

– Wiem.

– Dlaczego on do nas przyszedł?

– Bo naprawdę chce wygrać. Myślę, że jest ambitny. I czuje, że mógłby coś zmienić. Chciałby, żebyśmy mu wymyślili kampanię, która nie będzie kosztowała furi pieniędzy. Nie stać go na dalsze opłacanie czasu antenowego ani na wiele reklam. Prawdę powiedziawszy, wszystko, co możemy dla niego zrobić, to przeprowadzać z nim wywiady, umieszczać w prasie artykuły o nim, tego rodzaju rzeczy. – Pokręcił głową. – Gubernator Addison wydaje fortunę na swoją kampanię. W ciągu ostatnich dwóch tygodni liczba oddanych na Russella głosów bardzo spadła. Szkoda. To zdolny prawnik. Robił wiele pro publico bono. Myślę, że byłby dobrym gubernatorem.

Tego wieczora Leslie napisała pierwsze zdanie w swoim pamiętniku:

Kochany pamiętniku, dziś rano poznałam mężczyznę, który zostanie moim mężem.

Wczesne dzieciństwo Leslie Stewart można nazwać sielanką. Była nadzwyczaj inteligentnym dzieckiem. Ojciec pracował w lexingtonskim college'u, wykładał język angielski, matka zajmowała się domem. Ojciec, przystojny mężczyzna o urodzie patrycjusza, intelektualista, troszczył się o rodzinę i dbał o to, by zawsze razem spędzali wakacje i razem podróżowali. Uwielbiał Leslie. „Jesteś dziewczyneczką tatusia” – powtarzał często. Mówił jej, jaka jest śliczna, chwalił za dobre stopnie, wzorowe zachowanie, gratulował odpowiednich przyjaciół. W jego oczach Leslie nie mogła postąpić niewłaściwie. Na dziewiąte urodziny kupił jej piękną aksamitną sukienkę z koronkowymi mankietkami. Chciał, żeby ją włożyła i paradowała w niej przed swoimi koleżankami, kiedy przyjdą na urodzinowe przyjęcie.

– Czyż nie jest piękna? – zachwycił się.

Leslie też go uwielbiała.

W rok później, pewnego ranka w jednym ułamku sekundy cudowne życie Leslie się skończyło. Matka z twarzą zalaną łzami posadziła ją koło siebie.

– Kochanie, twój tatuś... opuścił nas.

Z początku Leslie nie zrozumiała.

– Kiedy wróci? – zapytała.

– On nie wróci.

Każde słowo raniło ją jak ostrze noża.

„Matka go wypędziła” – pomyślała. Było jej żal matki, bo teraz czekała ją sprawa rozwodowa i walka o prawa opiekuńcze. Ojciec nigdy jej nie opuści. Nigdy. „On do mnie przyjedzie” – uspokajała się.

Ale tygodnie mijały i ojciec się nie pojawiał. „Nie pozwalają mi przyjść, nie pozwalają się ze mną widywać – uznała. – Matka chce go w ten sposób ukarać”.

To stara ciotka wytłumaczyła dziecku, że nie było żadnej walki o prawa opiekuńcze. Ojciec Leslie zakochał się w pewnej wdowie, która wykładała na uniwersytecie, i przeniósł się do jej domu na ulicy Limestone.

Pewnego dnia, kiedy dziewczynka była z matką na zakupach, ta pokazała jej ten dom.

– To tutaj mieszkają – powiedziała z goryczą.

Leslie postanowiła odwiedzić ojca. „Jak mnie zobaczy – pomyślała – postanowi wrócić do domu”.

W któryś piątek poszła po lekcjach na ulicę Limestone i zadzwoniła do drzwi. Otworzyła je dziewczynka w jej wieku. Miała na sobie brązową aksamitną sukienkę z koronkowymi mankietkami. Leslie, wstrząśnięta, wlepiła w dziewczynkę wzrok.

Ta przyglądała się jej, zaciekawiona.

– Kim ty jesteś?

Leslie uciekła.

Przez następny rok Leslie obserwowała matkę, która coraz bardziej zamykała się w sobie. Straciła całe zainteresowanie życiem. Leslie dawniej myślała, że powiedzenie: „Umarł, bo pękło mu serce” to czczy frazes, ale teraz bezradnie patrzyła, jak matka niknie w oczach. W końcu umarła i kiedy ludzie pytali Leslie, co było przyczyną jej śmierci, odpowiadała: „Pękło jej serce”.

I wtedy postanowiła, że nigdy żaden mężczyzna nie zrobi jej czegoś takiego.

Po śmierci matki Leslie przeprowadziła się do ciotki. Uczęszczała do gimnazjum w Bryan Station, a potem z odznaczeniem ukończyła uniwersytet w stanie Kentucky. W ostatnim roku nauki w szkole średniej została wybrana królową piękności, ale odrzuciła liczne oferty agencji modelek.

Miała dwa krótkie romanse. Jeden w czasie nauki w college’u, z bohaterem rozgrywek futbolowych, drugi z profesorem ekonomii. Obaj kochankowie szybko ją znudzili. Fakt, że była od nich obu inteligentniejsza.

Tuż przed otrzymaniem przez Leslie dyplomu umarła jej ciotka. Leslie ukończyła studia i zgłosiła się do pracy w agencji Baileya i Tomkinsa zajmującej się reklamą i public relations. Jej biura mieściły się w ceglanym budynku z miedzianym dachem. Miał kształt litery U, a jego dziedziniec zdobiła fontanna.

Starszy wspólnik, Jim Bailey, przeczytał uważnie jej podanie i pokiwał aprobowująco głową.

- Robi wrażenie. Ma pani szczęście. Potrzebujemy sekretarki.
- Sekretarki? Spodziewałam się...
- Słucham?
- Nie. Nic.

Leslie zaczęła pracować jako sekretarka. Notowała przebieg wszystkich zebrań, ale cały czas oceniała sytuację i zastanawiała się nad udoskonalaniem proponowanych kampanii reklamowych. Pewnego dnia wystąpił kierownik księgowości.

– Zastanawiałem się nad idealnym znakiem graficznym reklamy rancza „Beef Chili”. Na etykiecie puszki można by dać wizerunek kowboja ciągnącego na postronku krowę. Sugerowałoby to, że wołowina jest świeża, i...

„Koszmarne pomysły” – pomyślała Leslie.

Wszyscy zaczęli się na nią gapić i dopiero wtedy, ku swemu przerażeniu, zdała sobie sprawę, że powiedziała to głośno.

- Czy zechciałaby pani to wyjaśnić, młoda damo? – zapytał ktoś.
- Ja... – Jakże pragnęła znaleźć się teraz całkiem gdzie indziej. Gdziekolwiek. Ale wszyscy czekali. Leslie nabrała głęboko powietrza. – Kiedy ludzie jedzą mięso, nie chcą, by im przypominano, że spożywają zabite zwierzę.

Zapadła głęboka cisza. Jim Bailey odchrząknął.

– Może powinniśmy się nad tym jeszcze trochę zastanowić?

W następnym tygodniu, podczas narady nad metodą rozpowszechniania nowego mydła „Uroda”, jeden z kierowników powiedział:

– Wykorzystajmy laureatki konkursów piękności.

– Proszę mi wybaczyć – wtrąciła nieśmiało Leslie. – Ale wydaje mi się, że to już było. Dlaczego nie mielibyśmy zaproponować udziału w reklamie ślicznym dziewczętom z personelu linii lotniczych całego świata, żeby pokazać, że nasze mydło jest znane wszędzie?

Odtąd podczas wszystkich następnych zebrań mężczyźni zawsze zwracali się do Leslie z prośbą o opinię.

Rok później awansowała. Zaczęła sama pisać teksty reklam. A dwa lata potem została kierowniczką działu reklamy i rzeczniczką firmy.

Oliver Russell był pierwszym wyzwaniem, przed którym Leslie stanęła w agencji. W dwa tygodnie po jego wizycie Bailey zasugerował jej, że może lepiej byłoby go spławić, ponieważ nie będzie go stać na uiszczenie zwyczajowych opłat, ale Leslie przekonała szefa, że powinni utrzymać to zlecenie.

– Powiedzmy, że zrobimy to pro publico bono.

Bailey przez chwilę przyglądał się jej bacznie.

– Zgoda – zdecydował.

Leslie i Oliver Russell siedzieli na ławce w Triangle Park. Dzień był chłodny, deszczowy, typowo jesienny. Łagodny wietrzyk wiał od strony jeziora.

– Nienawidzę polityki – powiedział Oliver Russell.

Leslie popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– To dlaczego, u licha, pan...

– Ponieważ chcę zmienić istniejący system, Leslie. Władzę u nas przejęli lobbyści i różne towarzystwa, dzięki czemu mogą powierzać stanowiska niewłaściwym ludziom i potem ich kontrolować. Jest mnóstwo rzeczy, których chcę dokonać – mówił z pasją. – Ludzie, którzy rządzą tym krajem, przemienili go w klub „oldboyów”. Bardziej troszczą się o siebie niż o innych. To nie jest w porządku, i mam zamiar spróbować to zmienić.

Leslie przysłuchiwała się temu, co mówił, i myślała: „On potrafi tego dokonać”. Mówił z takim budzącym szacunek podnieceniem. Co prawda – stwierdziła – wszystko w nim jest podniecające. Nigdy przedtem nie czuła czegoś takiego w stosunku do mężczyzny, i było to przyjemne doświadczenie. Nie знаła sposobu, żeby się dowiedzieć, co on czuje do niej. „Zawsze się zachowuje jak prawdziwy dżentelmen, niech go licha”. Wydawało jej się, że co pięć minut ludzie podchodzą do parkowej ławki, na której siedzieli, żeby uścisnąć Oliverowi dłoń i życzyć mu wszystkiego dobrego. Kobiety rzucały w kierunku Leslie mordercze

spojrzenia. „Prawdopodobnie ze wszystkimi wychodził gdzieś wieczorami – pomyślała. – Prawdopodobnie wszystkie z nim sypiały. No cóż, nie moja sprawa”.

Słyszała, że do niedawna Oliver spotykał się z córką senatora. Zastanawiała się, co się stało. „To także nie moja sprawa”.

Nic nie można było na to poradzić, że kampania wyborcza Olivera szła źle. Bez pieniędzy na opłacenie personelu, bez telewizji, radia i reklam w prasie nie sposób było rywalizować z senatorem Carym Addisonem, którego wizerunek wydawał się wszechobecny. Dzięki zapobiegliwości Leslie Oliver pojawiał się na towarzyskich piknikach, w fabrykach, brał udział w mnóstwie imprez o charakterze charytatywnym, ale wiedziała, że wszystkie jego wystąpienia można by określić jako drugoligowe, i bardzo ją to martwiło.

– Widziałas ostatnie wyniki? – zapytał ją Jim Bailey. – Twój chłopak leci w dół na łeb na szyję.

„Nic na to nie mogę poradzić” – pomyślała Leslie.

Leslie i Oliver jedli kolację w restauracji „Chez nous”.

– Nie wiecie się, co? – zapytał spokojnie Oliver.

– Jest jeszcze mnóstwo czasu – odpowiedziała Leslie uspokajająco. – Kiedy wyborcy pana poznają...

– Czytałem wyniki głosowania. Chcę, żeby pani wiedziała, że doceniam wszystko, co starała się pani dla mnie zrobić, Leslie. Była pani wspaniała.

Siedziała przy stoliku naprzeciw niego, przyglądała mu się i myślała. „To najcudowniejszy człowiek, jakiego w swym życiu spotkałam, a ja nie potrafię mu pomóc”. Pragnęła go wziąć w ramiona, tulić do siebie i pocieszać. „Pocieszać? Kogo ja oszukuję?”

Kiedy wstali i mieli zamiar wychodzić, do ich stolika podeszła jakaś para z dwiema małymi dziewczynkami.

– Oliver, jak się masz!

Mówiący te słowa był atrakcyjnym mężczyzną po czterdziestce. Na jednym oku miał czarną opaskę, co nadawało mu łobuzerski wygląd sympatycznego pirata.

Oliver wstał i wyciągnął dłoń.

– Cześć, Peter. Chciałbym, żebyś poznał Leslie Stewart. Peter Tager.

– Dzień dobry, Leslie. – Tager skinął w kierunku swojej rodziny. – To jest moja żona Betsy, to Elizabeth, a to Rebecca. – W jego głosie brzmiała niezwykła duma. – Ogromnie mi przykro z powodu tego, co się stało – zwrócił się do Olivera. – To cholerny wstyd. Z przykrością to zrobiłem, ale nie miałem wyboru.

– Rozumiem, Peter.

– Jeśli mógłbym jakoś pomóc...

– To nie ma znaczenia. Czuję się świetnie.

– Wiesz, że życzę ci wszystkiego najlepszego.

Kiedy wracali do domu, Leslie zapytała:

– O co chodziło?

Oliver zaczął coś mówić, ale urwał.

– Nieważne.

Leslie mieszkała w Lexington, w dzielnicy Brandywine, w schludnym mieszkanku z jedną sypialnią. Kiedy zbliżyli się do jej domu, Oliver rzekł z wahaniem:

– Leslie... ja wiem, że pani agencja obsługuje mnie niemal za darmo, ale powiem szczerze: uważam, że traci pani czas. Może byłoby lepiej, żebym po prostu zrezygnował?

– Nie. – Siła jej głosu zdziwiła ją samą. – Nie może pan zrezygnować. Znajdziemy jakiś skuteczny sposób.

Oliver odwrócił się i spojrzał na nią.

– Pani naprawdę na tym zależy?

„Czy ja nie zanadto się angażuję w tę sprawę?” – pomyślała.

– Tak – odpowiedziała spokojnie. – Naprawdę mi zależy.

Kiedy doszli do jej mieszkania, Leslie po chwili wahania zapytała:

– Ma pan ochotę wstąpić?

Długo na nią patrzył.

– Tak.

Potem nigdy nie mogła sobie przypomnieć, kto zrobił pierwszy krok. Pamięta tylko, że rozbierali się nawzajem, a potem ona znalazła się w jego ramionach i kochali się pośpiesznie, z dziką namiętnością, a potem powoli, spokojnie zapadali w jakieś ponadczasowe, ekstatyczne ukojenie. Dla Leslie było to najcudowniejsze przeżycie, jakiego kiedykolwiek doświadczyła.

Pozostali razem całą noc i czuli się jak zaczarowani. Oliver był nienasycony, dawał i żądał jednocześnie. „Zachowuje się jak zwierzę – pomyślała Leslie. – O mój Boże, ja także”.

Rano, po śniadaniu składającym się z soku pomarańczowego, grzanek i jajecznicy na bekonie, Leslie powiedziała:

– W piątek organizują piknik nad jeziorem Green River, Oliverze. Będzie tam mnóstwo ludzi. Postaram się umożliwić ci wygłoszenie przemówienia. Zakupimy czas antenowy, żeby wszyscy się dowiedzieli, że masz tam przyjść. No więc...

– Leslie – zaprotestował – ja nie mam na to pieniędzy.

– Och, nie przejmuj się tym – uspokajała go. – Agencja za to zapłaci.

Leslie zdawała sobie sprawę, że nie ma najmniejszej szansy, żeby agencja pokryła koszty tego wszystkiego. Miała zamiar zrobić to sama. Jimowi Baileyowi powie, że pieniądze ofiarował jakiś zwolennik Russella. I to będzie prawda.

„Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc” – postanowiła.

Na piknik nad jeziorem Green River zjechało ponad dwieście osób i kiedy Oliver przemówił do tłumu, wypadło to znakomicie.

– Połowa ludności tego kraju nie głosuje – powiedział. – Mamy najniższą frekwencję ze wszystkich uprzemysłowionych krajów na świecie: wynosi mniej niż pięćdziesiąt procent. Jeżeli chcemy coś zmienić, musicie z całą odpowiedzialnością zagwarantować, że te zmiany zostaną dokonane. To jest coś więcej niż odpowiedzialność, to jest przywilej. Zbliżają się wybory. Obojętne, czy będziecie głosować na mnie, czy na mojego przeciwnika. Przyjdźcie do urn.

Przyjęto go owacyjnie.

Leslie postarała się o to, aby Oliver pojawiał się na tyłu uroczystościach, na ilu było to możliwe. Przewodniczył otwarciu kliniki chorób dziecięcych i uroczystości oddania do użytku nowo zbudowanego mostu, przemawiał na zjazdach kobiet, robotników, na różnych imprezach charytatywnych i w domach rencistów. A jednak ciągle liczba oddawanych na niego głosów malała. Gdy tylko nie był zajęty kampanią, znajdowali z Leslie trochę czasu, aby pobyć razem. Wybierali się na przejażdżki po Triangle Park powozem zaprzężonym w konie, sobotnie popołudnia spędzali na targu staroci i jadali kolacje w restauracji „A la Lucie”. Oliver ofiarowywał Leslie kwiaty w dniu Świstaka Amerykańskiego i w rocznicę bitwy pod Bull Run, i pozostawiał miłosne liściki na jej automatycznej sekretarce. „Kochanie, gdzie jesteś? Tęsknię za tobą, tęsknię, tęsknię”.

„Jestem zakochany do szaleństwa w twojej automatycznej sekretarce. Czy ty masz pojęcie, jaki ona ma seksowny głos”?

„Wydaje mi się, że takie szczęście jest czymś nielegalnym. Kocham cię”.

Dla Leslie nie miało znaczenia, dokąd się wybierali z Oliverem. Po prostu chciała być z nim.

Jednego z najbardziej podniecających przeżyć dostarczyła im pewna przeprawa tratwą przez Fork River. Rozpoczęło się całkiem niewinnie, spokojnie, dopóki rzeka nie zaczęła płynąć zakolem, tworząc u podnóża góry gigantyczną pętlę; wystrzelały pionowo w górę całe serie ogłuszających, zatykających dech w piersiach fontann: pięć stóp... osiem stóp... dziewięć stóp, i tylko ten przerażający lęk, że tratwa rozleci się na pół na całej długości. Przeprawa trwała trzy i pół godziny i kiedy Leslie i Oliver zeszli na ląd, byli przemoknięci do suchej nitki i cieszyli się, że uszli z życiem. Nie mieli odwagi rozłączyć swych dłoni. A potem kochali się w lesie, na tylnym siedzeniu samochodu Olivera.

Pewnego dnia wczesnym wieczorem Oliver przygotował kolację u siebie, w pięknym domu w Versailles, niewielkim mieście w pobliżu Lexington. Menu stanowiły pieczone na grillu wspaniałe, soczyste steki, zapeklowane uprzednio w sojowym sosie z czosnkiem i ziołami; podał je z pieczonymi kartoflami, sałatą i doskonałym czerwonym winem.

– Jesteś wspaniałym kucharzem – pochwaliła go Leslie i przytuliła się do niego. – Prawdę powiedziawszy wszystko robisz wspaniale, kochanie.

– Dziękuję, skarbie. – Przypomniał sobie o czymś. – Mam dla ciebie małą niespodziankę. Chcę, żebyś coś wypróbowała.

Zniknął na moment w sypialni, z której po chwili wyszedł niosąc niewielką buteleczkę wypełnioną jakimś przezroczystym płynem.

– Oto ona – powiedział.

– Co to jest?

– Czy słyszałaś o superekstazie?

– Czy słyszałam? Właśnie ją przeżywam.

– Mam na myśli narkotyk o nazwie superekstaza. To jest podobno bardzo silny afrodyzjak.

Leslie skrzywiła się z niesmakiem.

– Kochanie, on nie jest ci potrzebny. Nie potrzebujemy go oboje. To może być niebezpieczne. – Po chwili wahania zapytała: – Często go stosujesz?

Oliver roześmiał się.

– Właściwie nigdy. Nie rób takiej miny. Dał mi to jeden z przyjaciół i powiedział, że bym spróbował. Zastosowałbym go po raz pierwszy.

– Nie będzie pierwszego razu – powiedziała Leslie. – Wyrzuć to, proszę.

– Masz rację. Oczywiście, zaraz to zrobię. – Wszedł do łazienki i po chwili Leslie usłyszała odgłos spuszczonej wody.

Oliver wrócił.

– Wszystko spłynęło. – Skrzywił się. – Komu jest potrzebna superekstaza w butelce. Ja mam ją w lepszym opakowaniu.

I wziął Leslie w ramiona.

Leslie czytała wiele romansów, słuchała piosenek o miłości, ale nic nie przygotowało jej na tę niewiarygodną rzeczywistość. Zawsze uważała, że romantyczne liryki to sentymentalna bzdura, pobożne marzenia. Teraz rozumiała lepiej. Świat nagle wydał się jej jaśniejszy, piękniejszy. Wszystko się zmieniło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a tą czarodziejską różdżką był Oliver Russell.

W pewien sobotni rano Oliver i Leslie spacerowali po Breaks Interstate Park, podziwiając piękno otaczającego ich krajobrazu.

– Nigdy nie wędrowałam tym szlakiem – powiedziała Leslie.

– Myślę, że ci się spodoba.

Zbliżyli się do miejsca, w którym ścieżka raptownie skręcała. Gdy minęli zakręt, Leslie stanęła jak wryta. Na środku ścieżki stała drewniana tablica, a na niej widniał ręcznie namalowany napis: „Leslie, czy wyjdiesz za mnie?”

Serce zaczęło jej bić mocniej. Bez słowa odwróciła się do Olivera, a on wziął ją w ramiona.

– Wyjdiesz za mnie?

„Jak to się stało, że czuję się taka szczęśliwa?” – zastanawiała się Leslie. Przytuliła się do niego mocno i szepnęła:

– Tak, kochanie. Oczywiście, że wyjdę za ciebie.

– Niestety, nie mogę ci obiecać, że poślubisz gubernatora, ale całkiem niezły ze mnie prawnik.

Wspięła się na palce i szepnęła:

– To mi całkowicie wystarczy.

Kilka dni później Leslie przebierała się wieczorem, bo mieli gdzieś pójść z Oliverem na kolację, gdy zadzwonił telefon.

– Kochanie, strasznie mi przykro, ale otrzymałem złą wiadomość. Muszę odwołać nasze spotkanie, gdyż mam być wieczorem na pewnym zebraniu. Wybaczysz mi?

Leslie uśmiechnęła się i powiedziała miękko:

– Już wybaczyłam.

Nazajutrz, gdy Leslie wzięła do ręki egzemplarz „State Journal”, zwrócił jej uwagę nagłówek: „W rzece Kentucky policja znalazła ciało kobiety”. Czytała dalej: „Dziś wczesnym rankiem w rzece Kentucky policja znalazła ciało nagiej kobiety, która mogła mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. Przeprowadza się sekcję zwłok, aby ustalić przyczynę śmierci”.

Przeszył ją dreszcz. „Umrzeć tak młodo. Czy miała kochanka? Męża? Dzięki Bogu, że ja żyję, jestem taka szczęśliwa i taka kochana”.

Odnosiło się wrażenie, że całe Lexington mówi o zbliżającym się ślubie. Lexington to niewielkie miasto, a Oliver Russell był popularną postacią. Stanowili z Leslie piękną parę: on przystojny, ciemnowłosy, ona ze swoją śliczną buzią, figurą i blond włosami w odcieniu miodu. Nowina rozeszła się lotem błyskawicy.

– Mam nadzieję, że facet zdaje sobie sprawę, jaki z niego szczęściarz – powiedział Jim Bailey.

– Oboje jesteśmy szczęściarzami – uśmiechnęła się Leslie.

– Macie zamiar uciec gdzieś po ślubie?

– Nie. Oliver chce mieć tradycyjny kościelny ślub. Weźmiemy go w Kaplicy Męki Pańskiej.

– Kiedy nastąpi to szczęśliwe wydarzenie?

– Za sześć tygodni.

Po kilku dniach znów ukazała się notatka na pierwszej stronie „State Journal”. „Sekcja zwłok wykazała, że kobieta znaleziona w rzece Kentucky, zidentyfikowana jako Lisa Burnette, sekretarka prawnika, umarła na skutek przedawkowania groźnego, sprzedawanego nielegalnie na ulicach narkotyku o nazwie superekstaza”.

Płyn superekstaza. Leslie przypomniała sobie wieczór spędzony z Oliverem. „Jakie szczęście, że on wyrzucił tę buteleczkę” – pomyślała.

Kilka następnych tygodni wypełniły gorączkowe przygotowania do ślubu. Tyle było do zrobienia. Wysłano zaproszenia do dwustu osób. Leslie znalazła sobie drużną i kupiła dla niej odpowiedni strój: długą sukienkę, odpowiednie pantofelki i rękawiczki. Dla siebie zrobiła zakupy w firmie Fayette Mall na Nicholasville Road. Wybrała długą do ziemi suknię o spódnicy z koła, z powłóczystym trenem, pasujące do niej pantofle i długie rękawiczki.

Oliver zamówił dla siebie czarny żakiet ze spodniami w prążki, szarą kamizelkę, białą koszulę z wykładanym kołnierzem i fularowy fontaż w paski. Drużbą miał być jeden z prawników z jego firmy.

– Wszystko gotowe – zawiadomił Leslie. – Zamówiłem, co trzeba, na weselne przyjęcie. Niemal wszyscy przyjęli zaproszenie.

Leslie poczuła przebiegający po plecach lekki dreszcz.

– Nie mogę się doczekać, kochanie.

W czwartkowy wieczór na tydzień przed ślubem Oliver przyszedł do mieszkania narzeczonej.

– Niestety coś się stało, Leslie. Jeden z moich klientów ma kłopoty. Będę musiał polecieć do Paryża, żeby wszystko wyjaśnić.

– Do Paryża? Jak długo cię nie będzie?

– Nie powinno mi to zająć więcej niż dwa, trzy dni. Najwyżej cztery. Jak wrócę, będziemy mieli jeszcze mnóstwo czasu.

– Powiedz pilotowi, żeby leciał ostrożnie.

– Obiecuję.

Po wyjściu Olivera Leslie wzięła do ręki leżącą na stole gazetę. Leniwie przerzucała strony, aż odnalazła horoskop Zoltaire’a. Przeczytała:

Lew (23 lipca – 22 sierpnia)

To nie jest dobry dzień na zmianę planów. Podejmowanie ryzyka może doprowadzić do poważnych kłopotów.

Leslie, zaniepokojona, przeczytała horoskop jeszcze raz. Kusilo ją, żeby zatelefonować do Olivera i powiedzieć mu, żeby nie wyjeżdżał. „Ależ to śmieszne – pomyślała. – Przecież to tylko jakiś idiotyczny horoskop”.

W poniedziałek Leslie nie otrzymała żadnej wiadomości od Olivera. Zatelefonowała do jego biura, ale personel też nie miał żadnych informacji. We wtorek także ani słowa. Leslie zaczynała wpaść w panikę. We środę o czwartej obudził ją natarcywy dzwonek telefonu. Usiadła na łóżku i pomyślała: „To Oliver! Dzięki Bogu”. Wiedziała, że powinna być na niego zła za to, że nie zadzwonił wcześniej, ale teraz to już nie miało znaczenia.

Podniosła słuchawkę.

– Oliver...

Usłyszała jakiś męski głos.

– Czy to panna Leslie Stewart?

Nagle przeniknął ją lodowaty chłód.

– Kto... kto mówi?

– Al Towers, „Associated Press”. W radiu podają pewną wiadomość i chcielibyśmy usłyszeć, jak pani zareagowała.

Stało się coś strasznego. Oliver nie żyje.

– Panno Stewart?

– Słucham. – Jej głos był zdławionym szeptem.

– Czy może pani potwierdzić otrzymaną wiadomość?

– Potwierdzić?

– Że Oliver Russell zeni się w Paryżu z córką senatora Todda Davisa.

Przez chwilę wydawało jej się, że pokój wiruje dookoła.

– Pani i pan Russell byliście zaręczeni, prawda? Gdybyśmy mogli uzyskać od pani potwierdzenie...

Leslie siedziała zmrożona.

– Panno Stewart...

Odzyskała głos.

– Tak. Ja... dobrze im życzę obojgu.

Zdrętwiała odłożyła słuchawkę. To jakiś koszmar. Za kilka minut obudzi się i stwierdzi, że to jej się śniło.

Ale to nie był sen. Znów została opuszczona. „Twój ojciec nie wróci”. Weszła do łazienki i popatrzyła na odbicie swojej bladej twarzy w lustrze. „W radiu podają pewną wiadomość.

Oliver ożenił się z kim innym. Jaki popełniłam błąd? W czym go zawiodłam?” Ale w głębi serca wiedziała, że to Oliver ją zawiodł. Odszedł. Czy potrafi teraz stawić czoło przyszłości?

Kiedy Leslie zjawiała się tego ranka w agencji, wszyscy starali się na nią nie patrzeć. Gdy weszła do pokoju Jima Baileya, obrzucił jednym spojrzeniem jej bladą twarz i powiedział:

– Nie powinnaś była dzisiaj przychodzić, Leslie. Dlaczego nie pójdziesz do domu i...

Wzięła głęboki oddech.

– Dziękuję. Nic mi nie będzie.

Radiowe i telewizyjne serwisy informacyjne oraz popołudniowe gazety pełne były szczegółów dotyczących paryskiego ślubu. Senator Todd Davis był bez wątpienia najbardziej wpływowym obywatelem stanu Kentucky i wiadomość o małżeństwie jego córki i o porzuceniu Leslie przez narzeczonego była nie lada sensacją.

Telefony w pokoju Leslie dzwoniły bez przerwy.

– Tu „Courier Journal”. Panno Stewart, czy może pani złożyć oświadczenie dotyczące tego ślubu?

– Tak. Jedyna rzecz, na której mi zależy, to szczęście Olivera Russella.

– Ale państwo mieliście się pobrać...

– Popełnilibyśmy błąd, pobierając się. Córka senatora Davisa pojawiła się pierwsza w jego życiu. Oczywiście, on nigdy tak naprawdę z nią się nie rozstał. Dobrze życzę im obojgu.

– Tu „State Journal” z Frankfort...

I tak bez przerwy.

Leslie się wydawało, że jedna połowa Lexington jej współczuje, a druga cieszy się z tego, co ją spotkało. Dokądkolwiek poszła, wszędzie słyszała szept i spieszenie przerywane rozmowy. Podjęła stanowczą decyzję, że nie będzie okazywać swoich uczuć.

– Jak mogła mu pani pozwolić na to, żeby...

– Kiedy się kogoś naprawdę kocha – odpowiedziała stanowczo – to pragnie się jego szczęścia. Oliver Russell to najwspanialsza istota ludzka, jaką znam. Życzę im wszystkiego najlepszego.

Wysłała listy z przeprosinami do przyjaciół, którzy byli zaproszeni na ślub, i zwróciła im prezenty ślubne.

Leslie po części spodziewała się, a po części lękała telefonu od Olivera. A jednak kiedy zadzwonił, była zupełnie nie przygotowana. Doznała szoku słysząc znajomy dźwięk jego głosu.

– Leslie, nie wiem, co powiedzieć.

– To prawda, nie zaprzeczysz.

– Tak.

– A więc nie ma o czym mówić.

– Chciałem ci tylko wytłumaczyć, jak to się stało. Zanim ciebie spotkałem, Jan i ja byliśmy prawie zaręczeni. I gdy ją znów zobaczyłem, zrozumiałem, że nadal ją kocham.

– Rozumiem, Oliverze. Do widzenia.

Pięć minut później sekretarka Leslie szepnęła:

– Telefon do pani, panno Stewart, na jedyńce.

– Nie chcę rozmawiać.

– To senator Davis.

Ojciec panny młodej. „Czego on ode mnie chce?” – zastanawiała się Leslie. Podniosła słuchawkę. Usłyszała niski głos południowca.

– Panna Stewart?

– Tak.

– Tu Todd Davis. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Leslie zawahała się.

– Senatorze, nie wiem, o czym mielibyśmy...

– Za godzinę po panią podjadę.

I wyłączył się.

Dokładnie w godzinę później jakaś limuzyna zatrzymała się przed frontem budynku, w którym pracowała Leslie. Szofer otworzył przed nią drzwiczki. Senator Davis siedział z tyłu. Był to dystyngowany wyglądający mężczyzna o falujących siwych włosach i starannie utrzymanych wąsach. Miał twarz patriarchy. Nawet jesienią nosił markowy biały garnitur i biały słomkowy kapelusz. Był klasyczną postacią z minionej epoki, starej daty dżentelmenem z południa.

Kiedy Leslie wsiadła do samochodu, senator Davis powiedział:

– Jest pani piękną młodą kobietą.

– Dziękuję – skwitowała to oziębłe Leslie.

Limuzyna ruszyła z miejsca.

– Nie miałem na myśli fizycznego piękna, panno Stewart. Słyszałem, jak pani zareagowała na tę całą paskudną sprawę. To musi być dla pani bardzo przykre. Nie mogłem uwierzyć, kiedy dotarła do mnie wiadomość o tym, co się stało. – Jego głos był pełen złości. – Gdzież się podziała prawdziwa starodawna moralność? Naprawdę czuję obrzydzenie do Olivera za to, że potraktował panią tak niegodziwie. I jestem wściekły na Jan za to, że wyszła za niego. W pewnym sensie czuję się winny, bo to moja córka. Są siebie warci. – Mówił głosem zdławionym z przejęcia.

Przez chwilę jechali w milczeniu. W końcu Leslie odezwała się:

– Znam Olivera. Jestem pewna, że nie chciał mnie zranić. Co się stało... to się stało. Pragnę dla niego jedynie wszystkiego najlepszego. Zasluguje na to i nie zrobiłabym nic, żeby stanąć mu na drodze.

– Bardzo pani łaskawa. – Przyglądał jej się uważnie przez chwilę. – Jest pani naprawdę zupełnie wyjątkową młodą damą.

Limuzyna się zatrzymała. Leslie wyjrzała przez okno. Dojechali do Paris Pike przy Centrum Hodowli Koni w Kentucky. W samym Lexington i na jego obrzeżach znajdowało się ponad sto farm, na których hodowano konie, a największe z nich należały do senatora Davisa. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się białe drewniane płotki i wygony dla koni – z czerwonymi ozdobami, porośnięte typową dla stanu Kentucky łąkową wiechliną.

Leslie i senator Davis wysiedli z samochodu i przeszli przez płotek otaczający tor wyścigowy. Stali tam kilka minut obserwując piękne zwierzęta w ruchu.

Senator Davis odwrócił się do Leslie.

– Jestem prostym człowiekiem – powiedział spokojnie. – Dziwnie to musi brzmieć w pani uszach, ale to prawda. Tutaj się urodziłem i tu mogłem spędzić resztę swego życia. Nie ma na całym świecie takiego miejsca jak to. Proszę się tylko rozejrzeć dookoła, panno Stewart. Znikąd nie jest tak blisko do nieba jak stąd. Czy może mnie pani potępić za to, że nie chcę tego wszystkiego zostawiać? Mark Twain powiedział, że kiedy nadejdzie koniec świata, chce być w Kentucky, bo tutaj ten świat jest zawsze dobre dwadzieścia lat młodszy. Muszę spędzać połowę swego życia w Waszyngtonie i nienawidzę tego.

– Więc dlaczego pan to robi?

– Ponieważ mam poczucie obowiązku. Nasi ludzie głosowali na mnie i wybrali mnie do senatu, więc dopóki na mnie głosują, pozostanę senatorem i będę się starał pracować najlepiej, jak potrafię. – Nagle zmienił temat. – Chcę, żeby pani wiedziała, że podziwiam pani uczucia i pani zachowanie. Gdyby pani zareagowała na to, co się stało, w sposób nieprzyjemny, przypuszczam, że mógłbym doprowadzić do nielicznego skandalu. A tak jak jest, no cóż... chciałbym wyrazić swoje uznanie.

Leslie popatrzyła na niego.

– Przyszło mi do głowy, że może miałaby pani ochotę na jakiś czas wyjechać, wybrać się na krótką wycieczkę zagraniczną, spędzić trochę czasu w podróży. Oczywiście pokryłbym wszystkie...

– Proszę, niech pan przestanie...

– Ja tylko...

– Nie znam pańskiej córki, senatorze Davis, ale jeśli Oliver ją kocha, musi być wyjątkowa. Mam nadzieję, że będą szczęśliwi.

Senator Davis powiedział zakłopotany:

– Chyba powinna pani wiedzieć, że oni wracają tutaj, żeby wziąć drugi ślub. W Paryżu podpisali tylko akt cywilny, Jan chce wziąć tutaj ślub kościelny.

To był cios nożem w samo serce.

– Rozumiem. W porządku. Nie potrzebują się niczego obawiać.

– Dziękuję.

Ślub odbył się w dwa tygodnie później w Kaplicy Męki Pańskiej, w tym samym kościele, w którym mieli zostać połączeni sakramentem małżeństwa Leslie i Oliver. Kościół był wypełniony po brzegi. Oliver Russell, Jan i senator Davis stali przed pastorem przy ołtarzu. Jan Davis była atrakcyjną brunetką o imponującej figurze i arystokratycznym wyglądzie.

Zbliżał się koniec ceremonii. Pastor mówił:

– „Bóg pragnie, by mężczyznę i kobietę połączył święty sakrament małżeństwa, i gdy będziecie razem iść przez życie...”

Drzwi kościoła się otworzyły i Leslie Stewart weszła do środka. Przez chwilę stała z tyłu, słuchając, potem podeszła do ostatniej ławki, ale nie usiadła.

Pastor ciągnął dalej:

– „Jeśli ktoś zna przyczynę, dla której tych dwoje nie powinno się połączyć świętym węzłem małżeństwa, niech to powie teraz, albo niech na zawsze... – podniósł wzrok i zobaczył Leslie – ...zachowa milczenie”.

Prawie odruchowo głowy zebranych zaczęły się zwracać w jej kierunku. Szepty płynęły przez tłum. Ludzie sądzili, że zaraz staną się świadkami dramatycznej sceny, i w kościele nagle dało się wyczuć napięcie.

Pastor odczekał chwilę, po czym nerwowo odchrząknął.

– „A więc mocą prawa, jakie zostało mi nadane, ogłaszam was mężem i żoną. – W jego głosie zabrzmiał teraz ton głębokiej ulgi. – Może pan pocałować młodą żonę”.

Kiedy pastor znów podniósł wzrok, Leslie już nie było.

Ostatni zapis w pamiętniku Leslie Stewart brzmiał:

Kochany pamiętniku, to był piękny ślub. Panna młoda jest urocza. Miała na sobie atlasową suknię, obszytą koronką, z dekoltem na plecach i z bolerkiem. Oliver wyglądał piękniej niż kiedykolwiek. Wydawał się bardzo szczęśliwy. Cieszę się. Ponieważ zanim go wykończę, zrobię coś takiego, że pożałuje, iż się urodził.

Rozdział drugi

To senator Todd Davis doprowadził do pojednania Olivera Russella ze swą córką.

Todd Davis był wdowcem. Multimilioner, właściciel plantacji tytoniu, kopalń węgla, pól naftowych w stanie Oklahoma i na Alasce oraz stadniny koni światowej klasy. Jako przywódca większości w parlamencie, był jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Waszyngtonie, a został wybrany na piątą już kadencję. Jego filozofia życiowa była bardzo prosta: Nigdy nie zapominaj o przysługach, nigdy nie wybaczasz krzywd. Napawało go dumą, że umie trafnie typować zwycięzców zarówno na torze wyścigowym, jak w polityce, i wcześniej spostrzegł, że Oliver Russell to obiecujący facet. A to, że mógłby się ożenić z jego córką, było nieoczekiwanym atutem, do czasu oczywiście, gdy ta głupia Jan zerwała zaręczyny. Kiedy senator usłyszał o zbliżającym się ślubie Olivera Russella z Leslie Stewart, zdenerwował się. Bardzo się zdenerwował.

Senator Davis po raz pierwszy zetknął się z Oliverem Russellem, gdy ten prowadził dla niego jakąś sprawę. Młody człowiek zrobił na nim wrażenie. Inteligentny, przystojny Russell był dobrym mówcą, a dzięki swemu chłopięcemu urokowi przyciągał do siebie ludzi. Senator tak wszystko zaplanował, żeby zjeść z Oliverem „służbowy” lunch, i Oliver nie zdawał sobie zupełnie sprawy, jak dokładnie został oszacowany. W miesiąc po tym spotkaniu senator Davis posłał po Petera Tagera.

– Myślę, że znaleźliśmy nowego gubernatora.

Tager był poważnym człowiekiem, który wychowywał się w religijnej rodzinie. Ojciec jego uczył historii, matka zajmowała się domem. Oboje byli pobożnymi i praktykującymi wyznawcami swego Kościoła. Gdy Peter miał jedenaście lat i podróżował z rodzicami i młodszym bratem samochodem, zawiodły hamulce i doszło do tragicznego wypadku. Wszyscy oprócz Petera zginęli. A on stracił jedno oko.

Peter uważał, że Bóg go oszczędził, aby głosił Jego Słowo.

Peter Tager rozumiał dynamikę polityki lepiej niż ktokolwiek, z kim senator Davis kiedykolwiek się zetknął. Wiedział, gdzie są głosy i jak je zdobyć. Miał niesamowite wyczucie, co publiczność pragnie usłyszeć, a słuchaniem czego jest już znużona. Ale nawet

jeszcze ważniejsze było dla senatora Davisa to, że uważał Petera Tagera za człowieka, któremu mógł zaufać, człowieka prawego i kryształowo uczciwego. Ludzie go lubili. Czarna opaska na oku, którą nosił, nadawała jego spojrzeniu jakąś buńczuczność. Ale ważniejsza ponad wszystko była dla Tagera rodzina. Senator Davis nigdy nie spotkał człowieka tak niesłychanie dumnego ze swej żony i dzieci.

Gdy senator Davis po raz pierwszy spotkał Petera Tagera, zastanawiał się on właśnie nad tym, czy nie poświęcić się duszpasterstwu.

– Tak wielu ludzi potrzebuje pomocy, senatorze. Pragnę robić dla nich, co będzie w mojej mocy.

Ale Davis wybił mu ten pomysł z głowy.

– Pomyśl tylko, o ileż więcej ludzi będziesz mógł objąć swoją pomocą pracując dla mnie w Senacie Stanów Zjednoczonych.

To był szczęśliwy wybór. Tager wiedział, jak osiągnąć to, co zamierza.

– Człowiek, którego mam na myśli i chcę, żeby się ubiegał o stanowisko gubernatora, to Oliver Russell.

– Ten prawnik?

– Tak. To człowiek stąd. Mam przeczucie, że jeśli będzie miał nasze poparcie, nie przegra.

– To brzmi interesująco, senatorze.

I dwaj mężczyźni zaczęli na ten temat dyskutować.

Senator Davis powiedział Jan o Oliverze Russellu.

– Ten chłopak ma przed sobą wspaniałą przyszłość, kochanie.

– Ma także wspaniałą przeszłość, ojciec. To największy kobieciarz w mieście.

– No wiesz, moja droga, nie wolno wierzyć plotkom. Zaprosiłem Olivera w piątek na kolację.

Piątkowa kolacja upłynęła w miłej atmosferze. Oliver był czarujący, a Jan, wbrew samej sobie, stwierdziła, że darzy go coraz cieplejszym uczuciem. Senator siedział, obserwował ich i zadawał pytania, które uwypuklały najlepsze cechy gościa.

Pod koniec tego wieczoru Jan zaprosiła Olivera na wieczorne przyjęcie w następną sobotę.

– Będę zachwycony.

Od tego wieczoru zaczęli się spotykać tylko we dwoje.

– Wkrótce się pobiorą – przepowiadał senator w rozmowie z Peterem Tagerem. – Czas rozkręcić kampanię na rzecz Olivera.

Oliver został wkrótce zaproszony na zebranie do gabinetu senatora Davisa.

– Chcę pana o coś zapytać – zwrócił się do niego senator. – Czy chciałby pan zostać gubernatorem stanu Kentucky?

Oliver popatrzył na niego zdziwiony.

– Ja... ja nigdy o tym nie myślałem.

– A Peter Tager i ja myśleliśmy. Za rok odbędą się wybory. To daje nam więcej czasu, niż jest to konieczne, żeby wyrobił pan sobie opinię. Niech ludzie wiedzą, kim pan jest. Z naszym poparciem nie może pan przegrać.

Oliver wiedział, że to prawda. Senator Davis był wpływowym człowiekiem, panował nad dobrze naoliwioną machiną polityki, machiną, która potrafi tworzyć mity, ale także zniszczyć każdego, kto stanie jej na drodze.

– Będzie pan musiał się zdać na nas całkowicie – ostrzegł senator.

– Oczywiście.

– Mam dla pana jeszcze lepszą wiadomość, synu. Ja uważam, że to jest dopiero pierwszy krok. Pozostanie pan na stanowisku gubernatora parę kadencji, a potem, obiecuję to panu, przeniesiemy pana do Białego Domu.

Oliver przełknął ślinę.

– Czy pan... czy pan mówi serio?

– Nie żartuję, gdy chodzi o takie sprawy jak ta. Nie muszę ci chyba mówić, że nastąpiła epoka telewizji. Ty masz coś, czego nie można kupić za pieniądze – charyzmę. Potrafisz zjednywać sobie ludzi. Darzysz ich szczerą sympatią, i to widać. To ta sama cecha, którą miał Jack Kennedy.

– Ja... ja nie wiem, co powiedzieć, Todd.

– Nie musisz nic mówić. Jutro lecę do Waszyngtonu, gdy wrócę, zabierzemy się do roboty.

Kilka tygodni później rozpoczęła się kampania wyborcza. Plakaty z podobizną Olivera zalały cały stan. Ukazywał się w telewizji, na różnych zjazdach i seminariach politycznych. Peter Tager miał swoje własne, prywatne spisy wyborców, które wskazywały na wzrastającą z tygodnia na tydzień popularność Olivera.

– Przesunął się o pięć miejsc wyżej – donosił senatorowi. – Tylko dziesięć miejsc dzieli go od gubernatora, a mamy jeszcze mnóstwo czasu. Za kilka tygodni będą szli łeb w łeb. Senator Davis pokiwał głową.

– Oliver wygra. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Todd Davis i Jan jedli razem śniadanie.

– Czy nasz chłopiec jeszcze się nie oświadczył?

Jan się uśmiechnęła.

– Nie przyszedł i nie powiedział tego wprost, ale krąży wokół tego tematu.

– No to nie pozwól mu krążyć zbyt długo. Chcę, żebyś wyszła za niego, zanim zostanie gubernatorem. Łatwiej będzie to rozegrać, jak gubernator będzie miał żonę.

Jan zarzuciła ojcu ręce na szyję.

– Tak się cieszę, że dzięki tobie on się pojawił w moim życiu. Szaleję za nim.

– Jak długo dzięki niemu będziesz szczęśliwa, ja też będę szczęśliwy.

Wszystko układało się wspaniale.

Kiedy senator Davis wrócił następnego dnia wieczorem do domu, zastał Jan w swoim pokoju. Pakowała się z twarzą zalaną łzami.

Popatrzył na nią zaniepokojony.

– Co się stało, malutka?

– Wyprowadzam się. Nie chcę nigdy więcej widzieć Olivera.

– Opanuj się. O czym ty mówisz?

Odwróciła się do niego.

– Mówię o Oliverze – powiedziała tonem pełnym goryczy. – Spędził ostatnią noc w jakimś motelu z moją najlepszą przyjaciółką, która nie mogła się doczekać, żeby do mnie zadzwonić i opowiedzieć, jaki z niego cudowny kochanek.

Senator stał wstrząśnięty.

– Może on po prostu...

– Nie. Zadzwoniłam do niego. On... nie mógł zaprzeczyć. Zdecydowałam się odejść.

Wyjeżdżam do Paryża.

– Czy jesteś pewna, że postępujesz...

– Tak.

Następnego dnia Jan wyjechała.

Senator posłał po Olivera.

– Zawiodłeś mnie, synu.

Oliver westchnął głęboko.

– Żałuję tego, co się stało, Todd. To była... to była jedna z tych rzeczy... Wypiłem kilka drinków i ta kobieta przyszła do mnie i... no cóż, trudno było powiedzieć nie.

– Rozumiem – powiedział senator. – W końcu jesteś mężczyzną, prawda?

Oliver uśmiechnął się z ulgą.

– Racja. To się nigdy więcej nie powtórzy, mogę pana zapewnić...

– Szkoda. Byłbyś świetnym gubernatorem.

Krew odpłynęła z twarzy Olivera.

– O czym... o czym pan mówi, Todd?

– No cóż, Oliverze, nie wyglądałoby to dobrze, gdybym cię teraz popierał, prawda? Jeśli zaś myślisz o uczuciach Jan...

– Cóż ma wspólnego stanowisko gubernatora z Jan?

– Mówiłem wszystkim, że jest ogromna szansa, iż następny gubernator będzie moim zięciem. Ale skoro nie zostaniesz moim zięciem, będę musiał poczynić nowe plany.

– Niechże pan będzie rozsądny Todd. Nie może pan...

Uśmiech zniknął z twarzy senatora Davisa.

– Nigdy mi nie mów, co mogę, a czego nie mogę robić, Oliverze. Mogę cię wynieść na szczyty, ale mogę też zniszczyć. – Znowu się uśmiechnął. – Ale nie zrozum mnie źle. Żadnych wrogich uczuć. Życzę ci jak najlepiej.

Oliver siedział przez chwilę w milczeniu.

– Rozumiem. – Wstał. – Przykro mi... że tak się stało.

– Mnie także, Oliverze, naprawdę.

Po wyjściu Olivera senator wezwał Petera Tagera.

– Przerwywamy kampanię.

– Przerwywamy? Dlaczego? Zwycięstwo mamy w garści. Ostatnie wyniki...

– Zrób, co mówię. Odwołaj wszystkie wystąpienia Olivera. Dla nas on wypadł z obiegu.

Dwa tygodnie później notowania Olivera zaczęły wyraźnie spadać. Plakaty z jego podobizną znikwały, a wystąpienia w radiu i telewizji odwoływano.

– Liczba głosów oddawanych na gubernatora Addisona wyraźnie rośnie. Jeśli mamy poszukać nowego kandydata, musimy się spieszyć – powiedział Peter Tager.

Senator siedział zamyślony.

– Mamy mnóstwo czasu. Pozwólmymy, żeby to się samo rozegrało do końca.

Pięć dni potem Oliver zgłosił się do agencji Baileya i Tomkinsa z prośbą, by się zajęli jego kampanią. Jim Bailey przedstawił go Leslie, która od razu go oczarowała. Była nie tylko piękna, ale także inteligentna, sympatyczna i wierzyła w niego. W Jan wyczuwał czasem pewną rezerwę, ale przymykał na to oczy. Z Leslie czuł się zupełnie inaczej. Ona była ciepła i czuła, więc nic dziwnego, że się w niej zakochał. Od czasu do czasu Oliver zastanawiał się nad tym, co utracił, „...to jest dopiero pierwszy krok. Pozostanie pan na stanowisku gubernatora przez parę kadencji, a potem, obiecuję to panu, przeniesiemy pana do Białego Domu”.

„Do diabła! Mogę być szczęśliwy bez tego wszystkiego” – próbował przekonać samego siebie. Ale od czasu do czasu nie potrafił odpędzić myśli o tym, ile dobrego mógłby zdziałać.

Zbliżający się ślub Olivera skłonił senatora Davisa do wezwania Tagera.

– Peter, mamy problem. Nie możemy pozwolić, żeby Oliver stracił okazję zrobienia kariery przez małżeństwo z takim zerem.

Peter Tager zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia, co pan może teraz z tym zrobić, senatorze. Wszystko jest przygotowane do ślubu.

Senator Davis zastanawiał się przez chwilę.

– Wyścig jeszcze się nie rozpoczął, prawda?

Zadzwoił do córki do Paryża.

– Jan, mam dla ciebie straszną wiadomość. Oliver się żeni.

Zapadła długa cisza.

– Ja... słyszałam.

– Smutne jest w tym związku to, że on nie kocha tej kobiety. Powiedział mi, że żeni się z nią z zemsty za to, że go porzuciłaś. On cię nadal kocha.

– Oliver tak powiedział?

– Oczywiście. To straszne, co on robi. I, w pewnym sensie, to ty go do tego zmuszasz, dziecko. Kiedy od niego uciekłaś, poczuł się po prostu odtrącony.

– Ojczy... ja... ja nie miałam pojęcia.

– Nigdy nie widziałem nieszczęśliwszego człowieka.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Czy go nadal kochasz?

– Zawsze go będę kochać. Popełniłam straszny błąd.

– A więc może nie jest jeszcze za późno?

– Ale on się żeni.

– Kochanie, dlaczego nie mielibyśmy poczekać i zobaczyć, jak się sprawy potoczą? Może Oliver się opamięta?

Kiedy Davis odłożył słuchawkę, Peter Tager zapytał:

– Co pan zamierza zrobić, senatorze?

– Ja? – odparł senator z miną niewiniątka. – Nic. Po prostu chcę ułożyć kilka klocków we właściwym miejscu. Myślę, że utnę sobie rozmówkę z Oliverem.

Tego popołudnia Oliver Russell zjawił się w biurze senatora Davisa.

– Miło mi cię widzieć, Oliverze. Dziękuję, że wpadłeś do mnie. Bardzo dobrze wyglądasz.

– Dziękuję, Todd. Pan także.

– No, cóż, starzeję się, ale robię, co mogę.

– Chciał mnie pan widzieć, Todd.

– Tak, Oliverze. Usiądź.

Oliver przysunął sobie krzesło.

– Chcę, żebyś mi pomógł rozwiązać pewien prawniczy problem, który wyłonił się w Paryżu. Jedno z tamtejszych towarzystw ma kłopoty. Zbliża się zebranie akcjonariuszy. Chciałbym, żebyś na nim był.

– Z przyjemnością. Kiedy jest to zebranie? Sprawdzę w terminarzu i...

– Niestety, musiałbyś wyjechać dziś po południu.

– Dziś po południu? – Oliver wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Ogromnie mi przykro, że zawiadamiam cię w ostatniej chwili, ale dopiero co o tym usłyszałem. Mój samolot czeka na lotnisku. Dasz radę? To dla mnie ważne.

Oliver się zamyślił.

– Spróbuję to jakoś załatwić.

– Jestem ci ogromnie wdzięczny, Oliverze. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. – Pochylił się do przodu. – Naprawdę martwi mnie to, co ci się przydarzyło. Widziałeś ostatnie wyniki? Obawiam się, że twoje szanse maleją.

– Wiem.

– Nie przejmowałbym się tym tak bardzo, ale... – przerwał.

– Ale...?

– Byłbyś znakomitym gubernatorem. Właściwie nie można sobie wymarzyć bardziej świetlanej przyszłości. Miałbyś pieniądze i władzę. Pozwól, że ci powiem coś na temat pieniędzy i władzy, Oliverze. Pieniądzom jest wszystko jedno, do kogo należą. Jakiś leń może wygrać na loterii, jakiś nieuk może je dostać w spadku, ktoś inny może je zdobyć trzymając bank w jakiejś grze hazardowej. Ale władza to coś zupełnie innego. Kto ma władzę, do tego należy świat. Gdybyś został gubernatorem tego stanu, mógłbyś mieć wpływ na życie wszystkich mieszkających tu ludzi. Uchwalałbyś ustawy, które pomagałyby ludziom, i zakładał weto na te, które mogłyby im wyrządzić krzywdę. Obiecałem ci kiedyś, że zostaniesz prezydentem Stanów Zjednoczonych. Mówię poważnie, mógłbyś nim zostać. Pomyśl o tej władzy, Oliverze, o tym, że byłbyś najważniejszym człowiekiem na świecie, rządził najpotężniejszym krajem świata. To jest coś, o czym warto marzyć, prawda? Pomyśl tylko o tym! Najpotężniejszym człowiekiem świata – powtórzył powoli.

Oliver słuchał i zastanawiał się: Do czego ta rozmowa prowadzi?

Jak gdyby w odpowiedzi na to nie wypowiedziane pytanie senator rzekł:

– A ty pozwoliłeś, żeby to wszystko ci umknęło przez jakiegoś kociaka. Myślałem, że jesteś rozsądniejszy, synu.

Oliver czekał.

Senator Davis dodał zdawkowo:

– Dziś rano rozmawiałem z Jan. Jest w Paryżu. Zatrzymała się u Ritza. Kiedy jej powiedziałem, że się żenisz... załamała się i wybuchnęła płaczem.

– Przykro mi, Todd. Naprawdę.

– Szkoda, że nie możecie być znów razem.

– Todd, ja się w przyszłym tygodniu żenię.

– Wiem. I za nic w świecie nie chciałbym się do tego mieszać. Chyba jestem po prostu sentymentalnym staruchem, ale dla mnie małżeństwo to najświętsza rzecz na ziemi. Masz moje błogosławieństwo, Oliverze.

– Jestem wdzięczny.

– Wiem. – Senator spojrział na zegarek. – Chcesz pewnie pójść do domu, żeby się spakować. Dodatkowe informacje i szczegóły prześlę ci faksem do Paryża.

Oliver wstał.

– W porządku. Proszę się nie martwić. Zajmę się tym wszystkim.

– Jestem tego pewny. A tak na marginesie: zarezerwowałem dla ciebie pokój u Ritza.

W należącym do Davisa luksusowym challengerze, którym leciał do Paryża, Oliver rozmyślał o swej rozmowie z senatorem. „Byłbyś znakomitym gubernatorem. Właściwie nie można sobie wymarzyć bardziej świetlanej przyszłości... Pozwól, że ci powiem coś na temat pieniędzy i władzy, Oliverze... Kto ma władzę, do tego należy cały świat. Gdybyś został gubernatorem tego stanu, mógłbyś mieć wpływ na życie wszystkich mieszkających tu ludzi. Uchwalałbyś ustawy, które pomagałyby ludziom, i zakładał weto na te, które mogłyby im wyrządzić krzywdę”.

„Ale ja nie potrzebuję tej władzy – uspokajał się Oliver. – Nie potrzebuję. Żenię się z cudowną kobietą. Będziemy razem szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi”.

Gdy Oliver dotarł do bazy TransAir ExecuJet na lotnisku Bourget w Paryżu, czekała już na niego limuzyna.

– Dokąd, panie Russell? – zapytał szofer.

„A tak na marginesie, zamówiłem dla ciebie pokój u Ritza”. Jan mieszka u Ritza.

„Postąpiłbym rozsądniej, gdybym się zatrzymał w innym hotelu, Plaza Athenee, albo w Meurice”.

Szofer patrzył na niego wyczekująco.

– Ritz – powiedział Oliver. „Jedyne, co mi pozostało, to przeprosić Jan” – pomyślał.

Zadzwoił do niej z holu.

– Tu Oliver. Jestem w Paryżu.

– Wiem – powiedziała. – Ojciec dzwonił do mnie.

– Czekam na dole. Chciałbym się przywitać, jeśli...

– Wejdź na górę.

Gdy Oliver wszedł do pokoju Jan, wciąż nie był pewien, co ma powiedzieć.

Jan czekała na niego w drzwiach. Stała tam przez chwilę uśmiechając się, po czym zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego mocno.

– Ojciec powiedział mi, że przyjeżdżasz. Tak się cieszę.

Oliver stał zakłopotany. Zamierzał jej powiedzieć o Leslie, ale musiał znaleźć odpowiednie słowa. „Przykro mi, że tak się stało... Nigdy nie miałem zamiaru cię zranić... Zakochałem się w kimś innym... ale zawsze będę...”

– Ja... ja muszę ci coś powiedzieć – zaczął zażenowany. – To fakt, że... – ale kiedy patrzył na Jan, przypomniały mu się słowa jej ojca: „Obiecałem ci kiedyś, że mógłbyś zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Mówię poważnie, mógłbyś nim zostać. Pomyśl o tej władzy, Oliverze, o tym, że byłbyś najważniejszym człowiekiem na świecie, rządził najpotężniejszym krajem świata. To jest coś, o czym warto marzyć, prawda?”

– Słucham, kochanie?

Słowa te płynęły w jego pamięci, jak gdyby żyły własnym życiem.

– Popełniłem straszny błąd, Jan. Byłem cholernym głupcem. Kocham cię. Chcę się z tobą ożenić.

– Oliver!

– Wyjdiesz za mnie?

Nie wahała się ani chwili.

– Tak. O, tak, kochanie.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Po kilku minutach znaleźli się nadzy w łóżku. Jan szeptała:

– Kochanie, ty nie wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłam.

– Musiałem stracić rozum...

Jan przywarła mocno do jego nagiego ciała i westchnęła:

– Och, jakie to cudowne uczucie.

– To dlatego, że należymy do siebie. – Oliver usiadł. – Powiedzmy to twemu ojcu.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Teraz?

– Tak.

„I będę musiał powiedzieć o tym Leslie”.

Piętnaście minut później Jan rozmawiała z ojcem.

– Oliver i ja mamy zamiar się pobrać.

– To cudowna wiadomość, Jan. Nie mógłbym być bardziej zdziwiony czy zachwycony. A tak na marginesie: mer Paryża to mój stary przyjaciel. Czeka na telefon od was. Da wam tam ślub. Upewnij się, czy wszystko jest przygotowane.

– Ależ...

– Daj mi Olivera.

– Chwileczkę, ojciec. – Jan przesunęła telefon ku Oliverowi. – On chce z tobą mówić.

Oliver podniósł słuchawkę.

– Todd?

– No cóż, mój chłopcze. Uczyniłeś mnie bardzo szczęśliwym. Postąpiłeś słusznie.

– Dziękuję, ja też tak uważam.

– Załatwiam wszystkie formalności, żebyście mogli wziąć ślub w Paryżu. A kiedy wrócicie do domu, będziecie mieli wspaniały ślub kościelny. W Kaplicy Męki Pańskiej.

Oliver zmarszczył brwi.

– W Kaplicy Męki Pańskiej? Ja... ja nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, Todd. To właśnie tam Leslie i ja... Dlaczego nie możemy...

Głos senatora stał się lodowaty.

– Namotałeś w życiu mojej córki, Oliverze, więc jestem pewny, że chcesz jej to zrekompensować. Mam rację?

Nastąpiła długa pauza.

– Tak, Todd, oczywiście.

– Dziękuję ci, Oliverze. Oczekuję z niecierpliwością waszego przyjazdu za kilka dni. Mamy mnóstwo do pogadania... gubernatorze.

Ślub paryski był krótką ceremonią w merostwie. Gdy dobiegł końca, Jan spojrzała na Olivera i powiedziała:

– Ojciec chce, żebyśmy wzięli ślub kościelny w Kaplicy Męki Pańskiej.

Oliver się zawahał. Pomyślał o Leslie i o tym, jak jej będzie przykro. Ale zaszedł za daleko, by się teraz wycofać.

– Cokolwiek sobie życzy – powiedział.

Oliver nie potrafił wykreślić Leslie ze swej pamięci. Nie uczyniła nic, czym zasłużyłaby na to, co jej zrobił. Zadzwońię do niej i wszystko wytłumaczę. Ale za każdym razem, gdy podnosił słuchawkę, myślał: „Jak mam jej to wytłumaczyć? Cóż mogę jej powiedzieć?” Nie znajdował odpowiedzi. A kiedy w końcu zebrał się na odwagę, żeby do niej zadzwonić, ona go wyprzedziła.

Nazajutrz po powrocie Olivera i Jan do Lexington kampania wyborcza Olivera ruszyła znów na pełnych obrotach. Peter Tager uruchomił od nowa wszystkie tryby maszyny przedwyborczej i Oliver stał się wszechobecny: w telewizji, w radiu, w prasie. Przemawiał do licznego tłumu w Kingdom Thrill Park w Kentucky, przewodniczył na zebraniu roboczym firmy Toyota Motor Plant w Georgetown. Wystąpił na liczącej dwadzieścia tysięcy stóp kwadratowych promenadzie w Lancaster. A to był dopiero początek.

Peter Tager postarał się o autobus dla potrzeb kampanii i Oliver jeździł po całym stanie. Od Georgetown do Stanford, zatrzymując się we Frankfort... Versailles... Winchester... Louisville. W Kentucky Fairground i w Centrum Wystawowym wygłaszał przemówienia. Na jego cześć częstowano zebranych specjalnością tego stanu: tradycyjnym gulaszem o nazwie

burgoo, składającym się z mięsa kurcząt, cielęciny, wołowiny, jagnięciny, wieprzowiny i przeróżnych świeżych warzyw. Wszystko to dusiło się w wielkim kotle na ognisku rozpalonym na wolnym powietrzu.

Liczba głosujących na Olivera bez przerwy rosła. Jediną przerwę w kampanii spowodował jego ślub. Gdy spostrzegł w kościele Leslie stojącą gdzieś z tyłu, poczuł się nieswojo. Rozmawiał potem o tym z Peterem Tagerem.

– Jak myślisz, czy Leslie będzie próbowała coś zrobić, żeby mi zaszkodzić?

– Oczywiście, że nie. A nawet gdyby miała na to ochotę, cóż może zrobić. Zapomnij o niej.

Oliver wiedział, że Tager ma rację. Wszystko układało się wspaniale. Nie było powodu do niepokoju. Nic go teraz nie powstrzyma. Nic.

W dniu wyborów Leslie siedziała sama w swym mieszkaniu przed telewizorem, pilnie śledząc wyniki głosowań. We wszystkich okręgach wyborczych liczba oddanych na Olivera głosów wzrastała bez przerwy. W końcu, pięć minut przed północą, gubernator Addison pojawił się na ekranie, żeby wygłosić swe pożegnalne przemówienie. Leslie wyłączyła telewizor. Wstała i westchnęła głęboko.

Nie płacz, moja droga,

Nie płacz więcej już,

Zaspiewajmy sobie pieśń o starym domu,

*Starym domu w Kentucky wśród wzgórz.**

Nadszedł czas.

* Przekład Agnieszki Kreczmar.

Rozdział trzeci

Senator Davis miał pracowity ranek. Przyleciał do Louisville ze stolicy na jeden dzień, aby być na aukcji koni czystej krwi.

– Trzeba utrzymać czystość rasy – powiedział Peterowi Tagerowi, kiedy obserwowali wspaniałe konie, które wprowadzano i wyprowadzano z dużej areny. – Oto co się liczy, Peter.

Właśnie na środku ringu stała piękna klacz.

– To jest Sail Away – powiedział senator Davis. – Chcę ją mieć.

Licytacja była ożywiona, ale po dziesięciu minutach, kiedy dobiegła końca, Sail Away należała do senatora Davisa.

Zadzwoił telefon komórkowy. Odebrał Peter Tager.

– Tak?

Słuchał przez chwilę, po czym odwrócił się do senatora.

– Chce pan rozmawiać z Leslie Stewart?

Senator Davis skrzywił się z niechęcią. Wahał się przez moment, po czym wziął telefon od Tagera.

– Panna Stewart?

– Przepraszam, że zawracam panu głowę, senatorze Davis, ale chcę się dowiedzieć, czy mogłabym się z panem zobaczyć. Pragnę pana prosić o przysługę.

– Wracam wieczorem do Waszyngtonu, więc...

– Mogłabym przyjechać i spotkać się z panem. To naprawdę ważne.

Senator Davis wahał się przez chwilę.

– No cóż, skoro to takie ważne, z pewnością wyświadczę pani tę przysługę, młoda damo. Za kilka minut wyjeżdżam na moją farmę. Chce się pani tam ze mną spotkać?

– Wspaniale.

– Zobaczymy się za godzinę.

– Dziękuję.

Davis nacisnęła guziczek z napisem „Koniec” i odwrócił się do Tagera.

– Myliłem się co do niej. Sądziłem, że jest sprytniejsza. Powinna była poprosić mnie o pieniądze, zanim Jan i Oliver się pobrali. – Przez chwilę myślał o czymś, po czym jego twarz powoli rozjaśnił szeroki uśmiech. – Zachowam się jak sukinsyn.

– O co chodzi, senatorze? – zapytał Tager.

– Po prostu wyobraziłem sobie, co to za niecierpiąca zwłoki sprawa. Panna Stewart odkryła, że jest w ciąży z Oliverem, i będzie potrzebowała niewielkiej finansowej pomocy. To najstarsza gierka w świecie.

Godzinę później Leslie jechała przez Dutch Hill, tereny należące do farmy senatora. Strażnik czekał przed głównym budynkiem.

– Panna Stewart?

– Tak.

– Senator Davis oczekuje pani. Tędy, proszę.

Wprowadził Leslie do środka, potem szerokim korytarzem przeszli do ogromnej, wyłożonej boazerią biblioteki pełnej książek.

Senator Davis siedział przy biurku przerzucając kciukiem karty jakiegoś tomu. Kiedy Leslie weszła, podniósł wzrok i wstał.

– Miło mi panią widzieć, moja droga. Proszę spocząć.

Leslie usiadła.

Senator podniósł do góry książkę.

– To fascynujące. Jest tu lista wszystkich zwycięzców zawodów Derby, od pierwszej gonitwy do ostatniej. Wie pani, kto zwyciężył w pierwszej?

– Nie.

– Aristides, w 1875 roku. Ale jestem pewny, że nie przyszła pani tutaj, żeby rozmawiać o koniach. – Odłożył książkę. – Powiedziała pani, że chce mnie prosić o przysługę.

Zastanawiał się, w jaki sposób to wyrazi. „Właśnie się zorientowałam, że będę miała dziecko z Oliverem, i nie wiem, co zrobić... Nie chcę wywoływać skandalu, ale... pragnę wychować to dziecko, nie mam jednak dosyć pieniędzy...”

– Czy pan zna Henry’ego Chambersa? – zapytała Leslie.

Senator Davis zamrugał powiekami, całkiem zaskoczony.

– Czy ja znam... Henry’ego. Tak, znam. Dlaczego pani pyta?

– Pomyślałam sobie, że byłoby miło, gdyby mi pan dał list polecający do niego.

Senator Davis patrzył na nią przez chwilę, spieszenie porządkując myśli.

– Czy to jest ta przysługa, o którą pani chodzi? Chce się pani spotkać z Henrym Chambersem?

– Tak.

– Niestety, nie ma go już tutaj, panno Stewart. Mieszka w Phoenix, w Arizonie.

– Wiem. Jutro rano lecę do Phoenix. Pomyślałam sobie, że byłoby dobrze, gdybym tam kogoś znała.

Senator Davis wpatrywał się w nią uważnie przez chwilę. Instynkt mówił mu, że dzieje się coś, czego on nie rozumie.

Ostrożnie sformułował następne pytanie.

– Czy pani wie coś o Henrym Chambersie?

– Nie. Jedynie to, że pochodzi z Kentucky.

Senator Davis próbował pozbierać myśli. „To piękna kobieta. Wyświadczę Henry’emu przysługę, za którą będzie mi wdzięczny”.

– Zadzwoń.

Pięć minut później rozmawiał z Henrym Chambersem.

– Henry, tu Todd. Ta wiadomość sprawi ci przykrość, ale dziś kupiłem Sail Away. Wiem, że miałaś na nią ochotę. – Słuchał przez chwilę, po czym się roześmiał. – Założę się, że tak. Słyszałem, że znowu się rozwiodłeś. Szkoda. Lubiłem Jessicę.

Leslie przysłuchiwała się rozmowie, która trwała jeszcze przez kilka minut. W końcu senator Davis powiedział:

– Henry, mam zamiar wyświadczyć ci przysługę. Jutro przyjeżdża do Phoenix moja przyjaciółka i nie zna tam żywej duszy. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś się nią zajął... Jak wygląda? – popatrzył na Leslie i uśmiechnął się szeroko. – Nieźle. Ale nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego.

Słuchał przez chwilę, po czym znów odwrócił się do Leslie.

– O której przylatuje pani samolot?

– O drugiej pięćdziesiąt. Lot Delta 159.

Senator powtórzył tę informację.

– Ona się nazywa Leslie Stewart. Podziękujesz mi za to. Zajmij się nią, Henry. Będę z tobą w kontakcie. – Odłożył słuchawkę.

– Dziękuję – powiedziała Leslie.

– Czy mogę dla pani jeszcze coś zrobić?

– Nie, to wszystko, czego potrzebowałam.

„Ciekawe! Czego, do diabła, Leslie Stewart chce od Henry’ego Chambersa?” – zastanawiał się senator Davis.

Fiasko małżeństwa z Oliverem Russellem miało sto razy większy oddźwięk w społeczeństwie, niż Leslie mogła sobie wyobrazić. Był to nie kończący się koszmar. Dokądkolwiek poszła, słyszała szept:

– To ona. On właściwie porzucił ją przy ołtarzu...

– Zachowałam na pamiątkę zaproszenie na ich ślub.

– Ciekawa jestem, co ona zamierza zrobić ze swoją suknią ślubną?

Plotki krążące powszechnie podsycaly ból Leslie. Jej upokorzenie stawało się nie do zniesienia. Już nigdy nie zaufa mężczyźnie. Nigdy. Jedynym pocieszeniem była myśl, że pewnego dnia Oliver będzie musiał zapłacić za ten niewybaczalny postępek. Nie miała pojęcia, jak tego dokona. Ze stojącym za nim senatorem Davisem, Oliver będzie miał władzę i pieniądze. „A więc muszę znaleźć sposób, by zdobyć więcej pieniędzy i większą władzę – myślała Leslie. – Ale jak? Jak?”

Inauguracja odbyła się w ogrodzie, w stolicy stanu, Frankfort, w pobliżu ślicznego, liczącego trzydzieści cztery stopy kwadratowe zegara z kwiatów.

Jan stała obok Olivera, z dumą obserwując, jak jej przystojny mąż zostaje zaprzysiężony na gubernatora stanu Kentucky.

Jeśli Oliver się sprawdzi na tym stanowisku, następnym stopniem w jego karierze będzie Biały Dom, zapewniał ją ojciec. I Jan zamierzała zrobić wszystko, co w jej mocy, aby przypilnować, żeby nic nie pokrzyżowało tych planów. Nic.

Po ceremonii Oliver i jego teść siedzieli we wspaniałej prywatnej bibliotece w rezydencji pałacowej, pięknym budynku zaprojektowanym na wzór Petit Trianon, willi Marii Antoniny w pobliżu Wersalu.

Senator Davis rozejrzał się po wspaniałej sali i z satysfakcją pokiwał głową.

– Będziesz się tu czuł doskonale, synu. Po prostu wspaniale.

– Wszystko to zawdzięczam tobie – powiedział Oliver ciepło. – Nie zapomnę o tym.

Senator Davis machnął lekceważąco ręką.

– Nie myśl o tym, Oliverze. Jesteś tutaj, bo zasługujesz na to. No, być może popchnąłem odrobinę tę sprawę, ale to dopiero początek. Długo już siedzę w polityce, synu, i nauczyłem się kilku rzeczy.

Popatrzył wyczekująco na Olivera, a ten powiedział zaciekawiony:

– Bardzo bym chciał o nich usłyszeć, Todd.

– Widzisz, ludzie się mylą. Nie jest ważne, kogo znasz, ale co wiesz o tym kimś, kogo znasz. Każdy człowiek ma jakąś tajemnicę, zakopaną głęboko, i wszystko, co trzeba zrobić, to odkopać ją, a jak ją już odkopiesz i będziesz wiedział, co to takiego, zdziwi cię, jak chętnie będą ci ludzie pomagać. Tak się złożyło, iż wiedziałem, że pewien członek Kongresu w Waszyngtonie spędził kiedyś rok w klinice psychiatrycznej. Pewien reprezentant Północy odsiadywał kiedyś karę za kradzież w domu poprawczym. A wiesz, co by się stało z ich karierami, gdyby o tym ktoś kiedyś pisał słowo. Ale to jest woda na nasz młyn.

Senator otworzył kosztowną aktówkę, wyjął z niej plik papierów i podał Oliverowi.

– Masz tu listę osób, z którymi będziesz miał do czynienia tutaj, w Kentucky. To wpływowi mężczyźni i wpływowe kobiety, ale każdy z nich ma jakąś piętę Achillesa. –

Uśmiechnął się szeroko i dodał: – Burmistrz ma bardzo szczególną piętę Achillesa. Jest transwestytą.

Oliver uważnie przeglądał papiery z szeroko otwartymi oczami.

Senator Todd Davis powiedział:

– Masz trzymać to pod kluczem, słyszysz? To skarb!

– Nie martw się Todd. Będę ostrożny.

– I, synu, nie wywieraj na tych ludzi zbyt dużego nacisku, kiedy będziesz od nich czegoś potrzebował. Nie łam ich, tylko troszeczkę przygnij. – Przyglądał się przez chwilę Oliverowi.

– Jak wam się układa z Jan?

– Wspaniale.

To była prawda, w pewnym sensie. Jeśli chodzi o Olivera, zawarł to małżeństwo z wyrachowania i wiedział, że musi się pilnować, żeby nie zrobić nic, co by doprowadziło do zniszczenia tego związku. Nigdy nie zapomni, czym o mało nie zapłacił za niezachowanie dyskrecji.

– To wspaniale. Szczęście Jan jest dla mnie bardzo ważne.

To było ostrzeżenie.

– A tak na marginesie: jak ci się podoba Peter Tager?

– Ogromnie go lubię – powiedział Oliver z entuzjazmem. – Był bardzo pomocny.

Senator Davis pokiwał głową.

– Cieszę się, że to słyszę. Nie znajdziesz nikogo lepszego. Wypożyczę ci go, Oliverze.

Usunie przeszkody z wielu ścieżek przed tobą.

Twarz Olivera rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Wspaniale. Jestem ci naprawdę wdzięczny.

Senator Davis wstał.

– No cóż, muszę wracać do Waszyngtonu. Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebował.

– Dzięki, Todd. Oczywiście.

W niedzielę, po spotkaniu z senatorem Davisem, Oliver próbował znaleźć Petera Tagera.

– Jest w kościele, gubernatorze.

– Racja. Zapomniałem. Zobaczę się z nim jutro.

Peter Tager w każdą niedzielę chodził z rodziną do kościoła, a trzy razy w tygodniu brał udział w dwugodzinnych spotkaniach modlitewnych. Oliver zazdrościł mu. „To chyba jedyny naprawdę szczęśliwy człowiek, jakiego znam” – myślał.

W poniedziałek rano Tager przyszedł do biura Olivera.

– Chciałeś się ze mną widzieć, Oliverze?

– Chcę, żebyś mi wyświadczył przysługę. To sprawa osobista.

Peter skinął głową.

– Wszystko, co w mojej mocy.

– Potrzebny mi apartament.

Tager z kpiącym niedowierzaniem rozejrzał się po dużym pokoju.

– To pomieszczenie jest dla pana zbyt małe, gubernatorze?

– Nie. – Oliver spojrzął w jedyne oko Tagera. – Ale czasami w nocy spotykam się z kimś prywatnie. Muszę zachować dyskrecję. Wiesz, co mam na myśli.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Tak.

– Potrzebne mi jest jakieś miejsce z dala od centrum miasta. Możesz mi to załatwić?

– Chyba tak.

– Niech to pozostanie między nami, oczywiście.

Peter Tager skinął potakująco głową. Minę miał zatroskaną.

Godzinę później zatelefonował do senatora Davisa do Waszyngtonu.

– Oliver poprosił mnie, żebym mu wynajął jakiś apartament, senatorze. Coś dyskretnego.

– Zrobił to, naprawdę? No cóż, uczy się, Peter. Uczy się. Znajdź mu coś. Tylko tak, aby Jan, do diabła, nigdy się o tym nie dowiedziała. – Senator zastanawiał się przez chwilę. – Znajdź mu coś daleko. W Indian Hills. Jakieś mieszkanie z oddzielnym wejściem.

– Ale to nie wypada, żeby on...

– Peter... zrób to!

Rozdział czwarty

Rozwiązanie swojego problemu Leslie znalazła w dwu całkiem odmiennych wiadomościach zamieszczonych w „Lexington Herald-Leader”. Pierwsza była długa, pochlebną redakcyjną pochwałą gubernatora Olivera Russella, której ostatnia linijka brzmiała: „Nikt z nas tutaj, w Kentucky, kto go zna, nie zdziwi się, kiedy pewnego dnia Oliver Russell zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych”. W drugim artykule na następnej stronie zamieszczono wiadomość:

„Henry Chambers, dawny mieszkaniec Lexington, którego koń Lightning wygrał przed pięciu laty Derby w Kentucky, i Jessica, jego trzecia żona, rozwiedli się. Chambers, mieszkający obecnie w Phoenix, jest właścicielem i wydawcą «Phoenix Star»”.

Potęga prasy. Oto prawdziwa potęga. Katherine Graham i jej „Washington Post” zniszczyły jednego prezydenta.

To właśnie wtedy skryzalizował się w jej głowie ten pomysł.

Następne dwa dni Leslie spędziła na szukaniu wiadomości o Chambersie. Internet miał kilka interesujących informacji na jego temat. Chambers był pięćdziesięcioletnim filantropem, który odziedziczył fortunę powstałą w branży tytoniowej, i większą część swego życia poświęcił na jej wydawanie. Ale to nie jego pieniądze interesowały Leslie.

Zainteresowało ją to, że był właścicielem gazety i że właśnie otrzymał rozwód.

Pół godziny po spotkaniu z senatorem Davisem Leslie weszła do gabinetu Jima Baileya.

– Odchodzę, Jim.

Popatrzył na nią ze współczuciem.

– Oczywiście. Jest ci potrzebny urlop. Gdy wrócisz, będziemy mogli...

– Ja nie wrócę.

– Co? Ja... ja nie chcę, żebyś odeszła, Leslie. Ucieczka nie rozwiąże...

– Ja nie uciekam.

– Zdecydowałaś się?

– Tak.

- Będziemy niepokieszeni, że cię tracimy. Kiedy chcesz odejść?
- Już odeszłam.

Leslie Stewart rozważała wiele różnych sposobów, jak doprowadzić do spotkania z Henrym Chambersem. Możliwości było nieskończenie dużo, ale odrzucała je jedną po drugiej. To, na co się zdecyduje, musi być zaplanowane bardzo starannie... I wtedy przyszedł jej do głowy senator Davis. Davis i Chambers mieli takie same korzenie i obracali się w tych samych kręgach. Ci dwaj pewno się znają. I właśnie wtedy Leslie postanowiła zadzwonić do senatora.

Kiedy przyleciała na lotnisko Sky Harbor w Phoenix, wiedziona jakimś impulsem poszła do kiosku w hali odpraw. Kupiła egzemplarz „Phoenix Star” i dokładnie przejrzała gazetę. Bez powodzenia. Kupiła „Arizona Republic”, a potem „Phoenix Gazette”. Tu był horoskop Zoltaire’a. „Nie wierzę w astrologię. Jestem zbyt inteligentna, by wierzyć w takie głupstwa. Ale...”

Lew (23 lipca – 22 sierpnia)

Jupiter łączy się z twoim słońcem. Zrealizujesz romantyczne plany, które teraz poczynisz. Wspaniałe widoki na przyszłość. Działaj ostrożnie.

Limuzyna z szoferem czekała na nią przy zakręcie.

- Panna Stewart?
- Tak.
- Pan Chambers przesyła wyrazy szacunku i prosił mnie, żebym zawiózł panią do hotelu.
- To bardzo uprzejmie z jego strony.

Leslie była rozczarowana. Myślała, że Chambers sam po nią przyjedzie.

– Pan Chambers chciałby wiedzieć, czy nie będzie pani zajęta dziś wieczorem i czy zechce pani zjeść z nim kolację.

„Lepiej, o wiele lepiej”.

- Proszę mu powiedzieć, że będę zachwycona.

Tego samego wieczora o godzinie ósmej Leslie jadła kolację z Henrym Chambersem. Był to sympatyczny mężczyzna o arystokratycznej twarzy, siwiejących brązowych włosach, przymilny i tryskający entuzjazmem.

Przyglądał się Leslie z zachwytem.

- Todd miał rację mówiąc, że wyświadcza mi przysługę.

Leslie się uśmiechnęła.

- Dziękuję.
- Co panią skłoniło do podjęcia decyzji, żeby przyjechać do Phoenix, Leslie?

„Tak naprawdę to wcale nie to chcesz wiedzieć” – pomyślała.

– Wiele słyszałam o tym mieście i doszłam do wniosku, że przyjemnie byłoby tu zamieszkać.

– To wspaniałe miejsce. Pokocha je pani. W Arizonie jest wszystko: Wielki Kanion, pustynia, góry. Znajdzie pani tu wszystko, czego pani zapragnie.

„I znalazłam”.

– Będzie pani potrzebne jakieś mieszkanie; jestem pewny, że uda mi się coś znaleźć.

Leslie przypuszczała, że pieniądze, jakie ma, wystarczą jej na trzy miesiące. Okazało się, że na zrealizowanie planu potrzebowała tylko dwóch miesięcy.

Księgarnie pełne były poradników dla kobiet, jak zdobyć mężczyznę. Znajdowały się w nich różne rady, od: „zgrywaj się na oziębłą” do „przywiąż go do łóżka”. Leslie nie zastosowała się do żadnej z tych rad. Miała swoją własną metodę. Zadręczała Henry’ego Chambersa, ale nie fizycznie, lecz intelektualnie. Henry nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak ona. Wywodził się ze starej szkoły, w której głoszono, że jeśli blondynka jest piękna, to musi być głupia. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że pociągają go kobiety piękne, ale niezbyt inteligentne. Leslie stała się dla niego objawieniem. Inteligentna i elokwentna, zorientowana w zadziwiająco wielu dziedzinach. Rozmawiali o filozofii, religii, historii i Henry zwierzył się kiedyś jednemu z przyjaciół:

– Myślę, że ona mnóstwo czyta, więc może mi dotrzymywać kroku.

Przebywanie w towarzystwie Leslie sprawiało Henry’emu Chambersowi ogromną przyjemność. Przedstawiał ją z dumą swoim przyjaciołom, starał się mieć zawsze przy sobie, jak trofeum. Zabrał ją do Carefree Wine i na Festiwal Sztuk Pięknych, byli w Teatrze Aktorskim. Podziwiali grę Suns na America West Arena. Byli w Lyon Gallery w Scottsdale, w Symphony Hall, a także w małym mieście Chandlera w Scottsdale, żeby podziwiać Paradę Doo-dah. Pewnego dnia poszli zobaczyć, jak Roadrunners grają w Phoenix w hokeja.

Po meczu hokejowym Henry powiedział:

– Naprawdę ogromnie cię lubię, Leslie. Myślę, że byłoby nam wspaniale razem. Chciałbym się z tobą kochać.

Ujęła jego dłoń w swoje ręce i powiedziała łagodnie:

– Ja też cię lubię, Henry, ale odpowiedź brzmi: nie.

Następnego dnia umówili się na lunch. Henry zatelefonował do Leslie:

– Dlaczego nie miałabyś przyjechać po mnie do „Star”. Chcę, żebyś zobaczyła moje miejsce pracy.

– Ja także bardzo tego pragnę – powiedziała Leslie.

Na to właśnie czekała. W Phoenix wychodziły jeszcze dwie inne gazety: „Arizona Republic” i „Phoenix Gazette”.

Biura i dział produkcji „Star” okazały się skromniejsze, niż Leslie przewidywała. Henry obszedł z nią wszystkie działy i kiedy Leslie rozglądała się dookoła, pomyślała: „To nie doprowadzi do ruiny gubernatora ani prezydenta”. Ale był to jakiś początek. Leslie miała pewne plany związane z tym miejscem.

Interesowało ją wszystko. Bez przerwy zadawała Henry’emu jakieś pytania, a on referował je Lyle’emu Bannisterowi, naczelnemu redaktorowi. Leslie była zdumiona, jak mało Henry wie o sprawach związanych z gazetą i jak niewiele go to obchodzi. Tym bardziej pragnęła nauczyć się wszystkiego, co tylko będzie mogła.

Wydarzyło się to w „Borgacie”, restauracji znajdującej się w budynku przypominającym zamek w starym włoskim miasteczku. Kolacja była wyśmienita. Jedli zupę z homara, medaliony cielece z sosem bearnaise, białe szparagi w sosie vinaigrette i suflet „Grand Marnier”. Henry był odprężony, czarujący i spędzili uroczy wieczór.

– Uwielbiam Phoenix – mówił. – Trudno uwierzyć, że zaledwie pięćdziesiąt lat temu mieszkało tu tylko sześćdziesiąt pięć tysięcy ludzi. Dziś jest ich ponad milion.

Leslie interesowała jedna rzecz:

– Co cię skłoniło do opuszczenia Kentucky i przeniesienia się tutaj, Henry?

Wzruszył ramionami.

– To nie była moja decyzja, naprawdę. To przez te moje przeklęte płuca. Lekarze nie wiedzieli, ile mi pozostało życia. Orzekli, że w Arizonie jest najodpowiedniejszy dla mnie klimat. Więc zdecydowałem się spędzić resztę swego życia – cokolwiek to znaczy – żyjąc zgodnie z ich zaleceniem. – Uśmiechnął się do niej. – I oto jesteśmy tutaj. Ujął jej dłoń. – Kiedy mi powiedzieli, jakim dobrodziejstwem stanie się to miejsce dla mnie, nie mieli o niczym pojęcia. Nie myślisz, że jestem dla ciebie za stary, prawda? – zapytał z niepokojem.

Leslie się uśmiechnęła.

– Za młody. O wiele za młody.

Henry patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

– Mówię poważnie. Wyjdiesz za mnie?

Leslie na chwilę zamknęła oczy. Zobaczyła drewnianą tablicę w Interstate Park z napisem: „Leslie, wyjdiesz za mnie?” „...Niestety, nie mogę ci obiecać, że poślubisz gubernatora, ale jestem całkiem niezłym prawnikiem”.

Otworzyła oczy i spojrzała na Henry’ego.

– Tak, chcę wyjść za ciebie.

„Pragnę tego bardziej niż cegokolwiek na świecie” – dodała w myśli.

Pobrali się dwa tygodnie później.

Gdy zawiadomienie o ślubie ukazało się w „Lexington Herald-Leader”, senator Todd Davis czytał je uważnie i długo. Przypomniał sobie spotkanie z Leslie. „Przepraszam, że zawracam panu głowę, senatorze Davis, ale chcę się dowiedzieć, czy mogłabym się z panem zobaczyć?... Pragnę pana prosić o przysługę... Czy pan zna Henry’ego Chambersa? Byłabym wdzięczna, gdyby pan mi dał list polecający do niego”.

Jeśli to jest wszystko, o co jej chodzi, nie będzie problemu...

Jeśli to jest wszystko.

Leslie i Henry miesiąc miodowy spędzili w Paryżu i dokądkolwiek poszli, Leslie zastanawiała się, czy Oliver i Jan zwiedzali te same miejsca, spacerowali tymi samymi ulicami, jadali kolacje w tych samych lokalach, kupowali w tych samych sklepach. Wyobrażała sobie ich razem, jak się kochają, jak Oliver szepcze Jan te same kłamstwa, które szeptał jej. Kłamstwa, za które drogo zapłaci.

Henry szczerze ją kochał i robił, co mógł, żeby była szczęśliwa. W innych okolicznościach Leslie mogłaby się w nim zakochać, ale coś w niej gdzieś, bardzo głęboko, umarło. „Nigdy już nie potrafię zaufać żadnemu mężczyźnie”.

Kilka dni po powrocie z Paryża zaskoczyła Henry’ego mówiąc:

– Henry, chciałabym pracować w twojej gazecie.

Roześmiał się.

– Dlaczego?

– Myślę, że to byłoby interesujące. Pracowałam na kierowniczym stanowisku w pewnej agencji reklamowej. Mogłabym prawdopodobnie i tu być pomocna w tej dziedzinie.

Zaprotestował, ale w końcu się poddał.

Henry zauważył, że Leslie codziennie czyta „Lexington Herald-Leader”.

– Trzymasz ze swoimi ziomkami – dokuczał jej.

– W pewnym sensie – odpowiedziała.

Chcicie czytać każde słowo, jakie napisano o Oliverze. Pragnęła, żeby był szczęśliwy i żeby odnosił sukcesy... „Im większe one będą...”

Gdy Leslie zwróciła uwagę Henry’ego na fakt, że „Star” przynosi straty, roześmiał się lekceważąco.

– Kochanie, to jest kropla w morzu. Pieniądze napływają też z miejsc, o których nigdy nie słyszałaś. To nie ma znaczenia.

Ale dla Leslie miało znaczenie. Ogromne znaczenie. Kiedy zaczęła się coraz bardziej angażować w wydawanie gazety, odniosła wrażenie, że głównym powodem strat są związki zawodowe. „Phoenix Star” drukowano na przestarzałych maszynach, ale związkowcy nie

chcieli się zgodzić na nowy sprzęt, ponieważ, jak mówili, będzie ich to kosztowało utratę pracy. Bez przerwy negocjowali nową umowę z gazetą „Star”.

Leslie próbowała przedyskutować tę sprawę z Henrym, ale zbył ją słowami:

- Czemu chcesz sobie zawracać głowę takimi głupstwami. Bawmy się.
- Świetnie się bawię – zapewniła go.

Spotkała się z Craigiem McAllisterem, radcą prawnym „Star”.

- Jak tam negocjacje?
- Chciałbym mieć dla pani lepsze wiadomości, pani Chambers, ale, niestety, sytuacja nie wygląda dobrze.
- Ciągle próbujemy się dogadać, co?
- Pozornie, ale Joe Riley, przewodniczący związku drukarzy, jest nieustępliwym synem pewnego... nieustępliwego człowieka. Nie ustąpi ani na jotę. Umowa drukarzy wygasa za dziesięć dni i Riley mówi, że jeśli związek nie uzyska do tego czasu nowego kontraktu, zaczną strajkować.
- Wierzy mu pan?
- Tak. Nie lubię ulegać związkowcom, ale prawda jest taka, że bez nich nie będziemy mieli żadnej gazety. Mogą nas zmusić do zamknięcia całego interesu. Niejedna gazeta zbankrutowała tylko dlatego, że próbowała ignorować związki.
- Czego żądają?
- Tego, co zwykle. Krótszego dnia pracy, podwyżki płac, zabezpieczenia przed przyszłą automatyzacją...
- Przyciskają nas, Craig. Nie podoba mi się to.
- To nie jest sprawa emocji, pani Chambers. To sprawa egzystencji.
- A więc pan radzi się poddać?
- Myślę, że nie mamy wyboru.
- „Dlaczego nie miałabym porozmawiać z Joe Rileyem?”

Umówiła się na spotkanie na godzinę drugą, ale spóźniła się wracając z lunchu. Kiedy weszła do biura recepcji, Riley już na nią czekał, rozmawiając z jej sekretarką Amy, śliczną, ciemnowłosą młodą kobietą.

Joe Riley był rubasznym Irlandczykiem. Mógł mieć około czterdziestu pięciu lat. Jako drukarz pracował od ponad piętnastu. Przed trzema laty wybrano go na przewodniczącego związku i zyskał sobie opinię najbardziej nieustępliwego negocjatora. Leslie zatrzymała się na chwilę obserwując, jak flirtuje z Amy.

Mówił:

– ...i wtedy ten facet odwrócił się do niej i powiedział: „Łatwo pani mówić, ale jak się wydam?”?

Amy się roześmiała.

– Gdzie pan to słyszał, Joe?

– Kręcę się tu i ówdzie, kochaneczko. Co byś powiedziała na wspólną kolacyjkę dziś wieczorem?

– Z przyjemnością.

Riley podniósł wzrok i zobaczył Leslie.

– Dobry wieczór, pani Chambers.

– Dobry wieczór, panie Riley. Proszę, niech pan wejdzie.

Siedzieli w sali konferencyjnej dla dziennikarzy.

– Ma pan ochotę na kawę? – zaproponowała Leslie.

– Nie, dziękuję.

– Coś mocniejszego?

Uśmiechnął się szeroko.

– Wie pani, że picie w czasie trwania kampanii jest niezgodne z regulaminem, pani Chambers.

Leslie zaczerpnęła powietrza.

– Chciałabym, żebyśmy sobie porozmawiali, ponieważ słyszałam, że jest pan bardzo uczciwym człowiekiem.

– Staram się być – powiedział Riley.

– Chcę, żeby pan wiedział, że rozumiem związkowców. Myślę, że pańscy ludzie mają pewne prawa, ale to, czego żądacie, jest niedorzeczne. Niektóre wasze roszczenia kosztują nas rocznie miliony dolarów.

– Czy mogłaby pani to sprecyzować?

– Z przyjemnością. Robotnicy pracują krócej i znajdują sposoby, by dostać się na zmianę, na której płacą nadgodziny. Niektórzy pracują na trzy zmiany na styk i poświęcają na to cały weekend. Nie możemy tego dłużej tolerować. Ponosimy straty, ponieważ nasze wyposażenie jest przestarzałe. Gdybyśmy mogli wprowadzić nowoczesną produkcję...

– Wykluczone. Nowe wyposażenie, które pani chce zainstalować, odbierze moim ludziom pracę, a ja nie mam zamiaru pozwolić na to, żeby maszyny spowodowały wyrzucenie ludzi na bruk. Te cholerne maszyny nie muszą jeść, a moi ludzie tak. – Riley wstał. – Nasza umowa wygasa w przyszłym tygodniu. Albo osiągniemy to, czego żądamy, albo rozpoczniemy strajk.

Kiedy Leslie wspomniała wieczorem o tym spotkaniu Henry’emu, powiedział:

– Czemu chcesz się mieszać do tego wszystkiego? Związki to jest coś, z czym wszyscy musimy żyć. Pozwól, że ci dam drobną radę, moja droga. Jesteś nowa w tym wszystkim i jesteś kobietą. Niech się tym zajmą mężczyźni. Niech nie... – Przerwał, zabrakło mu tchu.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Leslie.

Skinał głową.

– Widziałem się dzisiaj z tym moim głupim doktorem, i on uważa, że powinienem mieć butlę z tlenem.

– Załatwię to – powiedziała Leslie. – I zatrudnię pielęgniarkę, żeby, gdy mnie tu nie ma...

– Nie. Niepotrzebna mi pielęgniarka. Jestem... jestem tylko trochę zmęczony.

– Chodź, Henry, pomogę ci się położyć do łóżka.

Trzy dni później, kiedy Leslie wezwała pogotowie, Henry powiedział:

– Idź, malutka. Ja po prostu spokojnie poleżę. Nie przejmuj się.

Butla z tlenem pomogła, ale Henry czuł się słaby i był przygnębiony.

Leslie zadzwoniła do domowego lekarza opiekującego się mężem.

– Zbyt dużo traci na wadze i ma bóle. Musi pan doktor mu jakoś pomóc.

– Pani Chambers, robimy wszystko, co możemy. Proszę dopilnować, żeby dużo odpoczywał i brał lekarstwa.

Leslie siedziała patrząc na leżącego w łóżku, kaszlącego Henry'ego.

– Przepraszam cię za te uwagi na temat spotkania – powiedział Henry. – Tak czy owak, ty trzymasz ster. Nikt tu nie może nic poradzić.

Leslie tylko się uśmiechnęła.

Rozdział piąty

Członkowie zarządu siedzieli dookoła stołu w pokoju konferencyjnym w oczekiwaniu na Leslie. Sączyli kawę i częstowali się bajglami i serkami śmietankowymi.

– Przepraszam, że musieliście panowie czekać – powiedziała wchodząc. – Henry przesyła pozdrowienia.

Wiele się zmieniło od pierwszego zebrania zarządu, w którym Leslie też uczestniczyła. Z początku ludzie ci traktowali ją z góry, jak intruza, ale stopniowo, gdy dowiedziała się wystarczająco dużo o firmie, by podsuwać cenne sugestie, zyskała ich szacunek. Teraz, kiedy zebranie miało się zaraz rozpocząć, Leslie odwróciła się do Amy, która podawała kawę.

– Amy, chciałabym, żebyś została na zebraniu.

Amy popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Obawiam się, pani Chambers, że moja stenografia nie jest zbyt dobra. Cynthia robi to lepiej ode...

– Nie chcę, żebyś protokołowała każdą minutę zebrania. Po prostu zanotuj, jakie decyzje podejmiemy na końcu.

– Tak, proszę pani. – Amy wzięła notes i pióro i usiadła na krześle pod ścianą.

Leslie zwróciła się do zebranych.

– Mamy kłopot. Nasza umowa z drukarzami prawie wygasa. Od trzech miesięcy prowadzimy negocjacje i nie udało się nam dojść do porozumienia. Musimy podjąć jakąś decyzję i trzeba to zrobić szybko. Zapoznaliście się panowie ze sprawozdaniem, które wam przesłałam? Chciałabym usłyszeć wasze opinie. – Popatrzyła na Gene'a Osborna, partnera miejscowej firmy prawniczej

– Jeśli chce pani znać moje zdanie, Leslie, to uważam, że oni dostają już i tak cholernie dużo. Damy im to, czego żądają, teraz, a jutro zażądają jeszcze więcej.

Leslie skinęła głową i popatrzyła na Aarona Drexela, właściciela miejscowego domu towarowego.

– Aaron?

– Muszę się zgodzić. Jest piekielnie dużo sezonowych pracowników. Jeśli im coś damy, powinniśmy otrzymać coś w zamian. Według mnie my wytrzymamy strajk, oni nie.

Komentarze pozostałych były podobne.

Leslie zaprotestowała:

– Muszę powiedzieć, że się z wami wszystkimi nie zgadzam.

Popatrzyli na nią zdziwieni.

– Myślę, że powinniśmy pozwolić, żeby dostali to, czego chcą.

– To szaleństwo.

– To spowoduje eskalację żądań, będą chcieli zostać właścicielami tej gazety.

– Nic ich nie powstrzyma.

– Nie może pani ustępować.

Leslie pozwoliła im mówić. Kiedy skończyli, powiedziała:

– Joe Riley to uczciwy człowiek. On wierzy w słuszność swych żądań.

Siedząca pod ścianą Amy przysłuchiwała się tej dyskusji ze zdziwieniem. Zabrała głos jedna z kobiet:

– Dziwię się, że staje pani po ich stronie.

– Nie stoję po niczyjej stronie. Po prostu uważam, że musimy w tym wszystkim zachować rozsądek. Zresztą to nie jest moja decyzja. Poddajmy sprawę pod głosowanie. – Odwróciła się do Amy. – To jest właśnie to, co chcę, żebyś zamieściła w protokole z tego spotkania.

– Tak, proszę pani.

Leslie znów zwróciła się do zebranych.

– Wszyscy, którzy sprzeciwiają się żądaniom związkowców, niech podniosą rękę.

Jedenaście dłoni uniosło się do góry.

– Odnotuj w protokole, że ja głosowałam „za”, a reszta komitetu przeciwko akceptacji żądań związkowców.

Amy pisała coś zamyślona w swoim notesie.

– A więc tak to wygląda – powiedziała Leslie. Wstała. – Jeśli nie ma innych spraw...

Inni także podnieśli się z krzeseł.

– Dziękuję wszystkim za przybycie. Obserwowała, jak wychodzą, a potem zwróciła się do Amy.

– Przepisz to, proszę, na maszynie. Dobrze?

– Zaraz to zrobię, pani Chambers.

Leslie wróciła do swojego pokoju.

Wkrótce potem zadzwonił telefon.

– To pan Riley, na jedyńce – powiedziała Amy.

Leslie podniosła słuchawkę.

– Halo.

– Joe Riley. Chciałem tylko podziękować za to, co próbowała pani zrobić...

- Nie rozumiem – przerwała mu Leslie.
- ...na tym zebraniu Rady. Słyszałem, co się stało.
- Dziwię się, panie Riley. To było prywatne spotkanie.

Joe Riley zachichotał.

– Powiedzmy więc, że mam przyjaciół na niskich stanowiskach. W każdym razie uważam, że to, co pani próbowała zrobić, było wspaniałe. Wielka szkoda, że nie pomogło.

Zapadła krótka cisza, po czym Leslie powiedziała wolno:

- Panie Riley... a co by było, gdybym mogła sprawić, żeby pomogło?
- Co pani ma na myśli?
- Mam pewien pomysł, ale wolałabym nie rozmawiać o tym przez telefon. Czy moglibyśmy się spotkać gdzieś... dyskretnie.

Nastąpiła pauza.

- Oczywiście. O jakim miejscu pani myśli?
- Gdzieś, gdzie żadne z nas nie zostałyby rozpoznane.
- A co pani sądzi o spotkaniu w „Golden Cup”?
- Dobrze. Przyjdę tam za godzinę.
- Będę na panią czekał.

„Golden Cup” była to zakazana kafejka w zniszczonej dzielnicy Phoenix, w pobliżu torów kolejowych, w rejonie, przed którym policja przestrzega turystów, zalecając im, aby trzymali się z daleka. Gdy Leslie weszła do środka, Joe Riley siedział już przy stoliku w kącie. Wstał, kiedy się zbliżyła.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedziała.

Usiedli.

– Przyszedłem, ponieważ pani powiedziała, że być może jest jakiś sposób, żebym odzyskał swoją umowę.

– Jest. Uważam, że zarząd jest głupi i krótkowzroczny. Próbowałam z nimi rozmawiać, ale nie chcieli mnie słuchać.

Skinął głową.

- Wiem. Radziła im pani, żeby zawarli z nami nową umowę.
- Właśnie. Oni nie zdają sobie sprawy, jak ważni jesteście wy, drukarze, dla naszej gazety.

Przyglądał jej się bacznie, zaskoczony.

- Ale skoro panią przegłosowano, jak możemy?...
- Jedynym powodem, dla którego mnie przegłosowano, jest fakt, że oni nie traktują pańskiego związku poważnie. Jeżeli chcecie uniknąć długiego strajku, a także, być może, upadku gazety, musicie ich przekonać, że mówicie prawdę.
- Jak to?

– To, co panu mówię, mówię w największej tajemnicy, ale to jedyny sposób, żebyście dostali to, czego żądacie. Sprawa jest prosta. Oni myślą, że wy tylko blefujecie. Nie wierzą, że mówicie poważnie. Musicie im pokazać, że to prawda. Wasza umowa wygasa w ten piątek o północy.

– Tak...

– Oni się będą spodziewać, że wy po prostu spokojnie sobie wyjdziecie. Nie róbcie tego.

Riley słuchał uważnie.

– Nie mam na myśli niczego poważnego – uspokoiła go szybko Leslie. – Tylko tyle, żeby im pokazać, że mówicie poważnie. Odetnijcie kilka kabli. Uszkodźcie parę maszyn drukarskich. Dajcie im nauczkę, niech wiedzą, że jesteście im potrzebni, żeby je uruchomić. Wszystko może zostać naprawione w ciągu kilku dni, ale tymczasem nastraszyć ich do nieprzytomności. W końcu zrozumieją, z kim mają do czynienia.

Joe Riley długo przyglądał się Leslie.

– Jest pani niezwykłą kobietą.

– Nic podobnego. Przemyslałam to wszystko i uważam, że jest prosty wybór: Albo spowodujecie niewielką awarię, która może zostać łatwo usunięta, i zmusicie dyrekcję do negocjacji, albo zrezygnujecie z tego, wyjdziecie spokojnie i rozpoczniecie długi strajk, po którym gazeta już nigdy nie stanie na nogi. Wszystko, na czym mi zależy, to ochrona gazety.

Powoli uśmiech rozjaśnił twarz Riley'a.

– Pozwoli pani, pani Chambers, że postawię pani filiżankę kawy.

Strajkujemy!

We wtorek w nocy, minuta po dwunastej, drukarze pod wodzą Joe Riley'a zaatakowali. Powyrywali części maszyn, przewracali stoły zastawione różnymi urządzeniami i podpalili dwie maszyny. Strażnik, który próbował ich powstrzymać, został dotkliwie pobity. Drukarze, którzy chcieli z początku jedynie uszkodzić kilka maszyn, ulegli ogólnej gorączce i podnieceniu i zaczęli dewastować wszystkie urządzenia.

– Pokażmy tym draniom, że nie mogą nas ot, tak, po prostu wylać! – krzyknął jeden z mężczyzn.

– Bez nas nie będzie gazety!

– „Star” to my!

Okrzyki radości wzmagaly się. Ludzie stawali się coraz bardziej agresywni. Hala maszyn przemieniła się w istne piekło.

I nagle, w tym ogólnym zamieszaniu, z czterech kątów hali rozbłysły światła reflektorów. Mężczyźni, zdezorientowani, stanęli jak wryci rozglądając się dookoła. W pobliżu drzwi kamery telewizyjne rejestrowały rozgorączkowanych ludzi i obraz zniszczenia. Obok nich reporterzy z „Arizona Republic”, „Phoenix Gazette” i kilku dziennikarzy z serwisów

wiadomości opisywali zdewastowane pomieszczenia. Pojawił się co najmniej tuzin policjantów i strażaków.

Joe Riley rozglądał się dookoła, wstrząśnięty. „Jak, u diabła, udało im się wszystkim tu przybyć tak szybko?”

Kiedy policja zaczęła okrążyć ludzi, a strażacy odkręcili wodę z węży strażackich, odpowiedź przyszła sama, i Riley poczuł się tak, jak gdyby ktoś kopnął go w żołądek. „To Leslie Chambers wszystko uknuła!” Jak tylko ten obraz zniszczeń, których dokonali związkowcy, ujrzy światło dzienne, nie będą mogli liczyć na zrozumienie. Opinia publiczna obróci się przeciwko nim. „Ta wiedźma to wszystko zaplanowała...”

Relacje telewizyjne nadano w ciągu godziny, a radio podawało ze szczegółami opis rozmyślnej dewastacji. Serwisy informacyjne na całym świecie drukowały tę historię i wszyscy podejmowali temat okrutnych pracowników, którzy wystąpili przeciwko swym pracodawcom. Był to wielki triumf public relations gazety „Star”.

Leslie wszystko doskonale przygotowała. Wcześniej, w tajemnicy, wysłała kilku wykwalifikowanych pracowników do Kansas, żeby poznali tajniki obsługi wielkich maszyn drukarskich. Natychmiast po tym akcie sabotażu dwa inne strajkujące związki, pocztowców i fototechników, doszły do porozumienia z gazetą „Star”.

Po porażce związku, gdy została otwarta droga dla modernizacji, zyski zaczęły rosnać, a wydajność z dnia na dzień podskoczyła o dwadzieścia procent.

Następnego ranka po strajku Amy dostała wymówienie.

Dwa lata po ślubie z Leslie w pewne piątkowe popołudnie Henry miał lekki atak niestrawności. W sobotę rano nasilił się ból klatki piersiowej i Leslie wezwała karetkę, żeby go odwieźć do szpitala. W niedzielę Henry Chambers zmarł.

Cały swój majątek pozostawił żonie.

W poniedziałek po pogrzebie Craig McAllister przyszedł zobaczyć się z Leslie.

– Chciałbym się zastanowić z panią nad pewnymi prawnymi sprawami, ale jeśli jest zbyt wcześnie...

– Nie – powiedziała Leslie. – Czuję się dobrze.

Śmierć Henry’ego dotknęła ją bardziej, niż się spodziewała. Był droгим, miłym człowiekiem i wykorzystała go, żeby jej pomógł się zemścić. I w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób Leslie uznała, że śmierć Henry’ego jest jeszcze jednym powodem, żeby zniszczyć Olivera.

– Co pani chce zrobić ze „Star”? – zapytał McAllister. – Nie wyobrażam sobie, by zajmowała się pani nadal wydawaniem tej gazety.

– To jest właśnie to, co zamierzam robić. Będziemy się rozrastać.

Leslie posłała po egzemplarz „Managing Editor”, pisma branżowego, które podaje listy pośredników kupna-sprzedaży gazet w całych Stanach Zjednoczonych. Wybrała Dirks, Van Essen i Associates w Santa Fe w stanie Nowy Meksyk.

– Mówi Henrykowa Chambers. Jestem zainteresowana nabyciem jeszcze jednej gazety i chciałam się dowiedzieć, czym rozporządza państwo w tej chwili...

Okazało się, że jest „Sun” w Hammond w stanie Oregon.

– Chciałabym, żebyś tam poleciał i rzucił na to okiem – powiedziała Leslie do McAllistera.

Po dwóch dniach McAllister zatelefonował.

– Może pani zapomnieć o „Sun”, pani Chambers.

– W czym problem?

– Problem w tym, że Hammond jest miastem, w którym wychodzą tylko dwie gazety. Dzienny nakład „Sun” wynosi piętnaście tysięcy. Ta druga gazeta, „Hammond Chronicle”, ma nakład prawie podwójny, dwadzieścia tysięcy egzemplarzy. Właściciel „Sun” żąda pięciu milionów dolarów. Ta transakcja nie ma żadnego sensu.

Leslie myślała przez chwilę.

– Proszę na mnie zaczekać – powiedziała. – Jadę tam.

Dwa następne dni Leslie spędziła starając się poznać gazetę i studiując jej księgi.

– Nie ma mowy, żeby „Sun” konkurowała z „Chronicle” – zapewniał ją McAllister. – „Chronicle” bez przerwy się rozrasta. Nakład „Sun” spadał co roku przez ostatnie pięć lat.

– Wiem – powiedziała Leslie. – Mam zamiar ją kupić.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Co ma pani zamiar zrobić...?

– Mam zamiar ją kupić.

Wszystkie formalności załatwiono w ciągu trzech dni. Właściciel „Sun” był zachwycony, że się pozbył gazety.

– Wydołem tę paniusią przy tej transakcji – piał z radości. – Zapłaciła mi okrągłutkie pięć milionów.

Walt Meriwether, właściciel „Hammond Chronicle”, przyszedł do Leslie.

– Jak rozumiem, jest pani moim nowym konkurentem – powiedział wesoło.

Leslie potaknęła.

– To prawda.

– Jeśli nie będzie pani tutaj szło dobrze, być może będzie pani zainteresowana sprzedażą „Sun”. Chętnie kupię.

Leslie uśmiechnęła się.

– A jeśli mi się powiedzie, może pan będzie zainteresowany sprzedażą mnie „Chronicle”.

Meriwether się roześmiał.

– Oczywiście. Życzę dużo szczęścia, pani Chambers.

Wróciwszy do redakcji „Chronicle”, Meriwether powiedział z przekonaniem:

– Za sześć miesięcy „Sun” będzie nasza.

Leslie wróciła do redakcji „Phoenix” i przeprowadziła rozmowę z jej naczelnym redaktorem, Lyle’em Bannisterem.

– Pojedzie pan ze mną do Hammond w stanie Oregon. Chcę, żeby pan redagował tę gazetę, dopóki nie stanie na nogi.

– Rozmawiałem z panem McAllisterem – powiedział Bannister. – Ta gazeta nie ma nóg. Czeka ją kompletna klapa.

Leslie przypatrywała mu się pilnie przez chwilę.

– Niech mnie pan nie rozśmiesza.

W Oregonie Leslie zwołała zebranie pracowników „Sun”.

– Zamierzamy działać trochę inaczej – poinformowała ich. – Jest to miasto, w którym wychodzą dwie gazety, i zostaniemy właścicielami obu.

Derek Zornes, redaktor naczelny „Sun”, powiedział:

– Proszę mi wybaczyć, pani Chambers. Nie jestem pewien, czy pani rozumie sytuację. Nakład naszej gazety kształtuje się daleko poniżej nakładu „Chronicle” i spada z każdym miesiącem. Nie ma mowy, żebyśmy mogli kiedykolwiek ich dogonić.

– Zamierzamy ich nie tylko dogonić – zapewniła go Leslie. – Wyeliminujemy „Chronicle” z całego interesu.

Wszyscy znajdujący się w pokoju mężczyźni popatrzyli na siebie i wszyscy pomyśleli o tym samym. Kobiety i amatorzy powinni się, do diabła, trzymać z daleka od gazet.

– Jak pani zamierza to osiągnąć? – zagadnął grzecznie Zornes.

– Oglądał pan kiedykolwiek walki byków? – zapytała Leslie.

Zamrugnął powiekami.

– Walki byków? Nie...

– A więc, kiedy byk wypada na arenę, matador nie atakuje go tak, żeby zabić od razu. Zadaje bykowi rany, dopóki tak go nie osłabi, by móc to zrobić bez trudu.

Zornes starał się pohamować śmiech.

– I my będziemy zadawać rany „Chronicle”.

– Właśnie.

– W jaki sposób?

– Począwszy od poniedziałku obniżamy cenę „Sun” z trzydziestu pięciu centów do dwudziestu. Cenę za zamieszczane przez nas reklamy obniżamy o trzydzieści procent. W następnym tygodniu rozpoczynamy darmowy konkurs, w którym nasi czytelnicy będą mogli wygrać bezpłatne wycieczki po całym świecie. Warunki konkursu podamy natychmiast.

Gdy pracownicy zebrali się później, żeby podyskutować o tym zebraniu, zgodnie stwierdzili, że ich gazetę kupiła jakaś wariatka.

Rozpoczęło się zadawanie ran, ale to „Sun” je odnosił.

McAllister zapytał Leslie:

– Czy orientuje się pani mniej więcej, ile pieniędzy traci „Sun”?

– Wiem dokładnie, ile traci – odpowiedziała Leslie.

– Jak długo ma pani zamiar to ciągnąć?

– Aż do zwycięstwa – uśmiechnęła się Leslie. – Niech się pan nie martwi. Zwycięzimy.

Ale Leslie się martwiła. Straty z każdym tygodniem stawały się coraz poważniejsze. Nakład spadał nadal, a firmy zamieszczające reklamy w „Sun” wiadomość o obniżce przyjęły chłodno.

– Pani teoria się nie sprawdza – powiedział McAllister. – Musimy coś zrobić, żeby przestać ponosić straty. Przypuszczam, że może pani nadal wypompowywać się z pieniędzy, tylko jaki to ma sens?

W następnym tygodniu sprzedaż gazety przestała spadać.

Musiało upłynąć osiem tygodni, żeby „Sun” zaczęła się dźwigać z upadku. Obniżka ceny gazety i kosztów zamieszczanych w niej reklam były atrakcyjne, ale tym, co sprawiło, że nakład „Sun” wzrósł, był darmowy konkurs.

Trwał dwanaście tygodni i uczestnicy musieli brać w nim udział co tydzień. Nagrodami były rejsy po morzach południowych, wycieczki do Londynu, Paryża i Rio. Ponieważ wysokość nagrody była publikowana wraz z fotografiami zwycięzców na pierwszych stronach, nakład „Sun” zaczął gwałtownie wzrastać.

– Podjęła pani piekielne ryzyko – przyznał niechętnie Craig McAllister – ale to działa.

– To nie było ryzyko – powiedziała Leslie. – Po prostu ludzie nie potrafią się oprzeć pokusie, kiedy mogą dostać coś za nic.

Kiedy Waltowi Meriwetherowi doręczono dane dotyczące ostatnich nakładów, wpadł w furję. Po raz pierwszy od lat „Sun” wyprzedziła „Chronicle”.

– No dobra – powiedział ponuro. – W tej idiotycznej grze może wziąć udział dwoje. Chcę, żebyście obniżyli opłaty za umieszczane reklamy i zaczęli drukować jakiś konkurs.

Ale było za późno. Po upływie jedenastu miesięcy od czasu, kiedy Leslie kupiła „Sun”, Walt Meriwether przyszedł do niej.

– Wyprzedają się – powiedział lakonicznie. – Chce pani kupić „Chronicle”?

– Tak.

W dniu podpisania umowy kupna „Chronicle” Leslie wezwała do siebie personel.

– Zaczynamy w poniedziałek – oświadczyła. – Podnosimy cenę gazety „Sun”, podwajamy opłaty za umieszczane u nas reklamy i kończymy konkurs.

W miesiąc później Leslie powiedziała do Craiga McAllistera:

– „Evening Standard” w Detroit jest wystawiony na sprzedaż. Mają także stację telewizyjną. Myślę, że powinniśmy zawrzeć z nimi umowę.

McAllister zaprotestował:

– Pani Chambers, nie wiemy nic na temat telewizji i...

– A więc będziemy się musieli dowiedzieć, prawda?

Imperium, które było potrzebne Leslie, zaczęło się rozrastać.

Rozdział szósty

Dni Olivera były wypełnione pracą i uwielbiał każdą minutę tego, co robił. Trzeba było wybierać ludzi mających objąć stanowiska polityczne, proponować wnioski ustawodawcze, zatwierdzać kredyty, organizować spotkania, wygłaszać przemówienia i udzielać wywiadów. „State Journal” we Frankfort, „Herald Leader” w Lexington i „Louisville Courier-Journal” przesyłały mu artykuły pełne żarliwej aprobaty. Zyskiwał opinię gubernatora niezwykle kompetentnego. Należał do kół towarzyskich najzamożniejszych obywateli i zdawał sobie sprawę, że zawdzięcza to temu, że jest ożeniony z córką senatora Todda Davisa.

Oliver cieszył się, że mieszka we Frankfort. Było to śliczne historyczne miasto wtulone w malowniczą dolinę rzeki, pośród falistych wzgórz Kentucky, w bajecznym regionie znanym z wiechliny łąkowej. Zastanawiał się, jak by się czuł, gdyby mieszkał w Waszyngtonie.

Pracowite dni łączyły się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Oliver rozpoczął ostatni rok swojej kadencji.

Mianował Petera Tagera rzecznikiem prasowym. Był to doskonały, idealny wybór. Tager był zawsze otwarty w stosunkach z prasą, a jego skromność i staroświeckie wartości, które reprezentował i o których lubił mówić, nadawały ekipie wiarygodność, solidność i godność.

Todd Davis starał się przynajmniej raz w miesiącu przylatywać do Frankfort, by zobaczyć się z Oliverem.

– Kiedy dostaniesz rasowego konia – powiedział do Tagera – musisz cały czas mieć go na oku, żeby się upewnić, że nie stracił kondycji.

Pewnego chłodnego październikowego dnia Oliver i senator Davis siedzieli w gabinecie Olivera. Obaj panowie i Jan byli na kolacji u Gabriela i wrócili potem do rezydencji. Jan zostawiła panów samych, żeby mogli sobie porozmawiać.

– Jan sprawia wrażenie bardzo szczęśliwej, Oliverze. Cieszę się.

– Staram się, żeby była szczęśliwa, Todd.

Senator Davis patrzył na Olivera i zastanawiał się, jak często korzysta on ze swego prywatnego apartamentu.

– Ona cię bardzo kocha, synu.

– Ja ją też kocham. – Zabrzmiało to bardzo szczerze.

Senator Davis się uśmiechnął.

– Cieszę się, że to słyszę. Ona już myśli o zmianie wystroju wewnątrz w Białym Domu.

Serce Olivera podskoczyło lekko.

– Słucham?

– Och, nie mówiłem ci? Zaczęło się. Twoje nazwisko staje się znane w Waszyngtonie.

Mamy zamiar rozpocząć kampanię pierwszego dnia tego roku.

Oliver niemal bał się zadać następne pytanie.

– Czy naprawdę uważasz, że mam szansę, Todd?

– Słowo szansa implikuje jakieś ryzyko, a ja nie ryzykuję, synu. Nie angażuję się w coś, dopóki nie jestem tego pewny.

Oliver głęboko zaczerpnął powietrza. „Możesz być najważniejszą osobą na świecie”.

– Chcę, żebyś wiedział, Todd, jak bardzo jestem wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Senator Davis poklepał Olivera po ramieniu.

– Obowiązkiem mężczyzny jest pomagać swemu zięciowi, prawda?

Położenie nacisku na słowie „zięć” nie uszło uwagi Olivera.

Senator dodał zdawkowo:

– A tak na marginesie, wiesz, Oliverze, byłem bardzo rozczarowany, że ciało ustawodawcze uchwaliło projekt ustawy tytoniowej.

– Te pieniądze wypełnią braki w naszym budżecie i...

– Ale oczywiście zawetujesz ją.

Oliver wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Zawetuję?

Senator skwitował to lekkim uśmiechem.

– Oliverze, chcę, żebyś wiedział, że nie myślę o sobie. Ale mam mnóstwo przyjaciół, którzy zainwestowali swoje ciężko zarobione pieniądze w plantacje tytoniowe i nie chciałbym widzieć, jak są krzywdzeni przez uciążliwe nowe podatki. A ty?

Zapadła cisza.

– A ty, Oliverze?

– Nie – powiedział w końcu Oliver. – Chyba to nie byłoby słuszne.

– Jestem ci za to wdzięczny. Naprawdę.

Oliver powiedział:

– Słyszałem, że sprzedałeś swoje plantacje tytoniu, Todd?

Todd Davis popatrzył na niego zdziwiony.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Spółki tytoniowe dostają cięgi w sądach. Sprzedaż spada.

– Mówisz o Stanach Zjednoczonych, synu. Jest przecież wspaniały wielki świat poza nimi. Zaczekaj, aż nasze kampanie reklamowe zaczną się przetaczać przez Chiny, Afrykę, Indie. – Popatrzył na zegarek i wstał. – Muszę ruszać z powrotem do Waszyngtonu. Mam zebranie komitetu.

– Szczęśliwego lotu.

Senator Davis uśmiechnął się.

– Teraz będzie taki, synu. Będzie.

Oliver był zdenerwowany.

– Co, u diabła, mam zrobić, Peter? Podatki od tytoniu są, jak dotąd, najbardziej popularnym krokiem, przedsięwziętym w tym roku. Jak mam wytłumaczyć to założenie weta?

Peter Tager wyjął z kieszeni kilka kartek papieru.

– Wszystkie odpowiedzi są właśnie tutaj, Oliverze. Przedyskutowałem to z senatorem. Nie będziesz miał żadnych kłopotów. Na godzinę czwartą zaplanowałem konferencję prasową.

Oliver dokładnie przeczytał treść dokumentu. W końcu pokiwał głową.

– To jest dobre.

– To jest właśnie to, co ja robię. Czy jestem ci jeszcze do czegoś potrzebny?

– Nie, dziękuję. Zobaczymy się o czwartej.

Peter chciał już odejść.

– Peter.

Peter obejrzał się.

– Słucham.

– Powiedz mi coś. Jak myślisz, czy ja naprawdę mam szansę zostać prezydentem?

– Co mówi senator?

– Mówi, że tak.

Tager podeszedł z powrotem do biurka.

– Znam senatora Davisa od wielu lat, Oliverze. Przez cały ten czas nie omylił się ani razu. Ani razu. Ten człowiek ma niewiarygodny instynkt. Jeśli Todd Davis mówi, że będziesz prezydentem Stanów Zjednoczonych, możesz się założyć o farmę, że będziesz.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę.

Drzwi się otworzyły i weszła atrakcyjna młoda sekretarka, niosąc kilka faksów. Mogła mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. Była bardzo ożywiona i pełna entuzjazmu.

– O, przepraszam, gubernatorze. Nie wiedziałam, że pan jest...

– W porządku, Miriam.

Tager uśmiechnął się do dziewczyny.

– Cześć, Miriam.

– Dzień dobry, panie Tager.

– Nie wiem, jak bym sobie radził bez Miriam. Ona zrobi dla mnie wszystko – powiedział Oliver.

Miriam zaczerwieniła się.

– Jeśli nie ma pan do mnie nic poza tym...

Położyła faksy na biurku Olivera, odwróciła się i szybko wybiegła z gabinetu.

– To śliczna kobieta – powiedział Tager. Spojrzał na Olivera.

– Tak.

– Oliverze, jesteś ostrożny, prawda?

– Oczywiście. To dlatego cię prosiłem, żebyś wyszukał dla mnie to małe mieszkanko.

– Mam na myśli ostrożność, którą musi wykazywać wysoko postawiona osoba. Stawka wzrosła. Następnym razem, gdy poczujesz się napalony, przystopuj i pomyśl, czy jakaś Miriam, Alice albo Karen jest warta Owalnego Gabinetu.

– Wiem, o czym myślisz, Peter, i jestem ci wdzięczny. Ale nie potrzebujesz się o mnie martwić.

– To dobrze. – Tager popatrzył na zegarek. – Muszę iść. Zabieram Betsy i dzieci na lunch. – Uśmiechnął się. – Mówiłem ci, co Rebecca zrobiła dziś rano? To moja pięcioletnia córka. Jest taka taśma z dziecięcym przedstawieniem, i ona chciała je obejrzeć o ósmej godzinie rano. Betsy odparła: „Kochanie, obejrzysz ją sobie po lunchu”. Rebecca popatrzyła na nią i odparła: „Mamo, ja chcę teraz zjeść lunch”. Ale spryciara, co?

Oliver musiał się uśmiechnąć, słysząc dumę w głosie Tagera.

Tego wieczora o dziesiątej Oliver zajrzał do wnęki, w której Jan czytała, i powiedział:

– Kochanie, wychodzę: mam konferencję, na której muszę być.

Jan podniosła wzrok.

– O tej porze? Tak późno?

Westchnął.

– Niestety. Rano jest zebranie komitetu w sprawie budżetu i chcą mi w skrócie przedstawić to, co będzie tematem tego spotkania.

– Za ciężko pracujesz. Postaraj się wcześniej wrócić, dobrze, Oliverze? – Zawahała się chwilę. – Bardzo często ostatnio gdzieś wychodzisz wieczorami.

Zastanawiał się, czy to, co powiedziała, było ostrzeżeniem. Podeszedł do żony, pochylił się i pocałował ją.

– Nie martw się, kochanie. Będę w domu najwcześniej, jak mi się uda.

Na dole powiedział do szofera:

– Nie będziesz mi dziś wieczorem potrzebny. Biorę mały samochód.

– Tak, panie gubernatorze.

– Spóźniłeś się, kochanie. – Miriam była naga.

Podszedł do niej.

– Przepraszam. Cieszę się, że nie zaczęłaś beze mnie.

Uśmiechnęła się.

– Obejmij mnie.

Wziął ją w ramiona i przytulił mocno, a jej ciepłe ciało przywarło do niego.

– Rozbierz się. Szybko.

Potem powiedział:

– Jak by ci odpowiadała przeprowadzka do Waszyngtonu?

Miriam usiadła na łóżku.

– Mówisz poważnie?

– Bardzo. Być może się tam przeniosę. Chcę, żebyś ze mną pojechała.

– Jeśli twoja żona dowie się kiedyś o nas...

– Nie dowie się.

– Dlaczego do Waszyngtonu?

– Nie mogę ci tego teraz wyjaśnić. Mogę ci jedynie powiedzieć, że to będzie bardzo podniecające.

– Pójdę wszędzie, dokąd zechcesz, dopóki będziesz mnie kochał.

– Wiesz, że cię kocham. – Słowa płynęły łatwo, tak jak wiele razy w przeszłości.

– Kochaj się ze mną jeszcze raz.

– Chwileczkę. Mam coś dla ciebie.

Wstał i podszedł do marynarki, którą rzucił na krzesło. Wyjął z kieszeni małą buteleczkę i wlał jej zawartość do szklanki. Był to jakiś przezroczysty płyn.

– Spróbuj.

– Co to jest?

– Będzie ci smakowało. Obiecuję. – Podniósł szklankę i wypił połowę.

Miriam spróbowała trochę, po czym wypila resztę. Uśmiechnęła się.

– Niezłe.

– Po tym poczujesz się naprawdę seksy.

– Już się czuję naprawdę seksy. Wracajmy do łóżka.

Znowu się kochali, ale nagle Miriam zaczęła z trudem oddychać i powiedziała:

– Ja... nie czuję się dobrze. Nie mogę oddychać. – Oczy jej się zamykały.

– Miriam!

Nie odpowiedziała. Upadła na wznak na łóżko.

– Miriam!

Leżała bez ruchu, nieprzytomna.

„Sukinsyn! Dlaczego ty mi to robisz?”

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Dawał ten płyn wielu kobietom i tylko raz jednej zaszkodził. Musi uważać. Jeśli nie będzie stosował go we właściwy sposób, skończy się wszystko. Wszystkie jego marzenia, wszystko, co ma być uwieńczeniem jego pracy. Nie może do tego dopuścić. Stał obok łóżka patrząc na dziewczynę. Zbadał jej puls. Dzięki Bogu, jeszcze oddycha. Ale nie może pozwolić, żeby jej obecność w tym apartamencie została odkryta. Ślad poprowadzi z powrotem do niego. Musi ją zostawić gdzieś, gdzie ją ktoś znajdzie i udzieli jej pomocy lekarskiej. Mógł jej zaufać, że nie wyjawia jego nazwiska.

Zajęło mu prawie pół godziny ubranie dziewczyny i usunięcie wszystkich śladów jej obecności w apartamencie. Uchylił drzwi, żeby się upewnić, że korytarz jest pusty, po czym wziął dziewczynę na ręce, zarzucił ją sobie na ramię, zniósł na dół i umieścił w samochodzie. Dochodziła północ i ulice były puste. Zaczynał padać deszcz. Pojechał do Juniper Hill Park i upewniwszy się, że nikogo nie ma w zasięgu wzroku, wyciągnął nieprzytomną Miriam z samochodu i ostrożnie ułożył na parkowej ławce. Z ogromną przykrością pozostawiał tam dziewczynę, ale nie miał wyboru. Żadnego. Stawką była cała jego przyszłość.

Kilka stóp dalej zobaczył budkę telefoniczną. Pobiegł do niej i nakręcił numer 911.

Jan czekała na niego. Kiedy wrócił, spytała:

– Już po północy. Co ci zajęło...

– Przepraszam, kochanie. Wdaliśmy się w długą, nudną dyskusję na temat budżetu i... no, cóż, każdy miał inne zdanie.

– Jesteś błądy – powiedziała Jan. – Musisz być wyczerpany.

– Jestem trochę zmęczony – przyznał.

– Chodźmy do łóżka – uśmiechnęła się znacząco.

Pocałował ją w czoło.

– Naprawdę muszę się trochę przespać, Jan. To zebranie zważyło mnie z nóg.

Opis wypadku znalazł się następnego ranka na pierwszej stronie „State Journal”.

SEKRETARKA GUBERNATORA ZNALEZIONA NIEPRZYTOMNA W PARKU

„O godzinie drugiej nad ranem policja znalazła nieprzytomną kobietę, Miriam Friedland, leżącą na ławce w deszczu. Natychmiast wezwano karetkę i została przewieziona do Memorial Hospital, gdzie uznano jej stan za krytyczny”.

Kiedy Oliver czytał tę notkę, Peter wpadł do gabinetu z egzemplarzem gazety w ręce.

– Widziałeś to?

– Tak. To... to straszne. Dziennikarze dzwoniли przez cały ranek.

– Jak myślisz, co się mogło stać?

Oliver pokręcił głową.

– Nie wiem. Przed chwilą rozmawiałem ze szpitalem. Jest w stanie śpiączki. Próbują się dowiedzieć, co ją spowodowało. Szpital mnie zawiadomi, jak tylko będą coś wiedzieli.

Tager popatrzył na Olivera.

– Mam nadzieję, że wyjdzie z tego.

Leslie Chambers nie widziała wzmianki o wypadku w gazecie. Była w Brazylii, właśnie kupowała stację telewizyjną.

Ze szpitala zadzwoniono następnego dnia.

– Gubernatorze, właśnie zakończyliśmy testy laboratoryjne. Wypiła substancję o nazwie metylenodioxymethamphetamine, znaną powszechnie jako superekstaza. Przyjęła ją w formie płynnej, która jest nawet bardziej niebezpieczna.

– Jaki jest jej stan?

– Niestety, krytyczny. Jest w stanie śpiączki. Może się obudzić, albo... – Wahanie. – Może się to skończyć inaczej.

– Proszę informować mnie na bieżąco.

– Oczywiście. Musi pan być bardzo niespokojny, gubernatorze.

– Jestem.

Oliver Russell był na jakiejś konferencji, kiedy sekretarka szepnęła:

– Przepraszam, gubernatorze. Telefon do pana.

– Powiedziałem ci, Heather, żeby mi nie przerywać.

– Dzwoni senator Davis.

– Och.

Oliver zwrócił się do mężczyzn zebranych w pokoju.

– Skończymy później, panowie. Proszę mi wybaczyć.

Patrzył, jak wychodzą, a kiedy drzwi się za nimi zamknęły, podniósł słuchawkę.

– Todd?

– Oliver, co to za historia z tą twoją sekretarką, którą znaleziono zatrutą narkotykiem na ławce w parku?

– Tak – powiedział Oliver. – To straszne, Todd. Jestem...

– Jak straszne? – chciał się dowiedzieć senator.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, do cholery, dobrze, co mam na myśli.

– Todd, nie sądzisz chyba, że ja... przysięgam, nie mam pojęcia, co się stało.

– Mam nadzieję, że nie. – Głos senatora brzmiał groźnie... – Wiesz, Oliverze, jak szybko rozchodzą się plotki w Waszyngtonie. To jest najmniejsze miasto w Ameryce. Nie chcemy,

żeby coś negatywnego kojarzono z twoją osobą. Jesteśmy gotowi wykonać pierwszy ruch. Byłbym bardzo, bardzo zaniepokojony, gdybyś zrobił coś głupiego.

– Zapewniam pana, jestem czysty.

– Chciałbym, żebyś mnie zapewnił, że będziesz taki nadal.

– Oczywiście, że będę. Nigdy...

W słuchawce zapadła cisza.

Oliver się zamyślił. „Będę musiał być ostrożniejszy. Nie mogę pozwolić, żeby cokolwiek mnie teraz powstrzymało”. Zerknął na zegarek, potem sięgnął po pilota, żeby włączyć telewizor. Nadawano wiadomości. Na ekranie przesuwał się obraz oblężonego miasta ze snajperami strzelającymi od czasu do czasu z budynków. Z oddali dochodził odgłos strzałów z moździerzy.

Atrakcyjna młoda reporterka, ubrana w zniszczony battledress, trzymając w ręku mikrofon mówiła:

„Nowy traktat ma wejść w życie dziś o północy, ale bez względu na to, czy będzie przestrzegany, nigdy nie zapewni spokoju takim miasteczkom w tym targanym wojną kraju ani nie przywróci życia niewinnym ludziom, których zmiotły z powierzchni ziemi bezlitosne rządy terroru”.

Kamera przesunęła się i ukazała w zbliżeniu Danę Evans, śliczną, żarliwą młodą kobietę w wojskowej kurtce i takich samych butach. „Ludzie tutaj są głodni i zmęczeni. Proszą tylko o jedno: o pokój. Czy nadejdzie? Tylko czas pokaże. Z Sarajewa dla WTE mówi Dana Evans z «Washington Tribune Enterprises»”.

Obraz się zmienił. Teraz znów leciały reklamy.

Dana Evans była korespondentem zagranicznym „Washington Tribune Enterprises Broadcasting System”. Codziennie podawała wiadomości i Oliver starał się nie przeoczyć jej audycji. Była jednym z najlepszych reporterów.

„To wspaniała, piękna kobieta – pomyślał Oliver nie po raz pierwszy. – Dlaczego, do diabła, ktoś tak młody i tak atrakcyjny chce być w samym centrum takiej okrutnej wojny?”

Rozdział siódmy

Dana Evans była dzieckiem armii, córką pułkownika, który jeździł od bazy do bazy jako instruktor szkolenia. Do ukończenia jedenastu lat mieszkała w pięciu amerykańskich miastach i w czterech obcych krajach. Przenosiła się z ojcem i matką z Aberdeen Proving Ground w Marylandzie kolejno do Fort Benning w Georgii, Fort Hood w Teksasie, Fort Leavenworth w Kansas i Fort Monmouth w New Jersey. Chodziła do szkoły dla dzieci oficerów w Camp Zama w Japonii, w Chiemsee w Niemczech, Camp Darby we Włoszech i w Fort Buchanan w Puerto Rico.

Była jedynaczką i przyjaźniła się z ludźmi zatrudnionymi przy wojsku i ich rodzinami na różnych placówkach. Była nad wiek rozwinięta, pogodna, towarzyska, ale jej matkę martwiło, że Dana nie ma normalnego dzieciństwa.

– Wiem, kochanie, że przeprowadzanie się co sześć miesięcy musi być dla ciebie bardzo nieprzyjemne – powiedziała kiedyś.

Dana popatrzyła na matkę zaskoczona.

– Dlaczego?

Gdy tylko ojca Dany przenoszono na nową placówkę, Dana była bardzo przejęta.

– Znowu będziemy się przeprowadzać! – wykrzykiwała radośnie.

Niestety, tylko Dana cieszyła się z ciągłych przenosin, jej matka nienawidziła ich.

Kiedy Dana skończyła trzynaście lat, matka oświadczyła:

– Nie chcę dłużej żyć jak Cyganka. Zażądam rozwodu.

Dana była przerażona, gdy usłyszała tę nowinę. Przerażał ją nie tyle sam rozwód, co fakt, że już dłużej nie będzie mogła podróżować z ojcem po całym świecie.

– Gdzie będę mieszkać? – zapytała matkę.

– W Claremont, w Kalifornii. Ja się tam wychowałam. To piękne, niewielkie miasto. Pokochasz je.

Matka Dany miała rację, że Claremont to piękne niewielkie miasto, ale myliła się mówiąc, że Dana je pokocha. Claremont leżało u stóp San Gabriel i należało do okręgu administracyjnego Los Angeles. Liczyło około trzydziestu trzech tysięcy mieszkańców. Ulice

były wysadzone ślicznymi drzewami i miały w sobie coś z atmosfery college'u. Dana nienawidziła tego. Zamiast podróżować z ojcem po świecie, miała zamieszkać na stałe w małym mieście. Przeżyła szok.

- Czy zawsze będziemy tu mieszkać? – zapytała z ponurą miną matkę.
- Dlaczego pytasz, kochanie?
- Bo to miasto jest dla mnie zbyt małe. Potrzebuję większego.

Po pierwszym dniu spędzonym w szkole Dana wróciła do domu przygnębiona.

- Co się stało? – zapytała matka. – Nie podoba ci się szkoła?

Dana westchnęła.

- Jest w porządku, tylko że pełno w niej dzieciaków.

Matka się roześmiała.

- Wyrosną z tego. I ty także.

Potem Dana poszła do gimnazjum w Claremont i została reporterką szkolnej gazetki o nazwie „Wolfpacket”. Stwierdziła, że bardzo lubi tę pracę, ale rozpaczliwie brakowało jej podróży.

- Gdy dorosnę – powiedziała – znów będę podróżowała po całym świecie.

Gdy skończyła osiemnaście lat, zapisała się do college'u McKenna w Claremont, gdzie specjalizowała się w dziennikarstwie i została reporterką wychodzącej w college'u gazetki „Forum”. W następnym roku mianowano ją redaktorem owej gazetki. Studenci bez przerwy przychodzili do niej z jakimiś prośbami:

– Dana, nasze żeńskie koło studenckie urządza w przyszłym tygodniu potańcówkę. Wspomnisz o tym w swojej gazecie?

- Klub dyskusyjny spotyka się we wtorek...
- Czy mogłabyś zrecenzować tę sztukę, którą wystawia kółko dramatyczne?
- Trzeba zebrać fundusze na nową bibliotekę...

I tak bez końca. Ale Danę cieszyło ogromnie, że może pomagać ludziom, i lubiła to. Na ostatnim roku studiów zdecydowała, że pragnie zrobić karierę jako dziennikarka.

– Będę mogła przeprowadzać wywiady z ważnymi ludźmi na całym świecie – powiedziała matce. – To tak jak gdybym pomagała tworzyć historię.

Dorastając, Dana ilekroć spojrzała w lustro, wpadała w depresję. Była za niska, za chuda, za płaska. Wszystkie inne dziewczyny były piękne. To swego rodzaju prawo Kalifornii. „Jestem brzydkim kaczątkiem w krainie łabędzi” – myślała. Postanowiła unikać przeglądania się w lustrze. Gdyby w nie patrzyła, zdałaby sobie sprawę, że w wieku czternastu lat zaczęła rozkwitać. W wieku szesnastu lat stała się bardzo atrakcyjna, a gdy skończyła lat

siedemnaście, chłopcy zaczęli poważnie się nią interesować. Było w jej ożywionej twarzy w kształcie serca, w dużych oczach o wnikliwym spojrzeniu i w ochrypłym śmiechu coś, co budziło zachwyt i stanowiło wyzwanie.

Od czasu, gdy skończyła dwanaście lat, Dana wiedziała, jak chce stracić dziewictwo. Stanie się to w piękną księżycową noc na jakiejś odległej tropikalnej wyspie. Fale będą łagodnie pluskać o brzeg. W tle będzie słycać cichą muzykę. Przystojny, doświadczony nieznajomy podejdzie do niej, spojrzy głęboko w oczy, zajrzy w głąb jej duszy, bez słowa weźmie ją w ramiona i powiedzie pod pobliskie drzewo palmowe. Rozbiorą się i będą się kochać, a muzyka będzie się to wzmaczać, to przycichać, aż do punktu kulminacyjnego.

W rzeczywistości odbyło się to całkiem inaczej. Straciła dziewictwo po szkolnym wieczorku tanecznym na tylnym siedzeniu starego chewroleta z chudym osiemnastoletnim rudzielcem, który nazywał się Richard Dobbins i pracował z nią w „Forum”. Ofiarował jej swój pierścionek, a w miesiąc później przeniósł się wraz z rodzicami do Milwaukee i Dana nigdy więcej o nim nie słyszała.

Na miesiąc przed uzyskaniem bakalaureatu z dziennikarstwa Dana udała się do redakcji lokalnej gazety „Claremont Examiner”, żeby zapytać o pracę.

Jakiś mężczyzna w dziale personalnym przejrzał jej życiorys.

– A więc to pani redagowała „Forum”?

Dana uśmiechnęła się skromnie.

– Zgadza się.

– Okay. Ma pani szczęście. Mamy właśnie pewne niewielkie niedobory personalne. Damy pani szansę. Przyjmujemy panią na próbę.

Dana była poruszona. Zrobiła już listę krajów, z których chciała pisać reportaże: Rosja... Chiny... Afryka...

– Wiem, że nie mogę zaczynać jako korespondent zagraniczny – powiedziała. – Ale jak tylko...

– Słusznie. Będzie pani pracowała u nas jako goniec. Zobacz pani, że redaktorzy piją rano kawę. A tak na marginesie: lubią mocną. I będzie pani biegała do hali maszyn.

Dana wpatrywała się w niego zszokowana.

– Nie mogę...

Pochylił się do przodu ze zmarszczonym czołem.

– Czego pani nie może?

– Nie mogę znaleźć słów, żeby wyrazić, jak się cieszę, że dostałam tę pracę.

Wszyscy dziennikarze chwalili Danę za jej kawę, stała się też najlepszym gościem roznoszącym gazety, jakiego kiedykolwiek mieli. Codziennie przychodziła do pracy wcześniej i zaprzyjaźniła się ze wszystkimi. Zawsze była chętna do pomocy. Wiedziała, że to jest sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Problem polegał na tym, że pod koniec szóstego miesiąca nadal była gościem.

Poszła więc do naczelnego redaktora Billa Crowella.

– Ja naprawdę myślę, że jestem gotowa – powiedziała poważnie. – Jeśli da mi pan jakieś zadanie, będę...

Nawet na nią nie spojrział.

– Nie mamy na razie wakatu. A moja kawa jest zimna.

„To nieuczciwe – myślała Dana. – Nie chce nawet dać mi szansy”. Usłyszała kiedyś wiersz, w który mocno wierzyła:

*Jeśli ktoś ci staje na drodze,
ty możesz także mu przeszkadzać.*

„A więc nic mnie nie powstrzyma – pomyślała. – Nic. Ale od czego mam zacząć?”

Pewnego ranka, kiedy Dana szła przez pusty pokój dalekopisów niosąc filiżanki z kawą, zauważyła wysuwający się z faksu tekst policyjnego raportu. Zainteresowana podeszła i przeczytała:

„«Associated Press», Claremont, Kalifornia. Dziś rano w Claremont usiłowano dokonać porwania. Sześcioletni chłopiec został uprowadzony przez nieznanego mężczyznę...”

Dana doczytała do końca wiadomość z szeroko otwartymi oczami. Nabrała głęboko powietrza, oderwała komunikat z dalekopisu i schowała do kieszeni. Nikt poza nią go nie widział.

Bez tchu pobiegła do gabinetu Billa Crowella.

– Panie Crowell, dziś rano ktoś próbował porwać w Claremont małego chłopca. Obiecywał, że zabierze go na przejażdżkę na kucyku. Chłopiec najpierw chciał dostać cukierka, więc porywacz zaprowadził go do sklepu ze słodyczami. Właściciel sklepu rozpoznał chłopca, zadzwonił na policję i porywacz uciekł.

Bill Crowell był podniecony.

– Nie było żadnego komunikatu. Gdzie o tym słyszałaś?

– Wie pan... przypadkiem kupowałam coś w tym sklepie, kiedy właśnie o tym mówili, i...

– Zaraz tam wyślę reportera.

– Dlaczego nie pozwoli pan mnie zrobić z tego reportażu? – powiedziała Dana szybko. – Właściciel sklepu ze słodyczami zna mnie. Porozmawia ze mną.

Bill Crowell przypatrywał się Danie przez chwilę, wreszcie rzekł niechętnie:

– No, dobrze.

Dana przeprowadziła wywiad z właścicielem sklepu ze słodyczami. Jej relacja ukazała się następnego dnia na pierwszej stronie „Claremont Examiner” i została dobrze przyjęta.

– Niezła robota – pochwalił ją Bill Crowell. – Całkiem niezła.

– Dziękuję.

Za tydzień Dana znów znalazła się sama w pokoju z dalekopisami. Z „Associated Press” płynęła relacja na taśmie:

„Pomona, California; instruktorka judo ujęła domniemanego gwałciciela”.

Doskonale – ucieszyła się Dana. Oddarła wydruk, zgmiotła go w dłoni, wepchnęła do kieszeni i pobiegła do Billa Crowella.

– Zadzwoiła moja dawna współlokatorka – opowiadała podniecona. – Wyglądała przez okno i zobaczyła, jak jakaś kobieta toczy walkę, być może z gwałcicielem. Chciałabym o tym napisać.

Crowell patrzył na nią przez chwilę.

– Napisz.

Dana pojechała samochodem do Pomony, żeby przeprowadzić wywiad z instruktorką judo, i znów jej relacja znalazła się na pierwszej stronie gazety.

Bill Crowell poprosił Danę do swego gabinetu.

– Co byś powiedziała na stałą rubrykę?

– Wspaniale.

„Zaczęło się – pomyślała. – Moja kariera wreszcie się zaczęła!”

Następnego dnia „Claremont Examiner” został sprzedany „Washington Tribune” w Waszyngtonie.

Kiedy wiadomość o sprzedaży gazety się rozeszła, większość pracowników „Claremont Examiner” była przerażona. Oczywiście należy się spodziewać redukcji i niektórzy stracą pracę. Dana zareagowała na tę wiadomość inaczej. „Teraz pracuję dla «Washington Tribune»” – pomyślała, a następną logiczną myślą było: „Dlaczego więc nie zgłoszę się do kogoś na górze?”

Pomaszerowała do gabinetu Billa Crowella.

– Chciałabym wziąć dziesięć dni urlopu.

Popatrzył na nią z zaciekawionym wyrazem twarzy.

– Dana, większość ludzi, którzy tu pracują, nie chodzi do łazienki, bo są śmiertelnie przerażeni, że gdy wrócą, nie zastaną już swego biurka na dawnym miejscu. Nie boisz się?

– Czego miałabym się bać? Jestem przecież najlepszym reporterem, jakiego pan ma – powiedziała odważnie. – Będę pracować w „Washington Tribune”.

– Mówisz poważnie? – zapytał. A widząc wyraz jej twarzy, powtórzył zdumiony: – Mówisz poważnie! – Westchnął. – Dobrze. Spróbuj się skontaktować z Mattem Bakerem. On jest szefem „Washington Tribune Enterprises”. Podlega mu prasa, stacje telewizyjne, radio, wszystko.

– Matt Baker? Dobrze.

Rozdział ósmy

Waszyngton był o wiele większym miastem, niż Dana sobie wyobrażała. Stanowił centrum władzy świata i Dana czuła elektryczność w powietrzu. „Tu jest moje miejsce” – pomyślała uszczęśliwiona.

Najpierw zameldowała się w Stouffer Renaissance Hotel, potem sprawdziła adres „Washington Tribune” i udała się tam. Redakcja „Tribune” mieściła się na Szóstej Ulicy i zajmowała blok składający się z czterech oddzielnych budynków, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Dana odnalazła główny hol i śmiało podeszła do strażnika w uniformie siedzącego za biurkiem.

– Czym mogę panience służyć?

– Pracuję tutaj. To znaczy pracuję dla „Tribune”. Przyjechałam zobaczyć się z Mattem Bakerem.

– Jest pani umówiona?

– Jeszcze nie, ale...

– Proszę przyjść, jak pani będzie. – W tej chwili odwróciło jego uwagę kilku mężczyzn, którzy podeszli do biurka.

– Jesteśmy umówieni z kierownikiem działu kolportażu – powiedział jeden.

– Proszę chwilę poczekać. – Strażnik podniósł słuchawkę i zaczął wykrecać numer.

W głębi holu zjechała właśnie jedna z wind i wysiadali z niej jacyś ludzie. Dana ostrożnie zbliżyła się do windy. Weszła do środka modląc się, żeby ruszyła do góry, zanim strażnik ją zauważy. Jakaś kobieta weszła za nią, nacisnęła guzik i winda ruszyła.

– Przepraszam – zapytała Dana. – Na którym piętrze urzęduje Matt Baker?

– Na trzecim. – Spojrzała na Danę. – Nie ma pani przepustki. Nie ma pani też przypiętego identyfikatora.

– Zgubiłam go – powiedziała Dana.

Kiedy winda dojechała do trzeciego piętra, Dana wysiadła i zatrzymała się oniemiała ze zdziwienia na widok ogromu tego, co zobaczyła. Patrzyła na morze boksów. Wydawało jej się, że siedzą w nich setki, tysiące ludzi. Nad każdym boksem umieszczony był innego koloru napis: Wydawnictwa, Sztuka, Dział Miejski, Sport, Aktualności.

Dana zatrzymała przebiegającego obok mężczyznę.

– Przepraszam. Gdzie jest gabinet pana Bakera?

– Matta Bakera? – Wskazał ręką. – Na końcu tego holu, ostatnie drzwi na prawo.

– Dziękuję.

Dana odwróciła się i wpadła na nie ogolonego, rozczochranego faceta, niosącego jakieś papiery. Papiery upadły na podłogę.

– Och, przepraszam. Byłam...

– Dlaczego pani nie patrzy, u diabła, gdzie pani idzie? – warknął. Schylił się, żeby pozbierać papiery.

– To było niechcący. Przepraszam. Pomogę panu. Chciałam... – Dana pochyliła się i kiedy zaczęła zbierać rozsypane kartki, wsunęła kilka z nich pod jakieś biurko.

Mężczyzna obrzucił ją spojrzeniem pełnym wściekłości.

– Niech mi pani odda przysługę. Proszę mi już nie pomagać.

– Jak pan sobie życzy – powiedziała Dana lodowatym tonem. – Mam nadzieję, że nie wszyscy w Waszyngtonie są tak nieuprzejmi jak pan.

Z wyniosłą miną wyprostowała się i ruszyła w kierunku gabinetu Bakera. Na szklanych drzwiach widniał napis: Matt Baker. Pokój był pusty. Dana weszła do środka i usiadła. Wyglądając przez okno gabinetu obserwowała gorączkowy ruch na zewnątrz.

„To zupełnie niepodobne do «Claremont Examiner» – pomyślała. – Tutaj pracują tysiące ludzi”. Do gabinetu zmierzał korytarzem ten naburmuszony, rozczochrany facet.

„Nie. On nie idzie tutaj – pomyślała Dana. – Zmierzają gdzie indziej”.

Ale mężczyzna wszedł do gabinetu. Zmrużył oczy.

– Co, u diabła, pani tu robi?

Dana przełknęła ślinę.

– Pan musi być panem Bakerem – zauważyła inteligentnie. – Ja jestem Dana Evans.

– Pytałem, co pani tu robi.

– Jestem reporterką z „Claremont Examiner”.

– I?...

– Pan właśnie nas kupił.

– Naprawdę?

– To... to znaczy ta gazeta kupiła naszą gazetę. – Dana czuła, że nie idzie jej najlepiej. – W każdym razie przyjechałam tutaj, bo szukam pracy. Oczywiście, już mam tu pracę. To jest raczej coś w rodzaju transferu, prawda?

Wpatrywał się w nią.

– Mogę zacząć od razu – paplała Dana. – Nie ma problemu.

Matt Baker ruszył w kierunku biurka.

– Kto, do diabła, panią tu wpuścił?

– Już panu powiedziałam. Jestem reporterką z „Claremont Examiner...”

– Niech pani wraca do Claremont. I niech pani się postara nikogo nie przewrócić po drodze.

Dana wstała i powiedziała oziębło:

– Bardzo panu dziękuję, panie Baker. Jestem wdzięczna za pańską uprzejmość. – Wypadła wściekła z gabinetu.

Matt Baker popatrzył za nią, kiwając głową. Świat jest pełen dziwolągów.

Dana cofnęła się i skierowała kroki do ogromnej sali, gdzie mieściła się redakcja. Mnóstwo reporterów spisywało swoje relacje na komputerach. „To tutaj będę pracować – pomyślała podniecona. – «Niech pani wraca do Claremont». Jak on śmiał!”

Podniosła wzrok i zobaczyła Matta Bakera zmierzającego w jej kierunku. Ten przekłety facet był wszędzie. Dana szybko wsunęła się za boks, tak żeby jej nie zobaczył.

Baker minął ją i podszedł do reportera siedzącego przy biurku.

– Przeprowadziłeś ten wywiad, Sam?

– Nie miałem szczęścia. Byłem w Georgetown Medical Center, ale powiedzieli mi, że nikt o takim nazwisku nie figuruje w spisie pacjentów. Żony Trippa Taylora nie ma tam.

– Wiem cholernie dobrze, że ona tam jest – powiedział Matt Baker. – Coś ukrywają, psiakrew. Chcę wiedzieć, dlaczego ona jest w szpitalu.

– Jeśli nawet tam jest, nie sposób się do niej dostać, Matt.

– Próbowalesz tego numeru z kwiatami?

– Oczywiście. Nie udało się.

Dana stała i obserwowała, jak Matt Baker i reporter odchodzą. „Co to za reporter – dziwiła się – który nie wie, jak zdobyć wywiad?”

Pół godziny później Dana wchodziła do Georgetown Medical Center. Wstąpiła do kwiaciarni.

– Mogę pani w czymś pomóc? – zapytała ekspedientka.

– Tak. Chciałabym... – Zawahała się chwilę. – Jakies kwiaty za pięćdziesiąt dolarów. – Niemal się udławiła wymawiając słowo „pięćdziesiąt”.

Kiedy ekspedientka podała jej ogromny bukiet, Dana spytała:

– Czy jest w szpitalu jakiś sklep, gdzie mogłabym kupić małą czapeczkę?

– Za rogiem jest sklep z upominkami.

– Dziękuję.

Sklep z upominkami był rogiem obfitości różnych rupieci, pocztówek z życzeniami, tanich zabawek, baloników, chorągiewek, różnych fatalaszków w jaskrawych kolorach i produktów bez żadnej wartości odżywczej. Na jednej z półek leżało kilka pamiątkowych czapeczek. Dana kupiła jedną przypominającą takie, jakie noszą szoferzy, i włożyła ją na

głową. Nabyła także złożoną kartkę z życzeniami zdrowia i nagryzmoła coś pospiesznie wewnątrz.

Następnie skierowała kroki do biurka w holu, przy którym udzielano informacji.

– Przyniosłam kwiaty dla pani Taylor.

Recepcjonista pokręcił głową.

– Nie ma żadnej pani Taylor w rejestrze chorych.

Dana westchnęła.

– Szkoda. Naprawdę? To od wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. – Otworzyła złożoną kartkę z życzeniami i pokazała recepcjoniście. Napis wewnątrz brzmiał: *Wracaj szybko do zdrowia*. I podpis: *Arthur Cannon*. – Chyba będę musiała zabrać to z powrotem – powiedziała i odwróciła się, żeby odejść.

Recepcjonista popatrzył niepewnie.

– Chwileczkę.

Dana zatrzymała się.

– Słucham?

– Mogę doręczyć te kwiaty sam.

– Przykro mi – uśmiechnęła się Dana. – Wiceprezydent Cannon prosił, żebym je doręczyła osobiście. – Popatrzyła na recepcjonistę. – Czy może mi pan podać swoje nazwisko? Trzeba będzie wytłumaczyć panu Cannonowi, dlaczego nie mogłam doręczyć tych kwiatów.

Recepcjonista wpadł w panikę.

– No, dobrze. W porządku. Nie chcę stwarzać żadnych kłopotów. Proszę zanieść te kwiaty do pokoju 615. Ale jak tylko je pani doręczy, musi pani natychmiast wyjść.

– Dobrze – zapewniła go Dana.

Pięć minut później rozmawiała z żoną Trippa Taylora, słynnego gwiazdora muzyki rockowej.

Stacy Taylor miała około dwudziestu pięciu lat. Trudno było powiedzieć, czy jest kobietą atrakcyjną, ponieważ w tej chwili jej twarz była okropnie posiniaczona i spuchnięta. Kiedy Dana weszła do pokoju, próbowała dosięgnąć szklanki z wodą, stojącej na stoliku przy łóżku.

– Kwiaty dla... – Dana przerwała zszokowana na widok twarzy kobiety.

– Od kogo? – Wymamrotała z trudem Stacy.

Dana wyjęła kartkę.

– Od... wielbiciela.

Kobieta patrzyła na Danę podejrzliwie.

– Może mi pani podać wodę?

– Oczywiście. – Dana odłożyła kwiaty i podała chorej szklankę z wodą. – Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić?

– Oczywiście – odpowiedziała spuchniętymi ustami. – Może mnie pani wydostać z tego parszywego miejsca. Mój mąż nie pozwala nikomu mnie odwiedzać. Mdli mnie, kiedy patrzę na tych wszystkich lekarzy i na te pielęgniarki.

– Co się pani stało?

– Nie wie pani? – prychnęła kobieta. – Miałam wypadek samochodowy.

– Naprawdę?

– Tak.

– To straszne – powiedziała Dana sceptycznie. Ogarnęła ją wściekłość, ponieważ było oczywiste, że ta kobieta została pobita. Czterdzieści minut później Dana opuściła szpital.

Znała prawdę.

Kiedy wróciła do holu „Washington Tribune”, za biurkiem siedział już inny strażnik.

– Czy mogę pomóc...

– To nie moja wina – powiedziała Dana, z trudem łapiąc oddech. – Proszę mi wierzyć, to przez ten cholerny ruch uliczny. Proszę powiedzieć panu Bakerowi, że już idę na górę. Będzie na mnie wściekły, że się spóźniłam. – Pobiegła do windy i nacisnęła guzik.

Strażnik popatrzył na nią niepewnie, po czym zaczął nakręcać numer na tarczy aparatu telefonicznego.

– Halo. Powiedz panu Bakerowi, że jest ta młoda kobieta, która...

Winda zjechała na dół. Dana weszła do środka i nacisnęła trójkę. Na trzecim piętrze panował jeszcze większy ruch, jeśli w ogóle było to możliwe. Reporterzy biegali, żeby zdążyć nadać w terminie swoje relacje. Dana gorączkowo rozglądała się dookoła. W końcu dostrzegła to, co jej było potrzebne. W boksie opatrzonym zielonym napisem „Ogrodnictwo” biurko było puste. Pobiegła tam i usiadła. Popatrzyła na stojący przed nią komputer i zaczęła pisać. Była tak pochłonięta pracą, że straciła poczucie czasu. Kiedy skończyła, włączyła drukarkę i ta zaczęła wypluwać zapisane kartki. Dana składała je razem, kiedy poczuła czyjąś dłoń na swym ramieniu.

– Co pani tu, u diabła, robi? – spytał Matt Baker.

– Szukam pracy, panie Baker. Opisałam tę historię i pomyślałam...

– Ale pani pomyślała – wybuchnął Baker. – Nie może pani ot tak, tu przychodzić i zajmować cudzych biurka. A teraz niech się pani wynosi do diabła, zanim wezwę ochronę i każę panią aresztować.

– Ale...

– Proszę się wynosić!

Dana wstała. Przywołując całą godność, wcisnęła zapisane kartki do ręki Mattowi Bakerowi, ruszyła w stronę windy i zniknęła za rogiem korytarza.

Matt Baker z niedowierzaniem potrząsnął głową. „Jezu, do czego zmierza ten świat!” Pod biurkiem stał kosz do śmieci. Matt ruszył w jego kierunku, zerkając na pierwszą stronę

reportażu Dany: „Stacy Taylor z posiniaczoną twarzą, niemiłosiernie pobita, woła dziś ze szpitalnego łóżka, że jest tam, ponieważ jej mąż, słynny gwiazdor muzyki rockowej, ją bije. «Za każdym razem, kiedy zajdę w ciążę, on mnie bije. Nie chce mieć dzieci»”. Matt zaczął czytać dalej i stał jak przygwożdżony. Podniósł wzrok, ale Dany już nie było.

Ściskając kartki z reportażem w dłoni Matt pognał do windy z nadzieją, że znajdzie gdzieś dziewczynę, zanim ta zniknie. Wpadł na nią zaraz za rogiem. Stała oparta o ścianę. Czekala.

- Jak pani zdobyła ten reportaż? – zapytał.
- Mówiłam panu. Jestem reporterką – odpowiedziała po prostu.
- Westchnął głęboko.
- Proszę wrócić do mojego gabinetu.

Znowu siedzieli w gabinecie Matta Bakera.

- Dobra robota – mruknął niechętnie.
- Dziękuję. Nie potrafię wyrazić, jaka jestem panu wdzięczna za te słowa – powiedziała Dana podniecona. – Będę najlepszym reporterem, jakiego pan kiedykolwiek miał. Zobaczysz pan. Czego pragnę najbardziej, to zostać korespondentem zagranicznym, ale chcę sama wypracować sobie drogę do tego, nawet gdyby mi to miało zająć rok. – Ujrzawszy wyraz jego twarzy poprawiła się: – No, może dwa lata.

- „Tribune” nie ma wolnych miejsc pracy, a jest już lista oczekujących.
- Popatrzyła na niego zdziwiona.
- Ale ja przypuszczałam...
- Pohamuj się.

Dana przyglądała się, jak Matt Baker bierze do ręki pióro i pisze dużymi literami słowo „PRZY-PUSZCZA-ŁAM”. Wskazał na drugą część wyrazu.

– Jeżeli reporter coś puszcza mimo uszu, panno Evans, to robi osła z siebie i ze mnie. Trzeba mieć oczy i uszy otwarte, rozumie pani?

- Tak, proszę pana.
- Dobrze. – Myślał nad czymś przez chwilę, po czym podjął decyzję. – Oglądała pani kiedykolwiek programy WTE? Telewizyjnej stacji Tribune Enterprises?
- Nie, proszę pana. Nie mogę powiedzieć, że...
- No więc teraz będzie pani oglądać. Ma pani szczęście. Będzie tam wolne miejsce. Jeden z naszych pracowników właśnie odszedł. Może pani zająć jego miejsce.
- Co będę robić? – próbowała się czegoś dowiedzieć Dana.
- Będzie pani pisać teksty telewizyjne.
- Danie zrzędał mina.
- Teksty telewizyjne? Nic nie wiem o...

– To proste. Autor wiadomości będzie pani dawał surowy materiał otrzymany ze wszystkich serwisów informacyjnych. Pani to napisze poprawnie po angielsku i wrzuci do telepromptera dla koordynatora.

Dana siedziała w milczeniu.

– Co?

– Nic. Tylko, że... ja jestem reporterką.

– Mamy tutaj pięciuset reporterów i wszyscy oni spędzili całe lata pracując na swoje awanse. Proszę pójść do budynku Nr 5 i zapytać o pana Hawkinsa. Jeżeli pani musi od czegoś zacząć, telewizja nie jest najgorsza. – Matt Baker sięgnął po telefon. – Zadzwońię do Hawkinsa.

Dana westchnęła.

– Dobrze. Dziękuję, panie Baker. Jeśli będzie pan kiedyś potrzebował...

– Proszę wyjść.

Studia telewizji WTE zajmowały całe szóste piętro czwartego budynku. Tom Hawkins, producent nocnego serwisu informacyjnego, zaprowadził Danę do swego gabinetu.

– Czy pracowała pani kiedykolwiek w telewizji?

– Nie, proszę pana. Pracowałam w gazetach.

– Dinozaury. To już przeszłość. Przyszłość należy do nas. A kto wie, jaka ta przyszłość będzie. Pozwoli pani, że ją oprowadzę i wszystko pokażę.

Mnóstwo ludzi pracowało przy biurkach i monitorach. Na ekranach komputerów ukazywały się kopie depesz z co najmniej pół tuzina serwisów informacyjnych.

– To tutaj napływają materiały i wiadomości z całego świata – tłumaczył Hawkins. – To ja decyduję, które z nich pójdą na antenę. Redakcja wysyła ekipę, żeby zrobiła relacje z tych wydarzeń. Nasi ludzie pracujący w terenie przysyłają nam materiały przez telelącza. Oprócz serwisów radiowych mamy sto sześćdziesiąt kanałów należących do policji, reporterów z telefonami komórkowymi, monitory i analizatory obrazu. Każdy reportaż jest zaplanowany co do sekundy. Opracowujący tekst muszą dopasować jego długość do czasu trwania obrazu. Czas takiej emisji waha się od półtorej minuty do minuty i czterdziestu pięciu sekund.

– Ile osób tu pracuje? – zapytała Dana.

– Sześć. Mamy kierownika produkcji, redaktorów wydania, producentów, dyrektorów, reporterów, techników... – Przerwał, gdyż zbliżyli się do nich jakiś mężczyzna i jakaś kobieta. – Właśnie mamy przed sobą szefów reporterów, poznaj więc Julię Brinkman i Michaela Tate'a.

Julia Brinkman była oszałamiająco piękną kobietą o farbowanych kasztanowych włosach i wystudiowanym rozbrajającym uśmiechu. Zabarwione szkła kontaktowe nadawały jej oczom jaskrawozielony kolor. Michael był atletycznie zbudowanym mężczyzną o niespotykanym już sposobie bycia; co chwila wybuchał jowialnym śmiechem.

– Nasza nowa pracownica – powiedział Hawkins. – Donna Evanston.

– Dana Evans.

– Nieważne. Bierzcie się do pracy.

Zabrał Danę z powrotem do swego gabinetu. Skinął w kierunku wiszącej na ścianie tablicy tematów przydzielonych poszczególnym ekipom.

– To historie, z których będę wybierał. Nazywają się „ślimaki”. Zawieszają je tutaj dwa razy dziennie. Południowe wiadomości robimy od dwunastej do pierwszej, a nocne od dziesiątej do jedenastej. Kiedy powiem pani, które z nich chcę nadać, pani je wszystkie pozbiera i opracuje tak, żeby wszystko brzmiało ekscytująco, a widzowie nie chcieli zmienić kanału. Dostanie pani obrazki od faceta rejestrującego przekazy i dopasuje do nich depesze tekstowe.

– Dobrze.

– Czasami relacje są tak drastyczne, że trzeba je przerwać i przejść na obraz ze studia.

– To interesujące – powiedziała Dana.

Nie miała pojęcia, że pewnego dnia to jej ocali życie.

Pierwszy program nocny okazał się klęską. Dana umieściła wiadomości wstępne w środku programu zamiast na początku i Julia Brinkman nagle spostrzegła, że czyta tekst Michaela Tate’a, podczas gdy Michael czytał jej tekst.

Kiedy program dobiegł końca, dyrektor powiedział do Dany:

– Pan Hawkins chciałby panią widzieć w swoim gabinecie. Natychmiast.

Hawkins siedział z groźną miną za swoim biurkiem.

– Wiem – powiedziała Dana pełna skruchy. – To było straszne, i to jest moja wina.

Hawkins siedział i obserwował ją.

Dana spróbowała jeszcze raz:

– Dobra wiadomość, Tom, to to, że od tej pory może mi iść tylko coraz lepiej. Mam rację?

Hawkins nadal na nią patrzył.

– I to się nigdy nie powtórzy, ponieważ... – zobaczyła wyraz jego twarzy – jestem wylana.

– Nie – powiedział krótko. – To byłoby zbyt proste. Będzie pani nadal to robiła do czasu, aż zrobi to pani dobrze. A mówię o jutrzejszych wiadomościach południowych. Wyrażam się jasno?

– Bardzo.

– Dobrze. Chcę panią widzieć jutro rano o godzinie ósmej.

– Dobrze, Tom.

– A skoro będziemy razem pracować, możesz się do mnie zwracać panie Hawkins.

Wiadomości południowe następnego dnia przebiegły gładko. Tom Hawkins miał rację, uznała Dana. Była to po prostu kwestia dostosowania się do rytmu. Sprawdź... co ci przydzielono... napisz tekst... dopasuj do obrazka... puść, niech prezenter przeczyta. Od tego momentu stało się to już rutyną.

Przełom u Dany nastąpił po ośmiu miesiącach pracy w WTE. Właśnie skończyła układać teksty wieczornych wiadomości o dziewiętej czterdzieści pięć i przygotowywała się do wyjścia. Kiedy weszła do studia telewizyjnego, żeby powiedzieć dobranoc, panowało tam zamieszanie. Wszyscy mówili naraz.

Rob Cline, dyrektor, krzyczał:

– Gdzie ona, do diabła, jest?

– Nie wiem.

– Czy nikt jej nie widział?

– Nie.

– Dzwoniliście do jej mieszkania?

– Odpowiedziała automatyczna sekretarka.

– Cudownie. Wchodzimy na antenę... – popatrzył na zegarek – za dwadzieścia minut.

– Może Julia miała wypadek? – powiedział Michael Tate. – Może nie żyje?

– To nie jest wytłumaczenie. Powinna była zadzwonić.

– Przepraszam... – powiedziała Dana.

Dyrektor odwrócił się do niej zniecierpliwiony:

– Słucham.

– Jeżeli Julia się nie zjawi, ja mogę przeczytać wiadomości.

– Wykluczone. – Odwrócił się do swego asystenta. – Zadzwoń do ochrony i zapytaj, czy Julia weszła do budynku.

Asystent wziął telefon komórkowy i nakręcił numer.

– Czy Julia Brinkman nie podpisała jeszcze listy obecności? Jak się zjawi, powiedzcie jej, żeby przyszła na górę. Szybko.

– Powiedz mu, żeby trzymał dla niej windę. Wchodzimy na antenę za – znów spojrzął na zegarek – za siedem minut, cholera.

Dana stała obserwując wzrastającą panikę.

– Mogę przeczytać obie części – zaproponował Michael Tate.

– Nie – warknął dyrektor. – Potrzebne są do tego dwie osoby. – Spojrzął na zegarek. – Trzy minuty. Cholera! Jak ona mogła nam to zrobić? Wchodzimy na antenę za...

– Pamiętam każde słowo. Sama to napisałam – powiedziała Dana.

Zerknął na nią szybko.

– Jesteś bez makijażu. Źle ubrana.

Rozległ się głos z kabiny realizatora dźwięku:

– Dwie minuty. Zaraz zaczynamy.

Michael Tate wzruszył ramionami i usiadł przed kamerami.

– Na miejsca, proszę!

Dana uśmiechnęła się do dyrektora.

– Dobranoc, panie Cline. – Ruszyła w kierunku drzwi.

– Zaczekaj chwilę. – Pocierał czoło dłonią. – Jesteś pewna, że potrafisz to zrobić?

– Proszę mnie wypróbować – odpowiedziała.

– Nie mam wyboru – jęknął. – Dobrze. Włącz na plan. Mój Boże! Dlaczego nie posłuchałem matki i nie zostałem lekarzem?

Dana zajęła miejsce obok Michaela Tate'a.

– Trzydzieści sekund... dwadzieścia... dziesięć... pięć...

Dyrektor dał znak ręką i na kamerze zabłyśło czerwone światło.

– Dobry wieczór – powiedziała Dana spokojnie. – Witam państwa w wiadomościach WTE o godzinie dziesiątej. Dziś w Holandii wydarzył się wstrząsający wypadek. Po południu w jednej ze szkół w Amsterdamie nastąpiła eksplozja...

Reszta programu przebiegła gładko.

Następnego dnia rano Rob Cline przyszedł wieczorem do pokoju Dany.

– Mam złą wiadomość. Julia miała wczoraj wieczorem wypadek samochodowy. Ma... – zawahał się – oszpeconą twarz.

– Przykro mi – powiedziała Dana zmartwiona. – Jak źle to wygląda?

– Dosyć źle.

– Ale chirurgia plastyczna może dziś...

– Nie tym razem. Ona nie wróci.

– Chciałabym do niej pójść. Gdzie ona jest?

– Zabierają ją do rodziny, do Oregonu.

– Tak mi przykro.

– Kogoś zdobywamy, kogoś tracimy. – Przez chwilę uważnie przyglądał się Danie. – Byłaś dobra wczoraj wieczorem. Zatrzymamy cię, dopóki nie znajdziemy kogoś na stałe.

Dana poszła do Matta Bakera.

– Oglądałeś wczoraj wieczorne wiadomości? – spytała.

– Tak – mruknął. – Na litość boską, spróbuj się trochę umalować i włoż na siebie coś odpowiedniego.

Dana poczuła się tak, jakby wypuszczono z niej powietrze.

– Dobrze.

Kiedy się odwróciła, by wyjść, Matt Baker przyznał niechętnie:

– Byłaś niezła.

W jego ustach był to niezwykle komplement.

Po pięciu dniach występowania Dany w wieczornych wiadomościach dyrektor zakomunikował jej:

– A tak na marginesie, wielki szef kazał cię zatrzymać.

„Czy wielki szef to Matt Baker”? – zastanawiała się Dana.

W ciągu sześciu miesięcy Dana zadomowiła się na dobre w Waszyngtonie. Była młoda, atrakcyjna, błyskotliwie inteligentna. Pod koniec roku dostała podwyżkę i otrzymała samodzielne zadania. Jeden z jej programów „Tu i teraz” – wywiady ze znanymi osobistościami – uzyskał najwyższe oceny. Rozmowy, jakie przeprowadzała, były bardzo osobiste i życzliwe, i sławni ludzie, którzy się wahali, czy powinni występować w innych talk-shows, zwracali się do niej, by ich zaprosiła do swego programu. Magazyny i gazety codzienne zaczęły zamieszczać wywiady z Daną. Stawała się sławna.

Nocami Dana oglądała międzynarodowy serwis informacyjny. Zazdrościła zagranicznym korespondentom. Robili coś ważnego. Rejestrowali historię, informując świat o ważnych sprawach, które wydarzały się na całej kuli ziemskiej. Czowała się zawiedziona.

Dwuletni kontrakt Dany dobiegał końca. Philip Cole, szef korespondentów, wezwał ją do siebie.

– Wykonuje pani wspaniałą robotę, Dana. Jesteśmy z pani dumni. Nadszedł czas, by porozmawiać o nowym kontrakcie. Przede wszystkim...

– Odchodzę...

– Słucham?

– Kiedy mój kontrakt wygaśnie, nie będę robić dłużej tych moich audycji.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Dlaczego chce pani odejść? Nie podoba się pani tutaj?

– Ogromnie mi się podoba. Mogę pozostać w WTE, ale chcę być korespondentem zagranicznym.

– To takie marne życie. Dlaczego, na Boga, chce pani to robić?

– Ponieważ jestem już znużona słuchaniem tego, co sławne osobistości mają ochotę ugotować sobie na obiad i jak poznały swego piątego męża. Toczą się wojny, ludzie cierpią i umierają, a świat nic sobie z tego nie robi. Chcę zmusić ludzi, żeby zaczęło to ich obchodzić.

– Głęboko zaczerpnęła powietrza. – Przepraszam. Nie mogę dłużej zostać. – Wstała i ruszyła do drzwi.

– Niech pani chwilę zaczeka. Czy jest pani pewna, że właśnie to chce pani robić?

– To jest to, co zawsze chciałam robić.

Philip Cole zastanawiał się przez chwilę.

– Dokąd chce pani jechać?

Upłynęła dobra chwila, zanim jego słowa do niej dotarły. Kiedy odzyskała głos, powiedziała:

– Sarajewo.

Rozdział dziewiąty

Obowiązki gubernatora były nawet bardziej pasjonujące, niż Oliver przewidywał. Władza okazała się uwodzicielską kochanką i Oliver ją uwielbiał. Jego decyzje wywierały wpływ na życie setek tysięcy ludzi. Był *au courant* wielu spraw wagi państwowej, a jego wpływy i autorytet ciągle wzrastały. „Ja naprawdę dokonam zmian” – myślał uszczęśliwiony. Przypomniawszy sobie słowa senatora Davisa: „To jest dopiero początek, Oliverze. Działaj ostrożnie”.

I Oliver był ostrożny. Miał wiele romansów, ale zawsze zachowywał największą dyskrecję. Wiedział, że tak musi być.

Od czasu do czasu Oliver dzwonił do szpitala i pytał o stan zdrowia Miriam.

- W dalszym ciągu jest w stanie śpiączki, gubernatorze.
- Proszę mnie informować na bieżąco.

Jednym z obowiązków Olivera jako gubernatora było wydawanie oficjalnych kolacji. Honorowymi gośćmi byli jego zwolennicy, znani działacze sportowi, piosenkarze, ludzie mający jakieś powiązania z polityką i wizytujący kraj dziennikarze. Jan z wdziękiem pełniła rolę gospodyni i Oliver z przyjemnością patrzył, jak zyskuje coraz większą sympatię ludzi.

Pewnego dnia przyszła do niego i powiedziała:

– Właśnie rozmawiałam z ojcem. Wydaje przyjęcie u siebie w domu w następny weekend. Chce, żebyśmy przyszli. Będzie kilka osób, z którymi chciałby cię poznać.

Tej soboty w okazałym domu senatora Davisa w Georgetown, Oliver ścisnął dłonie paru wpływowym waszyngtońskim osobistościom. Było to wspaniałe przyjęcie i Oliver bawił się znakomicie.

- Dobrze się bawisz, Oliverze?
- Tak. To cudowne przyjęcie. Trudno wymarzyć sobie lepsze.

Peter Tager powiedział:

– Skoro mówimy o marzeniach, to mi to coś przypomina. Któregoś dnia Elizabeth, moja sześćioletnia córka, kaprysiła i nie chciała się ubrać. Betsy ogarniała rozpacz. Elizabeth popatrzyła na nią i powiedziała: „Mamusiu, o czym myślisz?” Betsy na to: „Kochanie, właśnie myślałam, jak bardzo bym pragnęła, żebyś była w dobrym humorze, żebyś się ubrała i zjadła śniadanie jak grzeczna dziewczynka”. A Elizabeth mówi: „Mamusiu, twoje życzenie nie zostanie wysłuchane”. Czy nie wspaniałe? Te dzieciaki są fantastyczne. Do zobaczenia, gubernatorze.

W drzwiach ukazała się jakaś para i senator Davis poszedł ich przywitać.

Ambasador Włoch Atilio Picone był okazale wyglądającym mężczyzną po sześćdziesiątce, o ciemnej cerze i rysach Sycylijczyka, jego żona Sylva zaś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Oliver kiedykolwiek widział. Zanim wyszła za Atilia, była aktorką i nadal cieszyła się popularnością we Włoszech. Oliver rozumiał, dlaczego. Miała duże brązowe oczy, twarz Madonny i zmysłowe rubensowskie kształty. Była o dwadzieścia pięć lat młodsza od męża.

Senator Davis przyprowadził państwa Picone do Olivera i przedstawił ich.

– Jestem zachwycony, że mogę państwa poznać – powiedział Oliver. Nie mógł oderwać oczu od Sylvy Picone.

– Wiele o panu słyszałam – uśmiechnęła się do niego.

– Mam nadzieję, że nic złego.

– Ależ...

– Senator Davis wyraża się o panu bardzo dobrze – wtrącił jej mąż.

Oliver popatrzył na Sylwę i powiedział:

– Pochlebia mi to.

Senator Davis odprowadził włoską parę, po czym wrócił i powiedział do Olivera:

– To zabronione, gubernatorze. Zakazany owoc. Uszczknij kawałeczek i możesz się pożegnać ze swoją przyszłością.

– Spokojnie, Todd. Nie byłem...

– Mówię poważnie. Możesz zrazić do siebie jednocześnie dwa kraje.

Pod koniec wieczoru, kiedy Sylva i jej mąż wychodzili, Atilio powiedział:

– Miło było pana poznać.

– Sprawilo mi to ogromną przyjemność.

Sylva przytrzymała rękę Olivera i powiedziała cicho:

– Będziemy oczekiwać ponownego spotkania z panem.

Popatrzyli sobie w oczy.

– Tak.

„Muszę być ostrożny” – pomyślał Oliver.

Dwa tygodnie później, we Frankfort, kiedy Oliver pracował w swoim gabinecie, weszła sekretarka i szepnęła:

- Gubernatorze, senator Davis jest tutaj. Chce się z panem zobaczyć.
- Senator Davis jest tutaj?
- Tak, proszę pana.
- Wpuść go.

Oliver wiedział, że jego teść walczy w Waszyngtonie o projekt bardzo ważnej ustawy, toteż zdziwił się, co robi we Frankfort. Drzwi się otworzyły i senator wszedł do pokoju. Był z nim Peter Tager.

Senator uśmiechnął się i uściśnął Olivera.

– Gubernatorze, cieszę się, że cię widzę.
– Wspaniale znów cię spotkać, Todd. – Oliver odwrócił się do Petera Tagera. – Dzień dobry, Peter.

- Dzień dobry, Oliverze.
- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam – powiedział senator Davis.
- Nie, wcale. Czy... czy coś się stało?

Senator Davis popatrzył na Tagera i uśmiechnął się.

– Och, nie, skądże. Właściwie można powiedzieć, że wszystko jest po prostu wspaniale.

Oliver zaintrygowany bacznie się przypatrywał obu mężczyznom.

- Nie rozumiem.
- Mam dla ciebie dobre wieści, synu. Możemy usiąść?
- Och, proszę mi wybaczyć. Na co macie ochotę? Kawa? Whisky?
- Nie. Jesteśmy już wystarczająco podnieceni.

I znowu Oliver zaczął się zastanawiać, co się dzieje.

– Właśnie przyleciałem z Waszyngtonu. Jest tam dość wpływowa grupa, która myśli, że ty będziesz naszym następnym prezydentem.

Oliver poczuł lekki dreszczyk.

– Ja?... Naprawdę?
– Właściwie przyleciałem tutaj głównie dlatego, że czas, byśmy zaczęli twoją kampanię. Wybory odbędą się za niecałe dwa lata.

– To doskonała pora – powiedział Peter z entuzjazmem. – Zanim zakończymy kampanię, wszyscy na świecie będą wiedzieli, kim jesteś.

Senator Davis dodał:

– Peter zajmie się twoją kampanią. Wszystkim pokieruje. Wiesz, że nie znajdziesz nikogo lepszego.

Oliver popatrzył na Tagera i powiedział ciepło:

- Zgadza się.
- Bardzo mi miło. Będziemy się świetnie bawić, Oliverze.

Oliver odwrócił się do senatora.

– Czy to nie będzie kosztowało furi pieniędzy?

– Nie przejmuj się tym. Przez cały czas będziesz jeździł pierwszą klasą. Przekonałem mnóstwo przyjaciół, że jesteś człowiekiem, na którego warto wydać pieniądze. – Pochylił się w swoim krześle do przodu. – Nie wolno ci się niedoceniać. Sondaże, przeprowadzone kilka miesięcy temu, plasują cię na trzecim miejscu na liście najtrafniej wybranych kandydatów w kraju. Masz coś, czego nie mają dwaj pozostali. Mówiłem ci już to przedtem – charyzmę. To jest coś, czego nie można kupić za pieniądze. Ludzie cię lubią i pójdą na ciebie głosować.

Oliver był coraz bardziej podniecony.

– Kiedy zaczynamy?

– Już zaczęliśmy – powiedział senator Davis. – Musimy stworzyć silną ekipę wyborczą i rozpoczniemy agitację w całym kraju.

– Jak realne są moje szanse?

– W prawyborach nikomu nie dasz szans – powiedział Tager. – Jeśli zaś chodzi o wybory powszechne, dość wysoko uplasował się prezydent Norton. Jeżeli będziesz musiał konkurować z nim, ciężko będzie go pobić. Na twoją korzyść działa fakt, że jest to jego druga kadencja i nie może brać udziału w tym wyścigu, a wiceprezydent Cannon jest bladym cieniem. Trochę blasku i słońca sprawi, że zniknie.

Spotkanie trwało cztery godziny. Wreszcie senator Davis powiedział do Tagera:

– Peter, pozwól, że cię przeprosimy na chwilę.

– Oczywiście, senatorze.

Patrzyli, jak wychodzi.

– Muszę porozmawiać dziś rano z Jan – powiedział senator Davis.

Oliver poczuł lekki dreszczyk niepokoju.

– Tak?

Davis popatrzył na niego i uśmiechnął się.

– Jest bardzo szczęśliwa.

Oliver odetchnął z ulgą.

– Bardzo się cieszę.

– Ja także, synu. Podtrzymuj płomień domowego ogniska. Wiesz, co mam na myśli.

– Nie martw się o to, Todd. Zawsze...

Uśmiech znikł z twarzy senatora.

– Martwię się, Oliverze. Nie mogę cię krytykować i ganić za to, że jesteś taki napalony – tylko nie stań się przez to żalosną kreaturą.

Senator Davis i Peter Tager szli korytarzem na Kapitolu.

– Chcę, żebyś skompletował personel – powiedział senator. – Nie oszczędzaj na wydatkach. Na początek chcę mieć wyborcze punkty informacyjne w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Chicago i San Francisco. Prawyborcy odbędą się za dwanaście miesięcy. Konwencja jest za osiemnaście miesięcy. Potem powinniśmy już rozpocząć spokojne i łagodne żeglowanie. – Doszli do samochodu. – Pojedź ze mną na lotnisko, Peter.

– Będzie wspaniałym prezydentem.

Senator pokiwał potakująco głową. „I będę go miał w kieszeni – pomyślał. – Będzie moją marionetką. Ja będę pociągał za sznurki i prezydent Stanów Zjednoczonych będzie mówił to, co ja będę chciał”.

Wyjął z kieszeni złotą cygarnicę.

– Cygaro?

Prawyborcy w całym kraju przebiegały pomyślnie. Senator Davis miał rację, jeśli chodzi o Petera Tagera. Był jednym z najlepszych szefów kampanii wyborczych na świecie. A jako wielki domator i człowiek głęboko wierzący i praktykujący przyciągał do siebie ludzi religijnych. Wiedział też dobrze, jak nakłonić polityków do współpracy; potrafił wyperswadować liberałom, żeby odłożyli na bok dzielące ich różnice i swary, i działali razem. Peter Tager był znakomitym szefem kampanii, a jego zawadiacka czarna opaska na oku stała się znana na wszystkich kanałach telewizji.

Tager wiedział, że jeśli Oliver ma odnieść sukces, musi przystąpić do konwencji z minimum dwustu głosami delegatów. Miał zamiar dopilnować, żeby Oliver je zdobył.

Plan, który Tager naszkicował, zawierał wielokrotne wyjazdy do każdego stanu w Ameryce Północnej.

Oliver popatrzył na program i powiedział:

– To... to jest niemożliwe, Peter.

– Nie w sposób, jaki z początku planowaliśmy – uspokoił go Tager. – Wszystko zostało skoordynowane. Senator pożyczyci ci swojego challengerę. Mamy ludzi, którzy będą kierować każdym twoim krokiem na tej drodze, a ja będę stale przy tobie.

Senator Davis przedstawił Oliverowi Sime’a Lombarda. Lombardo, wysoki i tęgi, ciemny zarówno fizycznie, jak emocjonalnie, był wiecznie zamyślony. Niewiele mówił.

– Jak on pasuje do tego obrazka? – zapytał Oliver senatora, gdy zostali sami.

– Sime jest od rozwiązywania problemów – odpowiedział senator. – Czasami ludzie potrzebują odrobiny perswazji, żeby kontynuować pracę. Sime jest bardzo przekonujący.

Oliver poniechał tej rozmowy.

Kiedy kampania prezydencka zaczęła się na dobre, Peter Tager dał Oliverowi szczegółowe wskazówki, co ma mówić, kiedy ma to mówić i jak ma to mówić. Pilnował, żeby Oliver pokazywał się we wszystkich kluczowych stanach wyborczych. I dokądkolwiek się udał, mówił to, co ludzie chcieli usłyszeć.

W Pensylwanii: Przemysł dostarcza sił żywotnych temu krajowi. Nie zapomnimy o tym. Znow otworzymy fabryki i Ameryka wróci na właściwą drogę.

Oklaski.

W Kalifornii: Przemysł lotniczy jest najcenniejszą rzeczą Ameryki. Nie ma powodu, żeby choć jeden zakład był zamknięty. Otworzymy je na nowo.

Oklaski.

W Detroit: My wynaleźliśmy samochody, a Japończycy ukradli nam technologię. Odzyskamy należne nam miejsce. Pierwsze. Detroit znowu stanie się centrum samochodowym.

Oklaski.

Na wyższych uczelniach: Będzie się udzielać zagwarantowanych prawem federalnym pożyczek dla studentów.

W przemówieniach wygłaszanych w bazach wojskowych w całym kraju mówił o gotowości bojowej.

Na początku, kiedy Oliver był stosunkowo mało znany, wydawało się, że szanse ma niewielkie, ale kiedy kampania się rozkręciła, wszystko wskazywało na to, że pnie się w górę.

W pierwszym tygodniu lipca ponad cztery tysiące delegatów i zastępców wraz z setkami członków partii i kandydatów zebrało się na konwencji w Cleveland i wywróciło całe miasto do góry nogami. Wydawano przyjęcia, organizowano parady, w pochodach noszono żywe obrazy. Kamery telewizyjne z całego świata rejestrowały to widowisko. Peter Tager i Sime Lombardo pilnowali, żeby gubernator Oliver Russell był zawsze widoczny na pierwszym planie.

Oliver miał w swej partii sześciu możliwych kontrkandydatów, ale senator Todd Davis usilnie pracował za kulisami. Bezlitośnie wydzwaniał do niektórych znajomych, nawet sprzed dwudziestu lat, i przypominał o wyświadczonych im kiedyś przysługach.

– Toby? Mówi Todd. Jak się miewają Emma i Suzy?... Świetnie. Chcę z tobą porozmawiać o twoim chłopcu, Andrew. Martwię się o niego. Wiesz, moim zdaniem jest zbyt liberalny. Południe nigdy go nie zaakceptuje. Oto co sugeruję.

– Alfred? Mówi Todd. Jak tam się wiedzie Royowi? Nie potrzebujesz mi dziękować. Byłem szczęśliwy, że mogłem mu pomóc. Chcę porozmawiać o twoim kandydacie, Jerry. Według mnie jest zbyt prawicowy. Jeżeli będziemy go popierać, stracimy Północ. Proponowałbym...

– Kenneth? Mówi Todd. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jestem rad, że umowa dotycząca tej nieruchomości została zrealizowana z korzyścią dla ciebie. Wszyscy nad tym pracowaliśmy, prawda? A tak na marginesie, myślę, że powinniśmy trochę porozmawiać o twoim kandydacie, Slaterze. Jest słaby. Przegrywa. Nie stać nas na popieranie kogoś, kto przegrywa.

I tak dalej. W końcu okazało się, że jedynym odpowiednim kandydatem jest gubernator Oliver Russell.

Procedura wysuwania kandydatów przebiegała gładko. Po pierwszym głosowaniu Oliver Russell miał siedemset głosów: ponad dwieście z sześciu północno-wschodnich uprzemysłowionych stanów, sto pięćdziesiąt z sześciu stanów Nowej Anglii, czterdzieści z czterech stanów południowych, jeszcze sto osiemdziesiąt z dwóch stanów farmerskich i pozostałe głosy z trzech leżących nad Pacyfikiem.

Peter Tager pracował zapamiętane. Chciał mieć pewność, że pociąg reklamowy będzie się toczył. Kiedy podsumowano ostateczne wyniki, okazało się, że zwyciężył Oliver Russell. I w tej podniecającej cyrkowej atmosferze, którą starannie podsycano, został nominowany przez aklamację.

Teraz należało wybrać wiceprezydenta. Idealnym kandydatem był Melvin Wicks. Kalifornijczyk, bez żadnych zastrzeżeń pod względem politycznym, bogaty przedsiębiorca i przystojny członek Kongresu Stanów Zjednoczonych.

– Będą się nawzajem uzupełniać – powiedział Tager. – Teraz zacznie się prawdziwa praca. Przekraczamy magiczną liczbę: dwieście siedemdziesiąt. To liczba głosów wyborców, która zapewnia zwycięstwo w kolegium elektorskim.

– Ludzie pragną mieć młodego przywódcę... – powiedział Tager Oliverowi. – Przystojnego, z odrobiną poczucia humoru i z wyobraźnią... Pragną, żebyś im mówił, jacy są wspaniali, i chcą w to wierzyć. Niech wiedzą, że jesteś sprytny, ale nie bądź za sprytny. Jeśli atakujesz swego przeciwnika, atakuj bezosobowo... Nigdy nie patrz z góry na dziennikarzy. Traktuj ich jak przyjaciół, a wtedy oni będą twoimi przyjaciółmi... Staraj się nie okazywać rozdrażnienia. Pamiętaj, jesteś mężem stanu.

Kampania trwała bez przerwy. Jet senatora Davisa leciał z Oliverem na trzy dni do Teksasu, na jeden dzień do Kalifornii, do Michigan na pół dnia, do Massachusetts na sześć godzin. Każda minuta była dokładnie zaplanowana. Czasami Oliver odwiedzał aż dziesięć miast w ciągu jednego dnia i wygłaszał dziesięć przemówień. Co noc zatrzymywał się w innym hotelu, w Drake w Chicago, St. Regis w Detroit, Carlyle w Nowym Jorku i Place d'Armes w Nowym Orleanie, aż w końcu wszystkie one zdawały się stapiać w jedno. Dokądkolwiek Oliver się udawał, wozy policyjne towarzyszyły parodom, wielkim tłumom i wiwatującym wyborcom.

Jan towarzyszyła mężowi w większości tych podróży i cenił sobie jej obecność. Atrakcyjna i inteligentna, pozyskiwała sympatię dziennikarzy.

Od czasu do czasu Oliver czytał o ostatnich nabytkach Leslie; kupiła jakąś gazetę w Madrycie, stację telewizyjną w Meksyku, rozgłośnię radiową w Kansas. Był szczęśliwy, że odnosi sukcesy. Dzięki temu czuł się mniej winien temu, co jej zrobił.

Dokądkolwiek Oliver się udał, dziennikarze fotografowali go, przeprowadzali z nim wywiady, cytowali jego słowa. Ponad stu korespondentów pisało reportaże z jego kampanii; niektórzy z nich pochodzili z krajów leżących na odległych krańcach ziemi. Kampania zbliżała się do punktu kulminacyjnego i sondaże wykazywały, że Oliver Russell prowadzi. Ale nieoczekiwanie jego przeciwnik, wiceprezydent Cannon, zaczął go doganiać.

Peter Tager bardzo się zaniepokoił.

– Cannon przesuwają się w sondażach w górę. Musimy temu zapobiec.

Uzgodniono termin debaty telewizyjnej między wiceprezydentem i Oliverem Russellem.

– Cannon będzie mówił o ekonomii – powiedział Tager Oliverowi. – I zrobi to dobrze. Musimy go przechytrzyć. Oto mój plan...

W noc pierwszej debaty przed kamerami telewizji wiceprezydent Cannon mówił o ekonomii.

– Ameryka nigdy nie była zdrowsza pod względem ekonomicznym. Biznes kwitnie.

Przez następne dziesięć minut rozwijał szczegółowo ten temat, podając na poparcie swych słów różne fakty i liczby.

Kiedy przyszła kolej Olivera, powiedział do mikrofonu:

– To zrobiło duże wrażenie. Jestem pewien, że wszyscy cieszymy się, iż wielki biznes ma się tak dobrze i że zysk ogólny nigdy nie był wyższy. – Odwrócił się do swego przeciwnika. – Ale zapomniał pan wspomnieć, że jednym z powodów, dla których korporacje mają się tak dobrze, jest to, co eufemistycznie określam: „spadkiem zatrudnienia”. Mówiąc bez ogródek, „spadek zatrudnienia” oznacza po prostu, że ludzie są wyrzucani z pracy, żeby zrobić miejsce dla maszyn. Więcej jest obecnie bezrobotnych niż kiedykolwiek przedtem. To jest „ludzka” strona tego obrazu, który powinniśmy zbadać. Tak się składa, że nie podzielam pańskiego poglądu, że zbiorowy sukces finansowy jest ważniejszy niż ludzie.

I w tym duchu mówił dalej.

Wiceprezydent rozprawiał o biznesie, Oliver Russell natomiast zdecydował się na humanitarne podejście do zagadnienia i mówił o uczuciach i możliwościach. Udało mu się przekonać słuchaczy, że jego przedmówcą był zimnokrwisty polityk, którego wcale nie obchodzi los amerykańskiego narodu.

Nazajutrz po debacie sytuacja uległa radykalnej zmianie; Oliver wyprzedził o trzy punkty wiceprezydenta. Zaplanowano jeszcze jedną debatę.

Arthur Cannon zrozumiał lekcję. W czasie końcowej debaty stanął przed mikrofonem i powiedział:

– W naszym kraju wszyscy ludzie muszą mieć takie same możliwości. Ameryka została pobłogosławiona wolnością, ale sama wolność nie wystarcza. Nasi ludzie muszą mieć wolność i moc pracować i zarabiać na uczciwe życie.

Ukradł Oliverowi aplauz, koncentrując się na tych wszystkich cudownych planach, które snuł z myślą o dobrobycie ludzi.

Ale Peter Tager to przewidział. Kiedy Cannon skończył, Oliver Russell podszedł do mikrofonu.

– To było bardzo wzruszające. Jestem pewny, że byliśmy wszyscy przejęci słuchając tego, co musiał pan powiedzieć o sytuacji bezrobotnego i, jak pan określił, „zapomnianego” człowieka. Niepokoi mnie fakt, że zapomniał pan powiedzieć, w jaki sposób ma zamiar zapewnić te wszystkie cudowne rzeczy tym ludziom.

I od tej chwili tam, gdzie wiceprezydent grał na ludzkich uczuciach, Oliver Russell mówił o sposobach rozwiązywania problemów i o swoich planach ekonomicznych. A wiceprezydent czuł się jak żeglarz, który wypadł z kursu i osiadł na mieliźnie.

Oliver, Jan i Todd Davis jedli kolację w rezydencji senatora w Georgetown. Senator uśmiechnął się do Jan.

– Chyba możesz zacząć myśleć o nowym wystroju wewnątrz w Białym Domu.

– Czy ty naprawdę myślisz, że wygramy, ojcze?

– Mylę się w bardzo wielu rzeczach, kochanie, ale nigdy nie popełniam błędu, gdy chodzi o politykę. Mam to już we krwi. W listopadzie będziemy mieli nowego prezydenta. Właśnie siedzi obok ciebie.

Rozdział dziesiąty

– Prosimy o zapięcie pasów.

„A więc lecimy!” – pomyślała Dana podniecona. Zerknęła na Benn Alberta i Wally’ego Newmana. Benn Albertson, producent Dany, był niezwykle ruchliwym, brodatym mężczyzną po czterdziestce. Wyprodukował dla telewizji kilka niesłychanie wysoko ocenionych „news-shows” i cieszył się wielkim szacunkiem. Wally Newman, kamerzysta, miał pięćdziesiąt kilka lat, był utalentowany i pełen entuzjazmu; niecierpliwie oczekiwał na nowe zadanie.

Dana myślała o przygodzie, która ją czekała. Mieli wylądować w Paryżu, a potem lecieć do Zagrzebia w Chorwacji i w końcu do Sarajewa.

W ciągu ostatniego tygodnia w Waszyngtonie Dana otrzymała instrukcje od Shelley McGuire, redaktora serwisu zagranicznego.

– W Sarajewie będzie wam potrzebna ciężarówka, żebyście mogli transmitować swoje reportaże przez satelitę – powiedziała McGuire. – Nie mamy ani jednej, więc wynajmiemy coś i wykupimy czas antenowy od spółki jugosłowiańskiej, która jest właścicielką stacji satelitarnej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zdobędziemy później jakąś własną ciężarówkę. Będziecie działali na dwóch płaszczyznach. Niektóre relacje będziecie nadawać na żywo, ale większość będziecie nagrywać. Benn Albertson powie wam, czego potrzebuje, a wy będziecie kręcić materiały ilustracyjne, a potem podkładać komentarz w lokalnym studiu... Dałam ci najlepszego producenta i najlepszego kamerzystę z branży. Nie powinnaś mieć żadnych kłopotów.

Dana przypominała sobie potem nieraz te słowa.

W przeddzień wyjazdu Dany zadzwonił do niej Matt Baker:

– Przyjdź do mego gabinetu – powiedział burkliwym tonem.

– Już idę. – Dana odłożyła słuchawkę i ogarnął ją lęk.

„Zmienił zdanie, nie aprobeje mojego transferu i nie pozwoli mi pojechać. Jak mógł mi zrobić coś takiego? A więc będę z nim walczyć” – postanowiła zdeterminowana.

Dziesięć minut później Dana wkroczyła do gabinetu Matta Bakera.

– Wiem, co mi pan powie – zaczęła – ale na nic się to panu nie zda. Lecę. Marzyłam o tym od czasu, gdy byłam małą dziewczynką. Myślę, że mogę tam zrobić coś dobrego. Musi mi pan dać szansę, żebym spróbowała. – Odetchnęła głęboko. – No, dobrze – ciągnęła wyzywająco – co pan chciał mi powiedzieć?

Matt Baker popatrzył na nią i powiedział łagodnie:

– *Bon voyage*.

Dana zamruwała powiekami.

– Co?

– *Bon voyage*. To znaczy „szczęśliwej podróży”.

– Wiem, co to znaczy. Ja... czy nie wezwał mnie pan, żeby...

– Wezwałem panią, ponieważ rozmawiałem z kilkoma naszymi korespondentami zagranicznymi. Dali mi kilka rad, żebym pani przekazał.

Ten gderliwy niedźwiedź poświęcił swój czas i zadał sobie trud, żeby porozmawiać z kilkoma korespondentami zagranicznymi, chcąc jej pomóc!

– Ja... ja nie wiem, jak panu...

– Więc nie rób tego – mruknął. – Jedziesz w sam środek ostrej wojny. Nie ma żadnej gwarancji na sto procent, że zdołasz się uchronić, ponieważ kule nie patrzą, kogo zabijają. Ale kiedy znajdziesz się w środku akcji, adrenalina zaczyna działać. Możesz stać się lekkomyślna i zaczniesz robić głupie rzeczy, których nie robiłabyś w normalnych warunkach. Musisz być opanowana. Zawsze dbaj o własne bezpieczeństwo. Nie włócz się sama po ulicach. Żaden reportaż nie jest wart twojego życia. I jeszcze jedno...

Ten wykład trwał prawie godzinę. Na końcu Matt Baker powiedział:

– A więc tak to wygląda. Uważaj na siebie. Jeśli pozwolisz, żeby coś ci się stało, oszaleję, cholera.

Dana pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Nigdy więcej tego nie rób – prychnął. Wstał. – Tam będzie ciężko, Dana. Jeśli po przyjeździe stwierdzisz, że powinnaś zmienić decyzję, i będziesz chciała wrócić do domu, daj mi znać, i ja to załatwię.

– Nie rozmyślę się – powiedziała Dana stanowczo.

Jak się okazało, myliła się bardzo.

Lot do Paryża przebiegł bez żadnych zakłóceń. Wylądowali na lotnisku Charlesa de Gaulle’a i cała trójka wsiadła do obsługującego port minibusu, który ich zawiózł do biura chorwackich linii lotniczych. Mieli trzy godziny opóźnienia.

Jeszcze tego samego wieczora o godzinie dziesiątej samolot chorwacki wylądował na lotnisku Butmir w Sarajewie. Pasażerów zapędzono do budynku ochrony, gdzie strażnicy w mundurach sprawdzili im paszporty i machnęli ręką, żeby sobie poszli.

Kiedy Dana ruszyła w kierunku wyjścia, niski, nieprzyjemnie wyglądający mężczyzna w cywilnym ubraniu zagroził jej drogę.

– Paszport.

– Już im pokazywałam...

– Pułkownik Gordan Divjak. Pani paszport.

Dana podała mu paszport razem z listami uwierzytelniającymi.

Prztyknął w nie palcami.

– Dziennikarka? – Popatrzył na nią przenikliwym wzrokiem. – Po czyjej pani jest stronie?

– Nie jestem po niczyjej stronie – odpowiedziała Dana spokojnie.

– Niech pani uważa, co pani relacjonuje – ostrzegł pułkownik Divjak. – Nie traktujemy łagodnie szpiegostwa.

Witaj, Sarajewo.

Opancerzony land-rover czekał na nich na lotnisku. Przedstawił im się dwudziestoparoletni chłopak o smagłej cerze.

– Nazywam się Jovan Tolj, do usług. Będę państwa kierowcą w Sarajewie.

Jovan prowadził szybko; biorąc ostro zakręty mknął po opustoszałych ulicach, jakby ktoś ich ścigał.

– Przepraszam – zapytała nerwowo Dana. – Czy jest jakiś szczególny powód do takiego pośpiechu?

– Tak. Jeśli chcecie dotrzeć żywi na miejsce.

– Ale...

Z oddali Dana słyszała dudnienie grzmotów, które zdawały się przybliżać.

Ale to nie były grzmoty.

W ciemności dostrzegała budynki ze zburzonymi fasadami, mieszkania bez dachów, sklepy bez okien. Przed nimi majaczył hotel Holiday Inn, w którym się mieli zatrzymać. Fronton budynku był paskudnie podziurawiony, na podjeździe pocisk wyłobił głęboką wyrwę. Samochód przemknął obok niej.

– Proszę zaczekać! To jest nasz hotel – krzyknęła Dana. – Dokąd pan jedzie?

– Frontowe wejście jest zbyt niebezpieczne – powiedział Jovan. Skręcił za rogiem i pomknął jakąś aleją. – Wszyscy korzystają z tylnego.

Dana poczuła nagle suchość w ustach.

– Och!

Hol hotelu był pełen ludzi drepczących dookoła i rozmawiających. Do Dany zbliżył się sympatyczny młody Francuz.

– O, czekaliśmy na panią. Dana Evans?

– Tak.

– Jean Paul Hubert. M6, Metropole Television.

– Miło mi. To jest Benn Albertson, a to Wally Newman.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

– Witajcie w tym, co pozostało z naszego szybko znikającego z powierzchni ziemi miasta.

Inni dziennikarze też zbliżali się do ich grupy, żeby ich powitać. Jeden po drugim podchodzili i przedstawiali się.

– Steffan Mueller, Kabel Network.

– Roderick Munn, BBC 2.

– Marco Benelli, Italia I.

– Akihiro Ishihara, TV Tokio.

– Juan Santos. Guadalajara, Channel 6.

– Chun Qian, Shanghai Television.

Dana odniosła wrażenie, że wszystkie kraje świata przysłały tu swoich korespondentów. Wzajemna prezentacja zdawała się ciągnąć bez końca. Ostatnią osobą był krzepki Rosjanin z błyszczącym złotym przednim zębem.

– Mikołaj Pietrowicz, Gorizont 22.

– Ilu jest tutaj dziennikarzy? – zapytała Dana Jeana Paula.

– Ponad dwustu pięćdziesięciu. Niewiele jest wojen tak barwnych jak ta. Czy to pani pierwsza?

Powiedział to tak, jak gdyby chodziło o mecz tenisa.

– Owszem.

– Gdybym mógł w czymś pomóc, proszę dać mi znać.

– Dziękuję. – Dana zawahała się chwilę, ale zapytała: – Kim jest pułkownik Gordan Divjak?

– Lepiej, żeby pani nie wiedziała. My tutaj wszyscy uważamy, że jest serbskim odpowiednikiem gestapo, ale nie jesteśmy pewni. Radziłbym nie wchodzić mu w drogę.

– Będę o tym pamiętać.

Gdy Dana leżała już w łóżku, usłyszała nagle głośną eksplozję gdzieś po drugiej stronie ulicy; po niej nastąpiła jeszcze jedna. Pokój zaczął dygotać. Było to przerażające, a jednocześnie mobilizujące. Wydawało się nierealne jak scena z jakiegoś filmu. Dana nie mogła zasnąć przez całą noc, wsłuchiwała się w odgłosy strasznych machin, które zabijają, i obserwowała błyski światła odbijające się w brudnych hotelowych oknach.

Rano ubrała się – dzinsy, buty z cholewką, kurtka lotnicza. Czowała się zakłopotana, a jednak... „Zawsze dbaj o swoje bezpieczeństwo... Żaden reportaż nie jest wart twojego życia”.

Dana, Benn i Wally stali w holu restauracji i rozmawiali o swoich rodzinach.

– Zapomniałem wam przekazać dobrą wiadomość – powiedział Wally. – W przyszłym miesiącu urodzi mi się wnuk.

– To wspaniale! – ucieszyła się Dana i pomyślała: „Czy ja kiedykolwiek urodzę dziecko i doczekam się wnuka? *Quesera sera*”.

– Mam pomysł – powiedział Benn. – Zróbmy najpierw taki ogólny reportaż o tym, co się tutaj dzieje i jaki to ma wpływ na ludzkie życie. Pójdę z Wallym na rekonesans, żeby się zorientować, gdzie jesteśmy. A ty, Dana, może byś zdobyła dla nas trochę antenowego czasu satelitarnego.

– Świetnie.

Jovan Tolj czekał w land-roverze w alejce.

– *Dobro jutro*. Dzień dobry.

– Dzień dobry, Jovan. Chcę pojechać tam, gdzie wypożyczają czas antenowy do nagrań satelitarnych.

W czasie jazdy Dana po raz pierwszy mogła się przyjrzeć miastu. Wydawało jej się, że nie ma ani jednego nienaruszonego budynku. Odgłos strzałów karabinowych nie ustawał.

– Czy oni nigdy nie przestają strzelać? – zapytała.

– Przestaną, kiedy im się wyczerpie amunicja – powiedział z goryczą Jovan. – A amunicji nigdy im nie zabraknie.

Po wyludnionych ulicach przemykali od czasu do czasu nieliczni przechodnie. Wszystkie kawiarenki były pozamykane, a chodniki oznaczone jak krostami lejami po pociskach artyleryjskich. Minęli budynek „Oslobodjenja”.

– To nasza gazeta – powiedział Jovan z dumą. Serbowie ciągle próbują ją zniszczyć, ale im się nie udaje.

Kilka minut później dotarli do biur telewizji satelitarnej.

– Będę na panią czekał – powiedział Jovan.

W holu za biurkiem siedział recepcjonista, który wyglądał na osiemnaście lat.

– Mówi pan po angielsku? – zapytała Dana.

Popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem.

– Mówię dziewięcioma językami, madame. Czego pani sobie życzy?

– Jestem z WTE. Chcę zarezerwować trochę czasu satelitarnego i uzgodnić...

– Trzecie piętro.

Na drzwiach widniał napis: sekcja jugosłowiańskiej telewizji satelitarnej. Pokój był pełen mężczyzn. Siedzieli na drewnianych ławkach ustawionych pod ścianami.

Dana przedstawiła się młodej kobiecie przy biurku.

– Jestem Dana Evans z WTE. Chcę zarezerwować trochę czasu satelitarnego.

– Proszę usiąść i czekać na swoją kolej.

Dana rozejrzała się po pokoju.

– Czy ci wszyscy ludzie tutaj czekają, żeby zarezerwować czas satelitarny?

Kobieta podniosła na nią wzrok i powiedziała:

– Oczywiście.

Prawie po dwóch godzinach Dana została poproszona do biura kierownika, niskiego, krępego mężczyzny z cygarem w ustach; wyglądał jak wycięty ze starej kliszy prototyp hollywoodzkiego producenta. Miał twardy akcent.

– W czym mogę pani pomóc?

– Jestem Dana Evans z WTE. Chciałabym wynająć jedną z waszych ciężarówek i zarezerwować pół godziny czasu satelitarnego. Odpowiadałaby nam godzina szósta w Waszyngtonie. I chciałabym mieć do dyspozycji tę samą porę codziennie przez czas nieokreślony. – Spozregła wyraz jego twarzy. – Jakież trudności?

– Jedna. Nie mamy ani jednej ciężarówki do transmisji satelitarnych. Wszystkie zostały zarezerwowane. Zadzwoń do pani, jeśli ktoś anuluje rezerwację.

Dana popatrzyła na niego skonsternowana.

– Nie ma? Ale ja potrzebuję trochę czasu satelitarnego. Jestem...

– Wszyscy są w podobnej sytuacji, madame. Z wyjątkiem, oczywiście, tych, którzy mają własne ciężarówki.

Gdy Dana wróciła do poczekalni, znów było w niej pełno ludzi.

„Muszę coś z tym zrobić” – pomyślała.

Po wyjściu z biura telewizji satelitarnej powiedziała do Jovana:

– Chciałabym, żebyś mnie obwiózł po mieście.

Odwrócił się, popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

– Jak pani sobie życzy.

Ruszył z miejsca i pomknął szybko ulicami.

– Trochę wolniej, proszę. Muszę się oswoić z tym miastem.

Sarajewo żyło jak w oblężeniu. Bez bieżącej wody, bez elektryczności, z każdą godziną przybywało domów, które zostały zbombardowane. Alarmy przeciwlotnicze ogłaszano tak często, że ludzie je zupełnie ignorowali. Nad miastem zdawał się wisieć jakiś miazmat fatalizmu. Jeśli kula została zaadresowana do ciebie, nie miałeś gdzie się przed nią skryć.

Niemal na każdym rogu ulicy mężczyźni, kobiety i dzieci usiłovali sprzedać resztki rzeczy, które im pozostały.

– To uciekinierzy z Bośni i Chorwacji – wyjaśniał Jovan. – Próbują zdobyć trochę pieniędzy, żeby kupić sobie coś do jedzenia.

Požary szalały wszędzie, ale nigdzie nie było widać strażaków.

– Czy nie ma tu straży pożarnej? – zapytała Dana.

Jovan wzruszył ramionami.

– Jest, ale nie mają odwagi przyjechać. Stanowią zbyt widoczny cel dla serbskich snajperów.

Z początku wojna w Bośni i Hercegowinie miała dla Dany niewielki sens. Dopiero kiedy spędziła w Sarajewie tydzień, zdała sobie sprawę, że ta wojna nie ma w ogóle sensu. Ktoś wspomniał o jakimś profesorze uniwersytetu, znanym historyku. Został ranny i był przykuty do łóżka w swoim domu. Dana postanowiła z nim porozmawiać.

Jovan zawiózł ją na jedno ze starych przedmieść, gdzie ów historyk mieszkał. Profesor Mladić Staka, drobny, siwowłosy mężczyzna, wyglądał niemal jak istota nie z tego świata. Kula zgruchotała mu kręgosłup i był sparaliżowany.

– Dziękuję, że pani przysła – powiedział. – Niewiele osób mnie teraz odwiedza. Powiedziała pani, że chce ze mną porozmawiać?

– Tak. Będę pisać reportaże z tej wojny – powiedziała Dana. – Ale prawdę powiedziawszy mam kłopot ze zrozumieniem jej sensu.

– Powód jest bardzo prosty, moja droga. Tej wojny w Bośni i Hercegowinie nie sposób zrozumieć. Przez dziesięciolecia Serbowie, Chorwaci, Bośniacy i muzułmanie żyli razem w pokoju pod rządami Tita. Byli przyjaciółmi i sąsiadami. Razem rośli, razem pracowali, chodzili do tych samych szkół, zawierali między sobą związki małżeńskie.

– A teraz?

– Teraz ci dawni przyjaciele torturują i mordują się nawzajem. Nienawiść skłoniła ich do postępów tak odrażających, że nawet nie potrafię o nich mówić.

– Słyszałam coś o tym – powiedziała Dana.

To, co do niej dotarło, po prostu nie mieściło się w głowie: studnia pełna krwawych ludzkich jąder, gwałcone i mordowane dzieci, niewinni wieśniacy zamykani w kościołach, które następnie podpalano.

– Kto to zaczął? – spytała Dana.

Profesor potrząsnął głową.

– To zależy od tego, kogo się pyta. Podczas drugiej wojny światowej Chorwaci, którzy byli po stronie hitlerowców, wymordowali setki Serbów, stojących po stronie aliantów. Teraz Serbowie biorą krwawy odwet. Chwytają po wsiach zakładników i są wobec nich bezlitośni. Ponad dwieście tysięcy pocisków artyleryjskich trafiło w samo tylko Sarajewo. Co najmniej dziesięć tysięcy ludzi zostało zabitych, a ponad sześćdziesiąt tysięcy rannych. Bośniacy i muzułmanie muszą ponieść odpowiedzialność za współudział w tym torturowaniu i zabijaniu. Ci, którzy nie chcą wojny, są do niej zmuszani. Nikt nikomu nie ufa. Jediną rzeczą, która im pozostała, jest nienawiść. To, co nam pozostało, to pożoga, która żywi się sama sobą, a tym, co podsyca pożary, są ciała niewinnych ludzi.

Kiedy Dana wróciła po południu do hotelu, czekał na nią Benn Albertson, aby jej powiedzieć, że otrzymał wiadomość, iż ciężarówka i czas satelitarny będą do ich dyspozycji nazajutrz o godzinie szóstej po południu.

– Znalazłem idealne miejsce do filmowania – powiedział Wally Newman. – Jest tam skwer z kościołem katolickim, meczetem, kościołem protestanckim i synagogą. Wszystko w obrębie jednego bloku, jedno obok drugiego. I wszystko zostało zbombardowane. Możesz zrobić reportaż o nienawiści i o tym, co spotkało ludzi, którzy tu mieszkali i którzy nie chcą mieć nic do czynienia z wojną, ale siłą rzeczy muszą się stać jej częścią.

Dana skinęła potakująco głową.

– Zgoda. Zobaczymy się przy kolacji. Idę popracować.

I udała się do swojego pokoju.

Nazajutrz o godzinie szóstej wieczorem Dana, Wally i Benn zebrali się na skwerze, gdzie znajdowały się zbombardowane świątynie. Telewizyjna kamera Wally'ego została ustawiona na trójnożnym statywie, a Benn czekał na potwierdzenie z Waszyngtonu, że mają sygnał z satelity. Dana słyszała odgłos strzałów snajpera dochodzący z oddali. I nagle stwierdziła, że się cieszy, iż ma na sobie swoją lotniczą kurtkę. „Nie ma się czego bać. Oni nie do nas strzelają. Strzelają do siebie nawzajem. A my jesteśmy im potrzebni, żebyśmy opowiedzieli światu, co się tu dzieje”.

Kiedy spostrzegła sygnał dany przez Wally'ego, wzięła głęboki oddech, spojrzała prosto w kamerę i zaczęła mówić.

– Zbombardowane świątynie, które widzą państwo za mną, są symbolami tego, co się dzieje w tym kraju. Nie ma już murów, za którymi mogliby się ukryć ludzie, żadne miejsce nie jest bezpieczne. Wcześniej mogli znaleźć azyl w swoich świątyniach. Ale tutaj przeszłość, teraźniejszość i przyszłość – wszystko zlało się w jedno i...

W tym momencie usłyszała narastający przenikliwy, ostry świst. Podniosła wzrok i zobaczyła głowę Wally'ego eksplodującą niby czerwony melon. „To jakieś złudzenie optyczne” – pomyślała w pierwszej chwili.

I wtedy ujrzała przerażona, jak ciało Wally'ego osuwa się na chodnik. Stała porażona, nie wierząc własnym oczom. Ludzie dookoła niej krzyczeli.

Nieprzerwany odgłos strzałów snajpera przybliżył się i Dana nie mogła opanować ogarniającego ją drżenia. Czyjeś ręce chwyciły ją i pociągnęły gwałtownie w ulicę. Wyrwała się, starała się uwolnić.

„Nie! Musimy wracać. Nie wykorzystaliśmy naszych dziesięciu minut. Nie zmarnujemy ich. Nie chcę. Marnotrawstwo to grzech. «Skończ swoją zupkę, kochanie. Dzieci w Chinach przymierają głodem». Czy Ty, co siedzisz tam wysoko na tej białej chmurze, myślisz, że jesteś jakimś Bogiem? Dobrze, pozwól, że ci coś powiem. Jesteś oszustem. Prawdziwy Bóg

nigdy, nigdy by nie pozwolił, żeby Wally'emu przestrelono głowę. Wally oczekiwał swego pierwszego wnuka. Czy Ty mnie słuchasz? Słuchasz mnie? Słuchasz?"

Była w szoku, nie zdawała sobie sprawy, że ją prowadzą jakąś uliczką na tyłach domów do samochodu.

Kiedy Dana otworzyła oczy, leżała w swoim łóżku. Stali nad nią Benn Albertson i Jean Paul Hubert.

Dana wpatrywała się w ich twarze.

– To się stało, prawda? – Zacisnęła mocno powieki.

– Tak mi przykro – powiedział Jean Paul. – To straszne, że musiałaś na to patrzeć. Masz szczęście, że nie zostałaś zabita.

Zapadła cisza, którą zakłócił dzwonek telefonu. Benn podniósł słuchawkę.

– Halo. – Słuchał przez chwilę. – Tak. Proszę się nie rozłączać. – Odwrócił się do Dany. – To Matt Baker. Możesz z nim porozmawiać?

– Tak. – Dana usiadła, a po chwili wstała i podeszła do telefonu. – Halo. – Gardło miała wyschnięte, trudno jej było mówić.

Głos Matta Bakera zagrzmiął w słuchawce:

– Chcę, żebyś wróciła do domu, Dana.

– Tak, chcę wrócić do domu – powiedziała szeptem.

– Załatwię wszystko tak, żebyś mogła wylecieć stamtąd pierwszym samolotem.

– Dziękuję. – Odłożyła słuchawkę.

Jean Paul i Benn pomogli jej wrócić do łóżka.

– Tak mi przykro – powtórzył Jean Paul. – Tutaj... tutaj nikt nic nie może powiedzieć.

Po twarzy Dany płynęły łzy.

– Dlaczego oni go zabili? Przecież nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy. Co tu się dzieje? Ludzie mordują się bestialsko, jak zwierzęta, i nikogo to nie obchodzi. Nikogo to nie obchodzi!

– Dana, nie możemy nic na to poradzić... – powiedział Benn.

– Musi być jakiś sposób – głos Dany był pełen furii. – Musimy ich zmusić, żeby to ich zaczęło obchodzić. W tej wojnie nie chodzi o bombardowanie świątyń, domów czy ulic. W tej wojnie chodzi o ludzi... niewinnych ludzi... żeby ich głów nie zestrzeliwały pociski. O tym powinniśmy robić reportaże. To jedyny sposób, żeby uczynić tę wojnę czymś realnym. – Odwróciła się do Benny i nabrała głęboko powietrza. – Zostaję, Benn. Nie pozwolę im się stąd wystraszyć.

Benn patrzył na nią zaniepokojony.

– Dana, czy jesteś pewna, że...

– Jestem pewna. Teraz już wiem, co mam robić. Zadzwońisz do Matta i powiesz mu.

– Jeśli naprawdę tego chcesz – odparł niechętnie.

– Właśnie tego chcę. – Patrzyła, jak Benn wychodzi z pokoju.
– Chyba lepiej będzie, jak sobie pójdę i pozwolę ci... – powiedział Jean Paul.
– Nie. – Na chwilę w pamięci Dany odżyła wizja eksplodującej głowy Wally’ego i jego ciała padającego na ziemię. – Nie. – Dana spojrzała na Jean Paula. – Zostań, proszę. Jesteś mi potrzebny.

Jean Paul usiadł na łóżku, a Dana objęła go i mocno do siebie przytuliła.

Następnego ranka Dana powiedziała do Benna Albertsona:

– Czy możesz mi się postarać o kamerzystę? Jean Paul wspominał o jakimś sierocińcu w Kosowie, który został właśnie zbombardowany. Chcę tam pojechać i zrobić reportaż.

– Znajdę kogoś.

– Dzięki, Benn. Pojadę pierwsza i spotkamy się na miejscu.

– Bądź ostrożna.

– Nie martw się.

Jovan czekał na Danę w alejce.

– Jedziemy do Kosowa – powiedziała.

Jovan odwrócił się i popatrzył na nią.

– To jest niebezpieczne, madame. Jedyne dróg prowadzi przez las i...

– Wyczerpaliśmy już nasz przydział pecha, Jovan. Nic nam się nie stanie.

– Jak pani sobie życzy.

Przemknęli przez miasto i po piętnastu minutach dotarli do gęstego lasu.

– Daleko jeszcze? – zapytała Dana.

– Niedaleko. Powinniśmy dojechać za...

W tym momencie land-rover najechał na minę.

Rozdział jedenasty

Gdy zbliżył się dzień wyborów, dwóch plasujących się na czele kandydatów dzieliła zbyt mała liczba głosów, żeby można było ogłosić zwycięstwo któregoś z nich.

– Musimy zwyciężyć w Ohio – powiedział Peter Tager. – To jest dwadzieścia jeden głosów. Z Alabamą jest w porządku – tam mamy dziewięć głosów, a na Florydzie dwadzieścia pięć. Podniósł do góry kartę. – Illinois – dwadzieścia dwa głosy... Nowy Jork – trzydzieści trzy, a Kalifornia czterdzieści cztery. Jest za wcześnie, do diabła, żeby ogłaszać zwycięstwo.

Wszyscy byli niespokojni z wyjątkiem senatora Davisa.

– Ja mam nosa – powiedział. – Czuję zwycięstwo.

W szpitalu we Frankfort Miriam Friedland ciągle była w stanie śpiączki.

W dzień wyborów, w pierwszy wtorek listopada, Leslie pozostała w domu, żeby wysłuchać podawanego przez telewizję urzędowego komunikatu o wyniku wyborów. Oliver Russell wygrał większością ponad dwóch milionów głosów w wyborach powszechnych i ogromną większością głosów w kolegium elektorskim. Był teraz prezydentem. Osiągnął największy cel świata.

Nikt nie śledził tej kampanii wyborczej pilniej niż Leslie Stewart Chambers. Pracowicie powiększała swoje imperium i nabyła cały szereg gazet, stacji telewizyjnych i rozgłośni radiowych zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak w Anglii, Australii i Brazylii.

– Kiedy będziesz miała dosyć? – zapytał naczelny redaktor, Darin Solana.

– Niedługo – odpowiedziała Leslie – już niedługo.

Musi zrobić jeszcze jeden krok i ostatnia kostka układanki trafi na swoje miejsce podczas przyjęcia w Scottsdale.

Jeden z gości powiedział:

– Ktoś mi szepnął w zaufaniu, że Margaret Portman się rozwodzi.

Margaret Portman była właścicielką „Washington Tribune”.

Leslie nie skomentowała tego faktu, ale następnego ranka zadzwoniła do Chada Mortona, jednego z prawników.

– Chciałabym, żeby pan się dowiedział, czy „Washington Tribune” jest na sprzedaż.

Odpowiedź nadeszła jeszcze tego samego dnia:

– Nie wiem, jak się pani o tym dowiedziała, pani Chambers, ale wygląda na to, że chyba ma pani rację. Pani Portman i jej mąż spokojnie przeprowadzają rozwód i dokonują podziału swego majątku. Wydaje mi się, że „Washington Tribune Enterprises” będzie wystawiona na sprzedaż.

– Chcę ją kupić.

– Mówi pani o gigancie. Do „Washington Tribune Enterprises” należy cały szereg gazet, magazynów, stacji telewizyjnych.

– Chcę to wszystko mieć.

Tego samego dnia po południu Leslie i Chad Morton polecili do Waszyngtonu.

Leslie zadzwoniła do Margaret Portman, którą poznała przypadkowo kilka lat wcześniej.

– Jestem w Waszyngtonie – powiedziała – i...

– Wiem.

„Wieści szybko się rozchodzą” – pomyślała Leslie.

– Słyszałam, że panią mogłaby zainteresować sprzedaż „Tribune Enterprises”.

– Być może.

– Czy zorganizowałyby pani dla mnie objazd po swoim królestwie?

– Czy jest pani zainteresowana nabyciem jej, Leslie?

– Być może.

Margaret Portman posłała po Matta Bakera.

– Czy wiesz, kto to Leslie Chambers?

– Oczywiście. Lodowa Księżniczka.

– Będzie tu za kilka minut. Chciałabym, żebyś ją zabrał na obchód po naszym przedsiębiorstwie.

Wszyscy w „Tribune” zdawali sobie sprawę ze zbliżającej się sprzedaży.

– Popelniłaby pani błąd, sprzedając „Tribune” Leslie Chambers – powiedział Matt Baker stanowczo.

– Dlaczego tak uważasz?

– Przede wszystkim wątpię, czy ona naprawdę coś wie o prasowym biznesie. Czy przyjrzała się pani temu, co zrobiła z innymi gazetami, które kupiła? Zmieniła cieszące się ogólnym szacunkiem gazety w tanie ilustrowane szmatławce. Ona zniszczy „Tribune”. Ona jest... – Podniósł wzrok.

Leslie Chambers stała w drzwiach i słuchała.

Margaret Portman powiedziała głośno:

– Leslie! Jak miło znów cię zobaczyć. To jest Matt Baker, naczelny redaktor „Tribune Enterprises”.

Przywitali się chłodno.

– Matt panią oprowadzi.

– Będzie mi miło.

Matt Baker westchnął głęboko.

– W porządku. Ruszajmy.

Na początku obchodu Matt Baker powiedział protekcjonalnie:

– Układ jest następujący: Na szczycie jest redaktor naczelny...

– To znaczy pan, panie Baker.

– Tak. A mnie podlegają kierownik redakcji i zespół redakcyjny. Obejmuje on następujące działy: Miejski, Krajowy, Zagraniczny, Sport, Biznes, Życie i moda, Społeczny, Aktualności, Książki, Nieruchomości, Podróże, Żywność. Prawdopodobnie kilka opuściłem.

– Zdumiewające. Ilu pracowników zatrudnia „Washington Tribune Enterprises”, panie Baker?

– Ponad pięć tysięcy.

Minęli biurko, gdzie przygotowywano makietę gazety.

– To tutaj redaktor projektuje układ stron. Decyduje, gdzie zostaną zamieszczone zdjęcia i które reportaże znajdą się na poszczególnych stronach. Tutaj wymyśla się tytuły, segreguje materiały, a potem składa wszystko razem.

– Fascynujące.

– Interesują panią maszyny drukarskie?

– O tak. Chciałabym poznać wszystko.

Matt Baker mamrotał coś pod nosem.

– Słucham?

– Powiedziałem: Świetnie.

Zjechali windą na dół i przeszli do następnego budynku.

Hala maszyn drukarskich miała cztery piętra wysokości i wielkość czterech boisk piłki nożnej. Wszystko na tej ogromnej przestrzeni było zautomatyzowane. W budynku pracowało trzydzieści automatycznych wózków – robotów, które przewoziły ogromne bele papieru i zrzucały je przy różnych stanowiskach.

Baker wyjaśniał:

– Każda bela papieru waży około dwóch i pół tysiąca funtów. Gdyby je rozwinąć, miałyby osiem mil długości. Papier przechodzi przez maszynę drukarską z szybkością dwudziestu jeden mil na godzinę. Niektóre z tych większych wózków mogą przewozić szesnaście bel papieru naraz.

Stało tu sześć maszyn drukarskich, trzy po każdej stronie hali. Leslie i Matt zatrzymali się i obserwowali, jak gazety były automatycznie wybierane z maszyn, składane, cięte i układane w paczki, a następnie dowożone do oczekujących ciężarówek, które je rozwoziły.

– Dawniej potrzeba było około trzydziestu mężczyzn, żeby zrobić to, co teraz wykonuje jeden człowiek – powiedział Matt Baker. – Nastąpiła era technologii.

– Era zabiegów mających na celu zmniejszenie zatrudnienia.

– Nie wiem, czy panią interesuje ekonomika tej operacji? – zapytał Matt Baker oschle. – Może wolałaby pani, żeby jakiś prawnik albo księgowy...

– Bardzo mnie interesuje, panie Baker. Pański wydawniczy budżet wynosi piętnaście milionów dolarów. Dzienny obrót kapitału osiemset szesnaście tysięcy czterysta siedemdziesiąt cztery, i jeden milion sto czterdzieści tysięcy, czterysta dziewięćdziesiąt osiem w niedzielę, a reklamy przynoszą sześćdziesiąt osiem koma dwa.

Matt patrzył na nią i mrugał powiekami.

– Łącznie z wszystkimi pańskimi gazetami dzienny nakład wynosi ponad dwa miliony oraz dwa miliony cztery w niedzielę. Oczywiście nie jest to gazeta o największym na świecie nakładzie, prawda, panie Baker? Dwie spośród tych gazet są drukowane w Londynie. Na pierwszym miejscu jest „Sun” o nakładzie czterech milionów dziennie, na drugim zaś „Daily Mirror”, sprzedająca się w liczbie ponad trzech milionów.

Matt Baker odetchnął głęboko.

– Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, że pani...

– W Japonii jest ponad dwieście dzienników, włączając w to „A Sahi Shimbun”, „Mainichi Shimbun” i „Yomiuri Shimbun”. Nadąza pan za moją myślą?

– Tak. Przepraszam, jeśli to, co powiedziałem, zabrzmiało protekcjonalnie.

– Przepraszamy zostały przyjęte. Wracajmy do biura pani Portman.

Następnego dnia rano Leslie wzięła udział w zamkniętym posiedzeniu kierownictwa „Washington Tribune Enterprises” w obecności pani Portman i sześciu prawników.

– Porozmawiajmy o cenie – powiedziała.

Dyskusja trwała cztery godziny, a kiedy dobiegła końca, „Washington Tribune Enterprises” należały do Leslie.

Kosztowało ją to więcej, niż się spodziewała. Ale to nie miało znaczenia.

Było coś o wiele ważniejszego.

W dniu, kiedy transakcja została sfinalizowana, Leslie posłała po Matta Bakera.

– Jakie masz plany?

– Odchodzę.

Popatrzyła na niego z zaciekawioną.

– Dlaczego?

– Nie cieszysz się najlepszą opinią. Ludzie nie lubią dla ciebie pracować. Myślę, że słowem, którego najczęściej używają w odniesieniu do ciebie, jest „bezwzględna”. Nie lubię tego. To dobra gazeta i niechętnie odchodzę, ale mam więcej ofert pracy, niż mogę przyjąć.

– Jak długo tu pracowałeś?

– Piętnaście lat.

– I masz zamiar ot tak, po prostu, to rzucić?

– Ja niczego nie rzucam. Ja...

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Posłuchaj mnie. Ja także uważam, że „Tribune” to dobra gazeta, ale chcę, żeby była wspianała. I chcę, żebyś mi w tym pomógł.

– Nie. Nie będę...

– Sześć miesięcy. Zostań na sześć miesięcy. Na próbę. Zaczniemy od podwojenia ci pensji.

Przyglądał jej się uważnie przez długą chwilę. Młoda, piękna, inteligentna. A jednak... Czuł przy niej jakiś niepokój.

– Kto będzie tym wszystkim kierował?

Uśmiechnęła się.

– Ty będziesz naczelnym redaktorem „Washington Tribune Enterprises”. Ty nim będziesz.

I Matt jej uwierzył.

Rozdział dwunasty

Upłynęło sześć miesięcy od dnia, kiedy land-rover Dany wyleciał w powietrze. Udało się jej wyskoczyć. Doznała jedynie wstrząsu, miała pęknięte zebro, złamaną rękę w przegubie i bolesne stłuczenia. Jovan miał złamaną nogę, zadrapania i siniaki. Matt Baker zatelefonował do Dany tego samego wieczora i kazał jej wracać do Waszyngtonu, ale po tym wypadku Dana bardziej niż kiedykolwiek była zdecydowana zostać.

– Ci ludzie są zrozwaczeni – odpowiedziała Mattowi. – Ja po prostu nie mogę teraz stąd odejść. Jeśli mi każesz wracać do domu, odejdę z pracy.

– Szantażujesz mnie?

– Tak.

– Tak myślałem – warknął Matt. – Nie pozwalam nikomu, żeby mnie szantażował. Rozumiesz?

Dana czekała.

– A co byś powiedziała, gdybym ci zaproponował urlop? – zapytał.

– Niepotrzebny jest mi urlop.

Słyszała sapanie Matta.

– Dobrze. Zostań. Ale, Dana...

– Słucham.

– Obiecuj mi, że będziesz ostrożna.

Gdzieś zza hotelu do Dany docierał terkot karabinu maszynowego.

– Dobrze.

Miasto przez całą noc było pod ciężkim ostrzałem. Dana nie mogła spać. Każda eksplozja padającego pocisku z moździerza oznaczała, że jeszcze jeden dom został zburzony, jeszcze jedna rodzina pozostała bez dachu nad głową, albo jeszcze gorzej, utraciła życie.

Wczesnym rankiem Dana i jej ekipa wyszli na ulicę gotowi kręcić film. Benn Albertson czekał, aż ucichnie strzelanina, i wtedy dał znak Danie:

– Dziesięć sekund.

– Gotowa – powiedziała Dana.

Benn podniósł do góry palec, Dana odwróciła się od ruin znajdujących się za nią i stanęła twarzą do kamery telewizyjnej.

– To jest miasto, które powoli znika z powierzchni ziemi. Wraz z odcięciem dopływu elektryczności straciło wzrok... Telewizja i rozgłośnie radiowe zostały zamknięte, więc nie ma uszu... Cały transport publiczny został wstrzymany, więc straciło nogi...

Kamera przesunęła się, by pokazać opustoszały, zbombardowany plac zabaw z zardzewiałymi szkieletami huśtawek i zjeżdżalni.

– Dawniej bawiły się tutaj dzieci, a dźwięk ich śmiechu wypełniał powietrze.

Ogień moździerzy znów było słychać gdzieś niedaleko. Rozlegały się syreny alarmu lotniczego. Ludzie na ulicy za Daną chodzili, jak gdyby nic nie słyszeli.

– Dźwięk, który słyszycie, to jeszcze jeden alarm lotniczy. Jest to sygnał dla ludzi, żeby uciekli i ukryli się gdzieś. Ale mieszkańcy Sarajewa wiedzą, że nie ma takiego miejsca, w którym by się mogli ukryć, więc chodzą sobie w milczeniu. Ci, którzy mogą, uciekają z miasta, pozostawiając w mieszkaniach cały swój dobytek. Wielu z tych, którzy pozostali, ginie. To okrutny wybór. Krążą plotki o rychłym zawarciu pokoju. Zbyt wiele plotek, za mało pokoju. Czy nastanie? Kiedy? Czy dzieci wyjdą z piwnic i pewnego dnia znów zaczną korzystać z placu zabaw? Nikt tego nie wie. Mogą tylko żywić nadzieję. Z Sarajewa mówiła Dana Evans.

Czerwone światelko na kamerze zgasło.

– Chodźmy stąd – powiedział Benn.

Andy Casarez, nowy kamerzysta, zaczął spieszenie pakować sprzęt.

Jakiś mały chłopiec stał na chodniku obserwując Danę. Był to uliczny łobuziak, ubrany w brudne łachy i zdarte buty. Ogromne brązowe oczy błyszczały w twarzy pokrytej smugami brudu. Nie miał prawej ręki.

Dana przyglądała się przez chwilę wpatrzonemu w nią chłopcu. Uśmiechnęła się.

– Cześć.

Nie odpowiedział. Wzruszyła ramionami i odwróciła się do Benna.

– Chodźmy.

Kilka minut później wracali do Holiday Inn.

W Holiday Inn pełno było dziennikarzy z prasy, radia i telewizji. Stanowili zróżnicowaną rodzinę. Rywalizowali ze sobą wprawdzie, ale ze względu na grożące wszystkim niebezpieczeństwo czuli, że stanowią jakąś wspólnotę, i zawsze byli gotowi pomagać sobie nawzajem. Razem nagrywali wstrząsające reportaże.

W Czarnogórze były zamieszki...

Vukovar bombardowano...

W Petrovo Selo ostrzelano szpital...

Jean Paul Hubert rozstał się z nimi. Dostał inne zadanie i Danie strasznie go było brak.

Kiedy pewnego ranka Dana wychodziła z hotelu, mały chłopiec, którego już raz widziała na ulicy, stał w alejce.

Jovan otworzył Danie drzwiczki nowego land-rovera.

– Dzień dobry, madame.

– Dzień dobry.

Chłopiec stał nadal w alejce, wpatrzony w Danę. Podeszła do niego.

– Dzień dobry.

Nie odpowiedział.

– Jak jest po słoweńsku dzień dobry? – zapytała Dana Jovana.

– *Dobro jutro* – odpowiedział chłopiec.

Dana odwróciła się do niego.

– Więc rozumiesz po angielsku.

– Może.

– Jak ci na imię?

– Kemal.

– Ile masz lat, Kemal?

Chłopiec odwrócił się i odszedł.

– Boi się obcych – powiedział Jovan.

Dana patrzyła w ślad za chłopcem.

– Nie potępiam go za to. Ja też się boję.

Cztery godziny później, kiedy land-rover powrócił na alejkę na tyłach Holiday Inn, Kemal czekał w pobliżu wejścia.

Gdy Dana wysiadła z samochodu, chłopiec powiedział:

– Dwanaście.

– Co? – I nagle sobie przypomniała. – O!

Był mały na swój wiek. Dana popatrzyła na pusty prawy rękaw koszuli i już chciała go o to zapytać, ale się powstrzymała.

– Gdzie mieszkasz, Kemal? Możemy cię odwiedzić do domu?

Patrzyła, jak chłopiec odwraca się i odchodzi.

– Brak mu ogłady – powiedział Jovan.

– Może ją stracił wtedy, kiedy stracił rękę – powiedziała Dana spokojnie.

Tego wieczoru w hotelowej jadalni dziennikarze rozmawiali o nowych pogłoskach na temat zawarcia pokoju.

– ONZ w końcu się do tego wmieszało – powiedziała Gabriella Orsi.

– Najwyższy czas.

- Jeśli chce pani znać moje zdanie, to jest już za późno.
- Nigdy nie jest za późno – powiedziała Dana spokojnie.

Nazajutrz rano nadano przez radio dwie wiadomości: że zawarto porozumienie między Stanami Zjednoczonymi i Narodami Zjednoczonymi oraz że redakcja „Oslobodjenja”, gazety wychodzącej w Sarajewie, została doszczętnie zbombardowana.

– Nasze biura w Waszyngtonie zajmą się porozumieniem pokojowym – powiedziała Dana do Benna. – My zrobimy reportaż o zbombardowaniu „Oslobodjenja”.

Dana stała przed zdemolowanym budynkiem, w którym kiedyś mieściła się redakcja „Oslobodjenja”. Na kamerze paliło się czerwone światelko.

– Ludzie umierają tutaj codziennie – powiedziała Dana do obiektywu – a budynki są niszczone. Ale ten budynek został zamordowany. Mieściła się tutaj redakcja jedynej wolnej gazety w Sarajewie, „Oslobodjenja”. Była to gazeta, która miała odwagę mówić prawdę. Kiedy zostało zbombardowane główne biuro, gazeta przeniosła się do sutereny, żeby utrzymać pismo przy życiu. Kiedy nie było już kiosków, w których można by sprzedawać gazety, dziennikarze wyszli na ulicę i sami je sprzedawali. Sprzedawali coś więcej niż gazety. Sprzedawali wolność. Wraz ze śmiercią „Oslobodjenja” umarł tutaj jeszcze jeden kawałek wolności.

W swoim biurze Matt Baker oglądał zagraniczny serwis informacyjny.

– A niech to diabli! Ależ ona jest dobra! – Odwrócił się do swego asystenta. – Chcę, żeby miała swoją własną ciężarówkę do przekazów satelitarnych. Zrób coś!

Gdy Dana wróciła do swego pokoju, czekał na nią gość. Pułkownik Gordan Divjak siedział rozwalony na krześle.

Zatrzymała się zaskoczona.

– Nie powiedzieli mi, że mam gościa.

– To nie jest towarzyska wizyta. – Jego oczy jak paciorki skupiły się na niej. – Oglądałem pani reportaż na temat „Oslobodjenja”.

Dana przyglądała mu się bacznie.

– Tak?

– Pozwolono pani przyjechać do naszego kraju robić reportaże, a nie wydawać sądy...

– Nie wydałam żadnego...

– Proszę mi nie przerywać. Pani pojęcie wolności jest niekoniecznie zgodne z naszym pojęciem wolności. Rozumie mnie pani?

– Nie. Niestety...

– Więc proszę pozwolić, że pani wytłumaczę, panno Evans. Jest pani gościem w moim kraju. Może jest pani szpiegiem działającym na rzecz swego rządu.

– Nie jestem...

– Proszę mi nie przerywać. Ostrzegłem panią na lotnisku. My nie uprawiamy żadnej gry. Jesteśmy w stanie wojny. Każdy, kto będzie zamieszany w szpiegostwo, zostanie stracony. – Jego słowa tym bardziej mroziły krew w żyłach, że wypowiedział je łagodnym tonem. Wstał. – To jest nasze ostatnie ostrzeżenie.

Dana patrzyła, jak wychodzi. „Nie pozwolę mu się zastraszyć” – pomyślała buntowniczo. Była przerażona.

Matt Baker przysłał paczkę żywnościową. Było to ogromne pudło pełne cukierków, czekoladowych batoników, konserw i wielu innych niepsujących się produktów. Dana zniosła pudło do holu, żeby podzielić wszystko między dziennikarzy. Byli zachwyceni.

– Taki szef to rozumiem – powiedział Satomi Asaka.

– W jaki sposób można dostać posadę w „Washington Tribune”? – żartował Juan Santos.

Kemal znów czekał w alejce. Jego cienka kurteczka wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozpaść na strzępy.

– Dzień dobry, Kemal.

Stał w milczeniu, obserwując ją spod na pół przymkniętych powiek.

– Wybieram się po zakupy. Chciałbyś pojechać ze mną?

Żadnej odpowiedzi.

– No to powiem inaczej! – krzyknęła Dana zirytowana. Otworzyła tylne drzwiczki samochodu. – Wskakuj do wozu. Ale już!

Chłopiec stał jeszcze chwilę zaskoczony, po czym wolno ruszył w stronę samochodu.

Dana i Jovan patrzyli, jak gramoli się na tylne siedzenie.

– Znajdziesz jakiś otwarty dom towarowy albo sklep z odzieżą? – zapytała Dana Jovana.

– Wiem, gdzie jest jeden taki sklep.

– Jedźmy tam.

Przez pierwsze pięć minut jechali w milczeniu.

– Masz mamę albo tatę, Kemal?

Pokręcił przecząco głową.

– Gdzie mieszkasz?

Wzruszył ramionami.

Dana poczuła, że chłopiec przysuwa się do niej, jak gdyby chciał chłonąć ciepło jej ciała.

Sklep z odzieżą znajdował się w Bašćaršiji, starym krytym bazarze. Front został zbombardowany, ale sklep był otwarty. Dana wzięła Kemala za lewą rączkę i weszli.

– Czym mogę służyć? – zapytała ekspedientka.

– Chciałabym kupić jakąś kurteczkę dla mojego przyjaciela. – Popatrzyła na Kemala. – Jest mniej więcej jego wzrostu.

– Tędy, proszę.

W dziale ubrań chłopięcych stał stelaż z kurteczkami.

– Która ci się podoba? – zapytała Dana Kemala.

Nic nie odpowiedział.

– Weźmiemy tę brązową – powiedziała Dana do ekspedientki. Popatrzyła na spodnie Kemala. – Myślę, że będą nam potrzebne jeszcze spodnie i jakieś nowe buty.

Gdy pół godziny później opuszczali sklep, Kemal miał na sobie nowe ubranko. Bez słowa wślizgnął się na tylne siedzenie samochodu.

– Nie wiesz, jak się mówi dziękuję? – burknął Jovan ze złością.

Kemal wybuchnął płaczem. Dana objęła go.

– Już dobrze – powiedziała. – Wszystko w porządku.

W jakim świecie przyjdzie żyć tym dzieciom?

Wrócili do hotelu. Dana patrzyła, jak Kemal się odwraca i bez słowa odchodzi.

– Gdzie takie biedactwo mieszka? – zapytała Jovana.

– Na ulicach, madame. W Sarajewie są setki takich sierot jak on. Nie mają domów, nie mają rodzin.

– Jak to się dzieje, że mimo to żyją?

Jovan wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Następnego dnia, gdy Dana wyszła z hotelu, Kemal czekał na nią. Był w nowym ubranku i z umytą buzią.

Głównym tematem rozmów przy stole podczas lunchu była wiadomość o traktacie pokojowym i czy to coś zmieni. Dana postanowiła znów odwiedzić profesora Mladicia Stakę i zapytać go, co o tym myśli.

Sprawiał wrażenie jeszcze słabszego niż ostatnim razem.

– Jestem szczęśliwy, że znów panią widzę, panno Evans. Słyszałem, że robi pani cudowne programy, ale... – Wzruszył ramionami. – Niestety, nie mam prądu i nie mogę korzystać ze swojego telewizora. Co mogę dla pani zrobić?

– Chciałabym usłyszeć pańską opinię o tym nowym traktacie pokojowym, panie profesorze.

Odchylił się do tyłu w swoim fotelu i powiedział zamyślony:

– To interesujące, że w Dayton, w stanie Ohio, podejmuje się decyzje, co ma się stać z przyszłością Sarajewa.

– Zgodzili się na „radę”, trzyosobową prezydenturę, w skład której wchodziłoby: jeden muzułmanin, jeden Chorwat i jeden Serb. Myśli pan, profesorze, że to się uda?

– Tylko jeżeli wierzycie w cuda. – Zmarszczył brwi. – Powstanie osiemnaście państwowych ciał ustawodawczych, sto dziewięć różnych lokalnych rządów. To będzie polityczna wieża Babel. Coś, co wy, Amerykanie, nazywacie „małżeństwem z konieczności”. Żaden z nich nie chce zrezygnować ze swojej autonomii. Nalegają, by im pozwolono mieć swoje flagi, zachować swoje patenty i swoją własną walutę. – Potrząsnął głową. – To jest pokój o poranku. Strzeżcie się nocy.

Dana Evans była już nie tylko reporterem, stawała się międzynarodową legendą. Jej telewizyjne relacje były błyskotliwe i pełne pasji. A ponieważ Dana była zaniepokojona tym, co się dzieje, telewidzowie także byli zaniepokojeni i dzielili jej uczucia.

Matt Baker zaczął otrzymywać telefony z innych stacji telewizyjnych, że chcą stworzyć syndykat dla programów Dany Evans. Był zachwycony. Pojechała tam, by wykonać dobrą robotę, i spisała się znakomicie.

Otrzymała własną nową ciężarówkę do przekazów satelitarnych, Dana była bardziej zajęta niż kiedykolwiek. Już nie pozostawała na łasce jugosłowiańskiej spółki satelitarnej. Razem z Bennem decydowali, jakie reportaże chcą robić. Dana pisała teksty, a następnie wygłaszała komentarze do swoich relacji. Niektóre leciały na żywo, inne z taśm. Dana, Benn i Andy wychodzili na ulice i filmowali wszystko, co było potrzebne dla zilustrowania reportażu. Potem Dana nagrywała komentarz w pokoju redakcyjnym i przesyłała do Waszyngtonu.

Podczas lunchu w hotelowej restauracji na środku stołu stały ogromne tace pełne kanapek. Dziennikarze częstowali się z zapalem. Wszedł Roderick Munn z BBC z wycinkiem Associated Press w ręce.

– Słuchajcie, co tu jest napisane, słuchajcie wszyscy. – Zaczął czytać głośno tekst z wycinka. – „Dana Evans, korespondent zagraniczny WTE, należy obecnie do syndykatu zrzeszającego dwanaście stacji telewizyjnych. Panna Evans jest kandydatką do Peabody Award”.

– Czy nie jesteśmy szczęściarzami, mogą współpracować z kimś tak sławnym? – powiedział sarkastycznie jeden z reporterów.

W tym momencie Dana weszła do jadalni.

– Cześć. Nie mam dzisiaj czasu na lunch. Wezmę ze sobą parę kanapek. – Zgarnęła z tacy kilka kanapek i przykryła je papierową serwetką. – Do zobaczenia.

Patrzyli w milczeniu, jak wychodzi. Kiedy Dana wyszła, Kemal już czekał na nią przed hotelem.

– Jak się masz, Kemal.

Nie odpowiedział.

– Wsiadaj do samochodu.

Kemal wślizgnął się na tylne siedzenie. Dana podała mu kanapkę, usiadła obok i patrzyła, jak chłopiec w milczeniu łapczywie je. Podała mu następną; Kemal zaczął ją też szybko pochłaniać.

– Jedz wolno – powiedziała.

– Dokąd? – zapytał Jovan.

Dana odwróciła się do Kemala.

– Dokąd? – powtórzyła pytanie.

Popatrzył na nią, jakby nie rozumiał, o co pyta.

– Zawieziemy cię do domu, Kemal. Gdzie mieszkasz?

Potrząsnął przecząco głową.

– Muszę wiedzieć. Gdzie mieszkasz?

Dwadzieścia minut później samochód zatrzymał się przed dużą pustą parcelą w pobliżu brzegu rzeki Miljacki. Mnóstwo dużych tekturowych bud stało rozrzuconych wokół i na całej parceli było pełno gruzu.

Dana wysiadła z samochodu i zwróciła się do Kemala.

– To tutaj mieszkasz?

Niechętnie kiwnął głową.

– A inni chłopcy także tutaj mieszkają?

Znowu kiwnął głową.

– Chcę zrobić o tym reportaż, Kemal.

Pokręcił głową.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo przyjdzie policja i zabierze nas stąd. Nie rób tego.

Dana przez chwilę bacznie mu się przyglądała.

– Dobrze. Obiecuję.

Następnego ranka Dana wyprowadziła się ze swego pokoju w Holiday Inn. Kiedy nie zjawiała się na śniadanie, Gabriella Orsi z Altre Station we Włoszech zapytała:

– Gdzie jest Dana?

– Wyjechała – odpowiedział Roderick Munn. – Wynajęła domek na wsi i będzie tam mieszkać. Oświadczyła, że chce być sama.

Mikołaj Pietrowicz, Rosjanin z „Gorizonta 22”, oburzył się.

– Każdy z nas chciałby być sam. Nie jesteśmy dla niej dość dobrzy?

Decyzja Dany spotkała się z powszechną dezaprobatą.

Nazajutrz po południu przysłała jeszcze jedna duża paczka z żywnością dla Dany.

– Skoro jej tu nie ma – powiedział Mikołaj Pietrowicz – możemy równie dobrze my skorzystać.

– Przykro mi. Panna Evans sama ją odbierze – oświadczył chłopak z obsługi hotelowej.

Po kilku minutach zjawił się Kemal. Dziennikarze patrzyli, jak zabiera paczkę i wychodzi.

– Już się nawet z nami nie dzieli – mruknął Juan Santos. – Chyba popularność uderzyła jej do głowy.

W ciągu następnego tygodnia Dana robiła reportaże, ale nie pojawiała się w hotelu. Wszyscy czuli do niej coraz większą niechęć.

Dana i jej ego stawały się głównym tematem rozmów. Kilka dni później, kiedy jeszcze jedną wielką paczkę dostarczono do hotelu, Mikołaj Pietrowicz podszedł do urzędnika hotelowego.

– Czy tę paczkę też odbierze panna Evans?

– Tak, proszę pana.

Rosjanin pobiegł z powrotem do jadalni.

– Jest jeszcze jedna paczka – powiedział. – Ktoś ma ją odebrać. Dlaczego nie pojedziemy za nim i nie powiemy panie Evans, co sądzimy o dziennikarzach, którzy myślą, że są lepsi od innych?

Rozległ się chórally szmer aprobaty. Kiedy Kemal przyszedł po paczkę, Mikołaj zapytał:

– Zabierasz to dla panny Evans?

Kemal potaknął.

– Ona chce się z nami zobaczyć. Pojedziemy z tobą.

Kemal patrzył na niego przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Odwieziemy cię jednym z naszych samochodów – powiedział Mikołaj Pietrowicz – Pokażesz nam, którądy mamy jechać.

Dziesięć minut później karawana samochodów ruszyła pustymi bocznymi ulicami. Na peryferiach miasta Kemal wskazał stary zbombardowany wiejski dom. Samochody zatrzymały się.

– Idź pierwszy i zanieś jej paczkę – powiedział Mikołaj Pietrowicz. – Zrobimy jej niespodziankę.

Patrzyli, jak Kemal wchodzi do budynku. Zaczekali chwilę, po czym ruszyli w kierunku domu i wpadli do środka. Zatrzymali się zaskoczeni. Pokój był pełen dzieci w różnym wieku, różnego wzrostu i różnych odcieni skóry. Większość z nich była kalekami. Pod ścianami stało mnóstwo wojskowych prycz. Dana rozdzielala między dzieci zawartość paczki, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły. Popatrzyła ze zdziwieniem na grupę, która wpadła do środka.

– Co... co wy tu robicie?

Roderick Munn rozejrzał się wokoło zakłopotany.

– Przepraszam, Dana. Pomyliliśmy się. Myśleliśmy...

Dana odwróciła się i stanęła twarzą do intruzów.

– Rozumiem. To są sieroty. Nie mają dokąd pójść i nikt się o nie nie troszczy. Większość z nich przebywała w szpitalu, kiedy został zbombardowany. Jeśli policja je znajdzie, zostaną umieszczone w czymś, co uchodzi za sierociniec, i umrą tam. Jeżeli zostaną tutaj, także umrą. Próbowałam wymyślić jakiś sposób, żeby je wydostać z tego kraju, ale jak dotąd nic z tego mi nie wyszło. – Popatrzyła błagalnie na grupę dziennikarzy. – Macie jakieś pomysły?

– Chyba mam – powiedział wolno Roderick Munn. – Dziś wieczorem odlatuje do Paryża samolot Czerwonego Krzyża. Pilot jest moim przyjacielem.

– Porozmawiasz z nim? – zapytała Dana z nadzieją.

– Tak.

Mikołaj Pietrowicz zawołał:

– Zaczekaj. Nie możemy się mieszać do czegoś takiego. Wyrzucą nas wszystkich z tego kraju.

– Nie musisz się mieszać. Poradzimy sobie bez ciebie.

– Jestem przeciwny – powtarzał uparcie Mikołaj Pietrowicz. – Narazimy się na niebezpieczeństwo.

– A co z dziećmi? – zapytała Dana. – Rozmawiamy o ich życiu.

Późnym popołudniem Roderick Munn przyszedł do Dany.

– Rozmawiałem z moim przyjacielem. Powiedział, że będzie szczęśliwy, mogąc zabrać dzieci do Paryża, gdzie będą bezpieczne. Sam ma dwóch synków.

Dana była wzruszona.

– Cudownie. Ogromnie ci dziękuję.

Munn popatrzył na nią.

– To my powinniśmy podziękować tobie.

Tego samego wieczora o godzinie ósmej kryta ciężarówka ze znakami Czerwonego Krzyża na bokach zatrzymała się przed frontem wiejskiego domu. Szofer zgasił światła i pod osłoną ciemności Dana i dzieci szybko wsiedli do ciężarówki.

Piętnaście minut później jechali w kierunku lotniska Butmir. Lotnisko to było czasowo zamknięte. Startowały z niego jedynie samoloty Czerwonego Krzyża, które dostarczały żywność i zabierały ciężko rannych.

Jazda ciężarówką na lotnisko wydawała się Danie najdłuższą podróżą w jej życiu. Zdawała się trwać bez końca. Wreszcie ukazały się światła portu lotniczego. Dana powiedziała do dzieci:

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Kemal ścisnął jej rękę.

– Będzie ci dobrze – zapewniała go Dana. – Zaopiekują się tam wami wszystkimi. – „Będę za tobą tęskniła” – pomyślała.

W porcie lotniczym strażnik machnięciem ręki dał znak, że mogą wjechać, i ciężarówka podjechała aż do czekającego na ładunek samolotu ze znakami Czerwonego Krzyża na kadłubie.

Pilot stał obok samolotu. Podbiegł do Dany.

– Na litość boską, jesteście spóźnieni. Pakuj ich do samolotu, szybko! Mieliśmy wystartować dwadzieścia minut temu.

Dana zapędziła dzieci po rampie do samolotu. Kemal wsiadał ostatni.

Odwrócił się do Dany. Wargi mu drżały.

– Zobaczę panią jeszcze?

– Pewnie, że tak! – Objęła go i tuliła do siebie przez chwilę modląc się w milczeniu. – A teraz wsiadaj do samolotu.

Po chwili drzwi się zamknęły. Rozległ się ryk silników i samolot zaczął kołować po pasie startowym.

Dana i Munn stali na płycie lotniska i obserwowali, jak się oddala. Na końcu pasa startowego samolot wzbił się w powietrze i przechylił skręcając na północ, w kierunku Paryża.

– To cudowne, co pani zrobiła – powiedział kierowca. – Chcę, żeby pani wiedziała...

Nagle za nimi rozległ się pisk hamującego samochodu. Pułkownik Gordan Divjak wyskoczył z wozu i z wściekłością gapił się w niebo, gdzie zniknął już samolot. Obok niego stał rosyjski dziennikarz, Mikołaj Pietrowicz.

Pułkownik odwrócił się do Dany.

– Jest pani aresztowana. Ostrzegłem panią, że za szpiegostwo grozi kara śmierci.

Dana nabrała głęboko powietrza.

– Pułkowniku, jeśli chce pan wytoczyć proces o szpiegostwo...

Divjak spojrzął jej w oczy i powiedział łagodnie:

– Czy ktoś tu mówił coś o procesie?

Rozdział trzynasty

Dobiegły końca uroczystości i parady związane z wprowadzeniem na urząd nowego prezydenta i ceremonia zaprzysiężenia i Oliver nie mógł się doczekać rozpoczęcia swego urzędowania. Waszyngton D.C. był prawdopodobnie jedynym miastem całkowicie opętanym polityką. Stanowił centrum władzy świata, a Oliver Russell był ośrodkiem tego centrum. Wydawało się, że wszyscy są w ten czy inny sposób związani z rządem federalnym. W rejonie stołecznym mieszkało piętnaście tysięcy lobbystów i ponad pięć tysięcy dziennikarzy i wszyscy oni karmili się mlekiem matki-rządu. Oliver Russell pamiętał figlarną uwagę Johna Kennedy'ego: „Waszyngton jest miastem o umiejętnościach południowca i uroku mieszkańców Północy”.

Pierwszego dnia swej prezydentury Oliver chodził z Jan po Białym Domu. Znali dobrze jego dane statystyczne: sto trzydzieści dwa pokoje, trzydzieści dwie łazienki, dwadzieścia dziewięć kominków, trzy windy, basen pływacki, pole golfowe, kort tenisowy, ścieżka do uprawiania joggingu, sala gimnastyczna, łoże w kształcie podkowy, kręgle, sala kinowa i osiemnaście akrów pięknie utrzymanych gruntów. Ale życie tutaj i świadomość, że się stanowi część tego wszystkiego, musiały być przytłaczające.

– To jest jak sen, prawda? – westchnęła Jan.

– Cieszę się, że przeżywamy to wspólnie, kochanie.

Powiedział to ze szczerym przekonaniem. Jan stała się cudowną partnerką. Zawsze była przy nim, wspierała go i troszczyła się o niego. Coraz bardziej się cieszył, że jest z nią.

Kiedy Oliver wrócił do Owalnego Gabinetu, czekał tam na niego Peter Tager. Podczas tego pierwszego spotkania Oliver miał mianować Tagera szefem swego personelu.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć, Peter – powiedział.

– Ludzie wierzą – uśmiechnął się Peter Tager. – Głosowali na pana, panie prezydencie.

Oliver podniósł na niego wzrok.

– Dla ciebie nadal jestem Oliverem.

– Dobrze. Tylko wtedy, kiedy będziemy sami. Ale musisz sobie zdawać sprawę, że od tej chwili zawsze wszystko, cokolwiek zrobisz, może mieć wpływ na losy całego świata.

Cokolwiek powiesz, może stanowić wstrząs dla gospodarki albo mieć wpływ na sto innych krajów. Masz większą władzę niż ktokolwiek na świecie.

Zadzwieczył interkom.

– Panie prezydencie, senator Davis jest tutaj.

– Wpuść go, Heather.

Tager westchnął.

– Lepiej, jak się stąd wyniosę. Moje biurko wygląda jak papierowa góra.

Drzwi się otworzyły i Todd Davis wszedł do pokoju.

– Peter...

– Senatorze...

Panowie uścisnęli sobie ręce.

– Wpadnę później, panie prezydencie.

Senator Davis podszedł do biurka i pokiwał głową.

– To biurko idealnie do ciebie pasuje, Oliverze. Nie potrafię wyrazić, jaki dreszczyk czuję, widząc cię siedzącego tutaj.

– Dziękuję, Todd. Nadal staram się do tego przyzwyczać. Chcę przez to powiedzieć, że siadywał tu Adams... i Lincoln... i Roosevelt...

Senator Davis roześmiał się głośno.

– Niech cię to nie przeraża. Zanim stali się legendą, byli takimi samymi ludźmi jak ty, siedzieli tutaj i starali się robić to, co uważali za właściwe. Wszystkich z początku przerażało umieszczenie tyłków na tym fotelu. Właśnie rozstałem się z Jan. Jest w siódmym niebie. Ma zamiar wykreować się na wspaniałą pierwszą damę.

– Wiem o tym.

– A tak na marginesie, tutaj mam niewielką listę, którą chciałbym z panem przedyskutować, panie prezydencie. – Podkreślenie tego „panie prezydencie” zabrzmiało jowialnie.

– Oczywiście, Todd.

Senator Davis przesunął kartkę po biurku.

– Co to jest?

– Po prostu kilka propozycji dotyczących twego gabinetu.

– Och. Ale ja już zdecydowałem...

– Pomyślałem, że może mógłbyś zerknąć na to.

– Ale nie ma sensu, żeby...

– Przejrzyj to, Oliverze. – Głos Senatora stał się chłodny.

Oczy Olivera zwięzły się.

– Todd...

– Oliverze, nie chcę, żebyś choć przez chwilę myślał, że próbuję narzucać ci swoją wolę albo przekazywać swoje życzenia. Sporządziłem tę listę, ponieważ uważam, że to są najlepsi

ludzie, którzy pomogą ci służyć ojczyźnie. Jestem patriotą, Oliverze, i nie wstydę się tego. Ten kraj znaczy dla mnie wszystko. – Na chwilę zabrakło mu tchu. – Wszystko. Jeśli myślisz, że pomogłem ci objąć ten urząd tylko dlatego, że jesteś moim zięciem, bardzo się mylisz. Walczyłem o to, byś zajął to miejsce, ponieważ mocno wierzę, że jesteś człowiekiem najbardziej odpowiednim do tej pracy. Na tym zależy mi najbardziej. – Postukał palcem w kartkę papieru leżącą na biurku. – A ci ludzie mogą ci pomóc.

Oliver siedział w milczeniu.

– Jestem w tym mieście od wielu, wielu lat, Oliverze. I wiesz, czego się nauczyłem? Że nie ma nic bardziej godnego pożałowania niż prezydent jednej kadencji. A wiesz dlaczego? Ponieważ przez pierwsze cztery lata w jego głowie dopiero zaczyna się rodzić myśl, co może uczynić, żeby w tym kraju działo się lepiej. Pragnie wszystkie te marzenia urzeczywistnić. I właśnie wtedy, kiedy jest gotów to uczynić... kiedy chce naprawdę coś zmienić – rozejrzył się po gabinecie – wprowadza się tutaj ktoś inny i te marzenia po prostu pierzchają. To smutne, kiedy się o tym pomyśli, prawda? O tych wszystkich wielkich ludziach z wielkimi marzeniami, którzy służą tylko jedną kadencję. Czy wiesz, że od roku 1897, kiedy objął urząd McKinley, więcej niż połowa jego następców to byli prezydenci jednej kadencji? Ale ty, Oliverze, mam zamiar tego dopilnować, będziesz prezydentem dwóch kadencji. Chcę, żebyś mógł się doczekać, aż się spełnią wszystkie twoje marzenia. Mam zamiar dopilnować, żebyś został ponownie wybrany. – Senator Davis popatrzył na zegarek. – Muszę iść. Mamy w senacie zebranie, na którym wymagane jest kworum. Zobaczymy się wieczorem na kolacji. – Zniknął za drzwiami.

Oliver długo za nim spoglądał. Wreszcie sięgnął po listę, którą pozostawił senator Todd Davis.

Śniło mu się, że Miriam Friedland się budzi i siada na łóżku. Obok stał policjant. Popatrzył na nią i rzekł:

– No, teraz możesz nam powiedzieć, kto ci to zrobił.

– Tak.

Obudził się zlany potem.

Nazajutrz wczesnym rankiem Oliver zadzwonił do szpitala, w którym leżała Miriam.

– Niestety, nic się nie zmieniło, panie prezydencie – powiedział szef personelu lekarskiego. – Szczerze mówiąc, nie wygląda to dobrze.

– Ona nie ma żadnej rodziny – powiedział Oliver z wahaniem. – Jeżeli sądzi pan, że z tego nie wyjdzie, czy nie byłoby bardziej humanitarne odłączenie jej od aparatury podtrzymującej życie?

– Myślę, że powinniśmy jeszcze troszeczkę poczekać i zobaczyć, co się stanie – powiedział lekarz. – Czasami zdarzają się cuda.

Jay Perkins, szef protokołu, informował prezydenta:

– W Waszyngtonie jest sto czterdzieści siedem przedstawicielstw dyplomatycznych, panie prezydencie. Niebieska księga – lista dyplomatyczna – zawiera nazwiska wszystkich przedstawicieli zagranicznych rządów i ich małżonek. Zielona księga – lista socjalna – nazwiska czołowych dyplomatów, rezydentów Waszyngtonu i członków Kongresu.

Wręczył Oliverowi kilka kartek.

– To jest lista ambasadorów zagranicznych, których powinien pan przyjąć.

Oliver rzucił okiem na listę i spostrzegł nazwisko ambasadora Włoch i jego żony: Atilio Picone i Sylva. „Sylva”. Zapytał niewinnie:

– Czy przyjadą z żonami?

– Nie. Żony zostaną przedstawione później. Proponowałbym, aby pan rozpoczął przyjmowanie dyplomatów najszybciej, jak to jest możliwe.

– Świetnie.

Perkins dodał:

– Spróbuję tak to zorganizować, aby do przyszłej soboty ambasadorowie obcych państw zostali akredytowani. Być może będzie pan pragnął rozważyć wydanie na ich cześć kolacji w Białym Domu.

– Dobry pomysł. – Oliver jeszcze raz rzucił okiem na listę nazwisk leżącą na biurku. Atilio i Sylva Picone.

W sobotni wieczór jadalnia Białego Domu była udekorowana flagami krajów, które reprezentowali zagraniczni ambasadorowie. Oliver rozmawiał z Atiliem Picone dwa dni wcześniej, kiedy ten składał listy uwierzytelniające.

– Jak się czuje pani Picone? – zapytał.

Zapadła krótka cisza.

– Żona czuje się świetnie. Dziękuję panu, panie prezydencie.

Kolacja upływała w miłej atmosferze. Oliver chodził od stołu do stołu, gawędząc z gośćmi i czarując wszystkich. W tym pokoju zebrało się wielu najważniejszych ludzi na świecie.

Oliver Russell podszedł do trzech dam, znanych w kręgach towarzyskich, które były żonami ważnych osobistości. Należały do osób z władzą i wpływami, co zawdzięczały wyłącznie sobie.

– Leonore... Delores... Carol...

Kiedy Oliver szedł przez pokój, Sylva Picone podeszła do niego i wyciągnęła rękę.

– Czekałam na tę chwilę. – Oczy jej błyszczały.

– Ja także – powiedział ledwie dosłyszalnie.

– Wiedziałam, że pan zostanie wybrany. – To był niemal szept.

– Czy możemy porozmawiać później?

Nie wahała się ani chwili.

– Oczywiście.

Po kolacji były tańce w wielkiej sali balowej przy muzyce zespołu „Marine”. Oliver obserwował tańczącą Jan i myślał: „Jaka to piękna kobieta. Co za wspaniałe ciało”.

Ten wieczór był ogromnym sukcesem.

W następnym tygodniu na pierwszej stronie „Washington Tribune” ogromny tytuł głosił: **PREZYDENT OSKARŻONY O SFALSZOWANIE WYBORÓW.**

Oliver wpatrywał się w te słowa z niedowierzaniem. To było najgorsze, co mogło się zdarzyć właśnie teraz. Jak do tego doszło? I nagle zrozumiał. Odpowiedź miał przed sobą, w stopce redakcyjnej: Wydawca: Leslie Stewart.

Tydzień później wiadomość na pierwszej stronie „Washington Tribune” nosiła tytuł: **PREZYDENT MA BYĆ PRZESŁUCHANY W SPRAWIE O SFALSZOWANIE ZEZNAŃ NA TEMAT PODATKU DOCHODOWEGO W STANIE KENTUCKY.**

Po dwóch dniach jeszcze jedna wiadomość ukazała się na pierwszej stronie „Tribune”: **DAWNA ASYSTENTKA PREZYDENTA RUSSELLA MA ZAMIAR WSZCZĄĆ PRZECIW NIEMU PROCES O MOLESTOWANIE SEKSUALNE.**

Drzwi Owального Gabinetu otwały się z hukiem i Jan wpadła do środka.

– Widziałeś poranną gazetę?

– Tak, ja...

– Jak mogłeś nam to zrobić, Oliverze? Ty...

– Zaczekaj chwileczkę. Czy ty nie widzisz, Jan, co się dzieje? Za tym kryje się Leslie Stewart. Jestem pewien, że to ona przekupiła tę kobietę, żeby to zrobiła. Próbuje zemścić się na mnie za to, że ją porzuciłem dla ciebie. Dobrze. Udało jej się. To koniec.

Zadzwoił senator Davis.

– Oliverze, chciałbym się z tobą zobaczyć za godzinę.

– Będę tu na ciebie czekał, Todd.

Kiedy Todd Davis przyszedł, Oliver był w małej bibliotece. Wstał, żeby go powitać.

– Dzień dobry.

– Piekielnie dobry. – Głos senatora Davisa był pełen furii. – Ta kobieta cię zniszczy.

– Nie, nie zniszczy. Ona tylko...

– Wszyscy czytają tego cholernego szmatławca, pełnego plotek, a ludzie wierzą w to, co czytają.

– Todd, to przyschnie i...

– To nie przyschnie. Słyszałeś dziś rano komentarz redakcyjny WTE. Mówili o tym, kto zostanie naszym następnym prezydentem. Ty byłeś na samym końcu tej listy. Leslie Stewart robi, co może, żeby cię dopaść. Musisz ją powstrzymać. Jak to jest w tym wierszu... „W piekle nie ma złości...”

– Jest jeszcze jedno powiedzenie, Todd, o wolności prasy. Nie możemy nic z tym zrobić.

Senator Davis popatrzył na Olivera i po chwili namysłu powiedział:

– Ależ możemy.

– O czym ty mówisz?

– Siadaj.

Obaj usiedli.

– Ta kobieta jest oczywiście nadal w tobie zakochana, Oliverze. W ten sposób karze cię za to, co jej zrobiłeś. Nigdy nie spieraj się z kimś, kto kupuje atrament na tony. Moja rada jest taka: zawrzyj z nią pokój.

– Jak mam to zrobić?

Senator zatrzymał wzrok w okolicy pachwiny Olivera.

– Ruszże głową.

– Zaczekaj, Todd! Czyżbyś proponował, żebym...

– Proponuję, żebyś ją uspokoił. Daj jej do zrozumienia, że żałujesz. Powiadam ci, ona cię nadal kocha. Gdyby nie kochała, nie robiłaby tego.

– Czego konkretnie oczekujesz?

– Oczaruj ją, chłopcze. Zrobiłeś to już raz, możesz to zrobić znowu. Odniesiesz nad nią zwycięstwo. W piątek wieczorem masz być na kolacji w Departamencie Stanu. Zaprosz ją. Musisz ją przekonać, żeby zaprzestała tych działań.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Może mógłbyś zabrać ją gdzieś, gdzie moglibyście spokojnie pogadać. Mam letni domek w Wirginii. Wyjeżdżam na weekend na Florydę i umówiłem się z Jan, że pojedzie ze mną. – Wyjął z kieszeni świstek papieru oraz kilka kluczy i podał to wszystko Oliverowi.

Ten wpatrywał się w niego zdumiony.

– Jezu! Ty to wszystko zaplanowałeś? A co, jeżeli Leslie nie będzie... jeżeli nie będzie tym zainteresowana? Jeżeli nie zechce ze mną wyjechać?

Senator Davis wstał.

– Jest zainteresowana. Pojedzie. Zobaczymy się w poniedziałek, Oliverze. Powodzenia!

Oliver długo siedział bez ruchu. Pomyślał: „Nie. Nie mogę jej znów tego zrobić. I nie zrobię”.

Tego wieczoru, gdy przebierali się do kolacji, Jan powiedziała:

– Oliverze, ojciec poprosił mnie, żebym z nim pojechała na weekend na Florydę. Ma tam otrzymać jakąś nagrodę i myślę, że chce się popisać żoną prezydenta. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym pojechała? Wiem, że w Departamencie Stanu wydają w piątek kolację, więc jeśli chcesz, żebym została...

– Nie, nie. Jedź. Będę za tobą tęsknił.

„Naprawdę będę za nią tęsknił – pomyślał. – Jak tylko rozwiążę ten problem z Leslie, zacznę spędzać więcej czasu z Jan”.

Leslie właśnie rozmawiała przez telefon, kiedy do pokoju wpadła sekretarka.

– Panno Stewart...

– Nie widzisz, że jestem...

– Prezydent Russell jest na trzeciej linii.

Leslie patrzyła na nią przez chwilę, po czym uśmiechnęła się.

– Dobrze – powiedziała do słuchawki. – Zadzwoń później.

Nacisnęła guzik trzeciej linii.

– Halo.

– Leslie?

– Cześć, Oliver. A może powinnam zwracać się do ciebie: panie prezydencie?

– Możesz mnie nazywać, jak ci się podoba. – I dodał lekko: – I nazywaj. Leslie, chcę się z tobą zobaczyć.

Zapadła cisza.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– Bardzo dobry.

– Jesteś prezydentem. Nie mogę powiedzieć „nie”, prawda?

– Nie możesz. Jeżeli jesteś amerykańską patriotką. W piątek wieczorem Departament Stanu wydaje kolację w Białym Domu. Przyjdź, proszę.

– O której?

– O ósmej.

– Dobrze. Będę.

Wyglądała oszalamiająco w długiej, obcisłej czarnej sukni z dzianiny, z wąską stójką i pęknięciem z przodu, zapinanej na guziczki powleczone warstewką dwudziestokaratowego złota. Z lewej strony suknia miała długie na czternaście cali rozcięcie.

W tej samej chwili, gdy Oliver spojrział na Leslie, wróciła lawina wspomnień.

– Leslie...

– Panie prezydencie...

Ujął jej dłoń i stwierdził, że jest wilgotna. „To coś oznacza – pomyślał. – Ale co? Zdenerwowanie? Złość? Powrót do dawnych wspomnień?”

– Tak się cieszę, że przyszedłeś, Leslie.

– Ja także.

– Później porozmawiamy.

Jej uśmiech rozgrzał go.

– Dobrze.

Dwa stoliki dalej zajęła miejsca grupa arabskich dyplomatów. Jeden z nich, śniady mężczyzna o ostrych rysach i ciemnych oczach zdawał się wpatrywać uważnie w prezydenta.

Oliver pochylił się ku Tagerowi i skinieniem głowy wskazał Araba.

– Kto to jest?

Tager spojrział szybko we wskazanym przez Olivera kierunku.

– Ali al-Fulani. Jest sekretarzem ambasady Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Dlaczego pan pyta?

– Tak sobie. – Oliver znów popatrzył w kierunku stolika arabskich dyplomatów. Mężczyzna nadal siedział z utkwionym w niego wzrokiem.

Oliver spędził ten wieczór krążąc po sali, starając się, aby jego goście czuli się dobrze. Sylva siedziała przy jednym stoliku, Leslie przy innym. Dopiero kiedy wieczór miał się ku końcowi, Oliverowi udało się na chwilę zostać z Leslie sam na sam.

– Musimy porozmawiać. Mam ci tak wiele do powiedzenia. Czy moglibyśmy się gdzieś spotkać?

W jej głosie wyczuł ledwo dostrzegalne wahanie.

– Oliverze, może byłoby lepiej, gdybyśmy nie...

– Mam domek w Manassas, w Wirginii, godzinę drogi od Waszyngtonu. Możesz się ze mną tam spotkać?

– Jeśli chcesz.

Oliver podał adres domku.

– Jutro o ósmej wieczorem?

– Przyjadę – powiedziała ochrypłym głosem.

Następnego dnia rano dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej James Frisch przyniósł rewelacyjną wiadomość na zebranie Państwowej Rady Bezpieczeństwa.

– Dotarła do nas, panie prezydencie, dziś rano wiadomość, że Libia kupuje broń atomową od Iranu i Chin. Krążą pogłoski, jakoby mieli użyć tej broni podczas ataku na Izrael. Upłynie kilka dni, zanim ta wiadomość zostanie potwierdzona.

Lou Werner, sekretarz stanu, powiedział:

– Chyba nie powinniśmy czekać. Zaprotestujmy już teraz, najostreż, jak tylko można.

– Sprawdź, jakie dodatkowe informacje możesz uzyskać – powiedział Oliver do Wenera.

Zebranie trwało cały ranek. Od czasu do czasu Oliver łapał się na tym, że myśli o spotkaniu z Leslie. „Oczaruj ją, mój chłopcze... Musisz odnieść nad nią zwycięstwo”.

W sobotę wieczorem Oliver jechał jednym z samochodów należących do Białego Domu, prowadzonym przez zaufanego agenta Secret Service. Kierowali się w stronę Manassas w stanie Wirginia. Kusilo go bardzo, żeby odwołać to rendez-vous, ale było na to za późno. „Nie ma powodu do niepokoju. Ona się prawdopodobnie nie pokaże”.

O ósmej wieczorem Oliver wyjrzał przez okno i zobaczył samochód wjeżdżający wolno na podjazd przed domem senatora. Patrzył, jak Leslie wysiada z wozu i rusza ku wejściu. Otworzył drzwi frontowe. Oboje stali przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w siebie. Czas przestał istnieć. Czuli się tak, jak gdyby się nigdy nie rozstawali.

Oliver pierwszy odzyskał głos.

– Mój Boże! Wczoraj w nocy, kiedy cię zobaczyłem... niemal zapomniałem, jaka jesteś piękna. – Wziął Leslie za rękę i weszli do salonu. – Czego masz ochotę się napić?

– Niczego. Dziękuję.

Oliver usiadł obok niej na kanapie.

– Muszę cię o coś zapytać, Leslie. Czy ty mnie nienawidzisz?

Wolno pokręciła głową.

– Nie. Myślałam, że cię nienawidzę – uśmiechnęła się z wysiłkiem. – W pewnym sensie temu zawdzięczam swój sukces.

– Nie rozumiem.

– Chciałam się zemścić, Oliverze. Kupowałam gazety i stacje telewizyjne, żeby móc cię atakować. Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochałam. I kiedy... kiedy mnie opuściłeś, ja... nie mogłam tego znieść. – Starła się powstrzymać napływające do oczu łzy.

Oliver objął ją ramieniem.

– Leslie...

I nagle jego wargi odnalazły jej usta i zaczęli się namiętnie całować.

– O mój Boże – powiedziała – nie spodziewałam się, że to się stanie.

Przez chwilę siedzieli czule objęci; potem Oliver nagle wstał, wziął Leslie za rękę i zaprowadził do sypialni. Zaczęli się nawzajem rozbierać.

– Pospiesz się, kochanie – szeptała Leslie. – Szybciej.

I już byli w łóżku, tulili się do siebie, ich ciała się stykały, powróciły wspomnienia. Kochali się zarazem delikatnie i gwałtownie, tak jak na początku miłości. Ale to był nowy początek. Leżeli obok siebie szczęśliwi, wyczerpani.

– Jakie to zabawne – powiedziała Leslie.

– Co?

– Wszystkie te straszne rzeczy, które o tobie wypisywałam. Robiłam to, żeby przyciągnąć twoją uwagę. – Przytuliła się mocniej. – I przyciągnęłam, prawda?

Uśmiechnął się.

– Chyba tak.

Leslie usiadła i popatrzyła na niego.

– Taka jestem z ciebie dumna, Oliverze, prezydencie Stanów Zjednoczonych.

– Staram się być cholernie dobrym prezydentem. Tylko to jest dla mnie naprawdę ważne. Chcę dokonać zmian. – Oliver popatrzył na zegarek. – Niestety, muszę wracać.

– Oczywiście. Wyjdź pierwszy.

– Kiedy cię znów zobaczę, Leslie?

– Kiedy tylko zechcesz.

– Będziemy musieli być ostrożni.

– Wiem. Będziemy.

Leslie leżała sennie, obserwując, jak Oliver się ubiera.

Kiedy był już gotów do wyjścia, pochylił się nad nią i powiedział:

– Jesteś moim cudem.

– A ty moim. Zawsze byłeś.

Pocałował ją.

– Zadzwoń jutro.

Szybko pobiegł do samochodu i szofer odwiózł go do Waszyngtonu. „Im bardziej różne rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same – pomyślał Oliver. – Muszę uważać, żeby jej już nigdy znowu nie zranić”. Podniósł słuchawkę telefonu i nakręcił numer na Florydzie, który dał mu senator Davis.

Senator sam odebrał telefon.

– Halo.

– Tu Oliver.

– Gdzie jesteś?

– W drodze powrotnej do Waszyngtonu. Dzwonię, żeby ci zakomunikować kilka dobrych wiadomości. Nie musimy się martwić dłużej tym problemem. Wszystko jest pod kontrolą.

– Nie potrafię ci powiedzieć, jaki jestem rad, że to słyszę. – W głosie senatora Davisa wyczuwało się ogromną ulgę.

– Wiedziałem, że się ucieszysz.

Następnego ranka Oliver ubierając się wziął do ręki egzemplarz „Washington Tribune”. Na pierwszej stronie widniała fotografia letniego domku senatora Davisa w Manassas. Podpis pod nią brzmiał: SEKRETNE GNIAZDKO MIŁOSNE PREZYDENTA RUSSELLA.

Rozdział czternasty

Oliver z niedowierzaniem wpatrywał się w gazetę. Jak ona mogła zrobić coś takiego? Pomyślał o tym, jaka namiętna była w łóżku. A on to sobie całkiem błędnie zinterpretował. Powodem jej podniecenia była nienawiść, nie miłość. „Nie ma mowy, żebym mógł ją kiedykolwiek powstrzymać” – myślał z rozpaczą.

Senator Todd Davis patrzył na artykuł na pierwszej stronie osłupiały. Znał potęgę prasy i wiedział, ile ta wendeta może go kosztować.

„Będę musiał sam ją powstrzymać” – zdecydował.

Po przyjściu do swojego biura w senacie, zatelefonował do Leslie.

– Wiele czasu upłynęło – powiedział ciepło. – Zbyt wiele. Często o pani myślę, panno Stewart.

– Ja także o panu myślę, senatorze Davis. W pewnym sensie wszystko, co mam, zawdzięczam panu.

Zachichotał.

– Ależ skąd. Byłem szczęśliwy, że mogłem pani pomóc, kiedy była pani w kłopotcie.

– Czy jest coś, co mogłabym dla pana zrobić, senatorze?

– Nie, panno Stewart. Ale jest coś, co ja mógłbym zrobić dla pani. Wie pani, że jestem jednym z pani wiernych czytelników i uważam, że „Tribune” to naprawdę świetna gazeta. Właśnie zdałem sobie sprawę, że nie zamieszczamy w niej żadnych swoich reklam, i chcę to naprawić. Mam powiązania z kilkoma dużymi spółkami, które reklamują mnóstwo rzeczy. Naprawdę mnóstwo. Myślę, że duża część tych reklam powinna się ukazywać w tak wspaniałej gazecie jak „Tribune”.

– Cieszę się, że to słyszę, senatorze. Zawsze możemy zamieszczać więcej takich ogłoszeń. Z kim ma porozmawiać mój kierownik reklamy?

– No cóż, zanim z kimś porozmawia, myślę, że musimy załatwić niewielki problem między nami.

– Cóż to takiego? – zapytała Leslie.

– To dotyczy prezydenta Russella.

– Słucham?

– To dosyć delikatna sprawa, panno Stewart. Powiedziała pani przed chwilą, że wszystko, co pani posiada, zawdzięcza pani mnie. Teraz ja proszę, żeby pani zrobiła coś dla mnie.

– Będę szczęśliwa, jeśli potrafię.

– W miarę moich skromnych możliwości pomogłem prezydentowi w dostaniu się na ten urząd.

– Wiem.

– I on robi świetną robotę. Niestety jest to o tyle trudniejsze, że za każdym razem, kiedy stara się coś zmienić, atakuje go tak potężna gazeta jak „Tribune”.

– Czego pan ode mnie oczekuje, senatorze?

– Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby te ataki ustały.

– I w zamian mogę liczyć na to, że niektóre pańskie spółki będą zamieszczać u mnie reklamy?

– Na mnóstwo reklam, panno Stewart.

– Dziękuję panu, senatorze. Może zadzwoni pan do mnie, kiedy będzie pan miał jeszcze coś do zaofiarowania.

W słuchawce zapadła cisza.

W swoim gabinecie w redakcji „Washington Tribune” Matt Baker czytał artykuł o sekretnym miłosnym gniazdku prezydenta Russella.

– Kto, u diabła, to autoryzował? – warknął na swego asystenta.

– To przyszło z White Tower.

– Niech to szlag! To przecież nie ona redaguje tę gazetę, tylko ja. „Dlaczego, do cholery, ja to toleruję – zastanawiał się nie po raz pierwszy. – Trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, plus premie i udział w zyskach” – powtarzał sobie z kwaśną miną. Za każdym razem, kiedy chciał odejść, kusila go wyższą pensją i większą władzą. Poza tym, musiał to przyznać, możliwość pracy dla najpotężniejszej kobiety na świecie była fascynująca. Leslie miała jednak cechy, których on nigdy nie zrozumie.

Kiedy Leslie kupiła „Tribune”, powiedziała do Matta:

– Tu pisuje jakiś astrolog, chcę, żebyś go wynajął. Nazywa się Zoltaire.

– Jest związany umową z jakimś syndykatem.

– Nie obchodzi mnie to. Wynajmij go.

Później, jeszcze tego samego dnia, Matt Baker poinformował Leslie:

– Sprawdziłem tego Zoltaire’a. Wykupienie jego kontraktu byłoby zbyt kosztowne.

– Wykup.

W następnym tygodniu Zoltaire, który naprawdę nazywał się David Hayworth, zgłosił się do pracy w „Washington Tribune”. Po pięćdziesiątce, ciemny, egzaltowany.

Matt był zaintrygowany. Leslie nie wyglądała na kobietę interesującą się astrologią. O ile się orientował, Leslie i David Hayworth nigdy się ze sobą nie zetknęli.

Ale Matt o czymś nie wiedział: o tym, że Hayworth składał wizyty Leslie w domu, kiedy tylko musiała podjąć jakąś ważną decyzję.

Pierwszego dnia Matt kazał umieścić nazwisko Leslie w stopce redakcyjnej. „Leslie Chambers, wydawca”. Zerknęła na to i powiedziała:

– Zmień. Ma być „Leslie Stewart”.

„Ta pani robi wszystko, żeby ją uważano za kogoś ważnego” – pomyślał Matt.

Ale się mylił. Leslie zdecydowała się powrócić do swego panieńskiego nazwiska, ponieważ chciała, żeby Oliver Russell wiedział dokładnie, kto jest odpowiedzialny za to, co mu się stanie.

Następnego dnia po przejęciu gazety Leslie powiedziała:

– Kupmy magazyn na temat zdrowia.

Matt popatrzył na nią z zaciekawiony.

– Dlaczego?

– Ponieważ sprawy zdrowia stają się modne.

Okazało się, że miała rację. Magazyn odniósł natychmiastowy sukces.

– Zaczniemy się rozrastać – powiedziała do Bakera. – Zatrudnijmy kilka osób, które poszukiwałyby materiałów za morzami.

– Dobrze.

– Za dużo tu tłuszciochów wokoło. Pozbądźmy się reporterów, którzy nie pracują na pełnych obrotach.

– Leslie...

– Potrzebni mi są młodzi reporterzy, którzy nie dojadają.

Kiedy lista kandydatów została otwarta, Leslie nalegała, żeby mogła sama przeprowadzić wywiad. Słuchała kandydata, a potem zadawała jedno pytanie:

– Jakie ma pan wyniki w golfie?

Otrzymanie posady często zależało od tej odpowiedzi.

„Cóż to, u diabła, za pytanie? – zaciekawił się Matt Baker, kiedy po raz pierwszy je usłyszał. Cóż to ma za znaczenie, jakie kandydat ma wyniki w golfie?”

– Nie chcę tu mieć ludzi, którzy poświęcają się golfowi. Skoro pracują tutaj, mają się poświęcać „Washington Tribune”.

Życie prywatne Leslie Stewart było tematem nie kończących się dyskusji w „Tribune”. Sądząc ze wszystkiego ta piękna kobieta nie była związana z żadnym mężczyzną i nie miała właściwie osobistego życia. Należała do najlepszych pań domu w stolicy i ważne osoby ubiegały się, by otrzymać zaproszenie na jej przyjęcia. Ale ludzie zastanawiali się nad tym, co ona robi, kiedy wszyscy goście już wyjdą i zostanie sama. Krążyły pogłoski, że Leslie cierpi na bezsenność i spędza noce na opracowywaniu nowych projektów dla swego imperium.

Powtarzano sobie także inne pogłoski, bardziej pikantne, ale nie sposób było cokolwiek udowodnić.

Leslie angażowała się we wszystko; pisała artykuły wstępne, opowiadania, zajmowała się reklamą. Pewnego dnia zapytała kierownika działu reklamy:

– Dlaczego nie otrzymujemy żadnych reklam od Gleasona? – Był to wielki dom towarowy w Georgetown.

– Próbowałem, ale...

– Znam właściciela. Zadzwoń do niego.

Zadzwoiła i zapytała:

– Allan, nie dajesz w „Tribune” żadnych reklam. Dlaczego?

Roześmiał się i powiedział:

– Leslie, twoi czytelnicy to ludzie, którzy kradną w naszym sklepie.

Kiedy Leslie wybierała się na jakąś konferencję, czytała wszystko o każdej osobie, która miała w niej uczestniczyć. Znała wszystkie jej słabe i mocne strony i była twardym negocjatorem.

– Czasami bywasz zbyt twarda – ostrzegał ją Matt Baker. – Musisz być trochę łagodniejsza, Leslie.

– Nic z tego. Ja wierzę w taktykę „spalonej ziemi”, tzn. niszczenia wszystkiego przy odwróceniu.

W ciągu następnego roku „Washington Tribune Enterprises” stała się kolejno właścicielem gazety i rozgłośni radiowej w Australii, stacji telewizyjnej w Denver i gazety w Hammond, w stanie Indiana. Gdziekolwiek pojawiło się coś do kupienia, zatrudnieni u Leslie ludzie byli przerażeni tym, co może nadejść. Opinia o Leslie jako osobie bezwzględnej zataczała coraz szersze kręgi.

Leslie Stewart ogromnie zazdrościła Katherine Graham.

– Ona po prostu ma szczęście – mówiła – i reputację jędzy.

Matta Bakera kusilo, żeby zapytać Leslie, co sądzi o swojej własnej reputacji, ale postanowił tego nie robić.

Pewnego dnia, kiedy Leslie przyszła do swego biura, stwierdziła, że ktoś umieścił na jej biurku mały drewniany blok z dwiema mosiężnymi kulami.

Matt Baker był zdenerwowany.

– Przykro mi – powiedział. – Zabiorę...

– Nie. Zostaw to.

– Ale...

– Zostaw.

Matt Baker miał jakąś naradę w swym biurze, kiedy usłyszał głos Leslie w intercomie.

– Matt, przyjdź tutaj.

Bez „proszę”, bez „dzień dobry”. „Królowa Lodu ma swój zły dzień” – pomyślał Matt z ponurą miną.

– To tyle na razie – powiedział do uczestników narady.

Wyszedł ze swego pokoju i ruszył przez biuro, gdzie pracowały setki ludzi. Wjechał windą do White Tower i wszedł do urządnego z przepychem biura wydawcy; zebrało się już tam pół tuzina redaktorów.

Za ogromnym biurkiem siedziała Leslie Stewart. Podniosła wzrok słysząc, że Matt wchodzi.

– Zaczynamy.

Zwołała zebranie redakcji. Matt Baker przypomniał sobie, jak mówiła:

„Ty będziesz redagował tę gazetę. Ja się będę trzymała z daleka”. Powinien był przewidzieć. Nie miała prawa zwoływać takiego zebrania. To należało do niego. Z drugiej jednak strony to ona była właścicielką „Washington Tribune” i mogła, do diabła, robić wszystko, co jej się podoba.

Matt Baker powiedział:

– Chcę wam opowiedzieć historyjkę o miłosnym gniazdku prezydenta Russella w Wirginii.

– Nie ma o czym mówić – ucięła krótko Leslie. – Podniosła do góry egzemplarz konkurencyjnej gazety „The Washington Post”.

– Widzieliście to?

Matt widział.

– To jest po prostu...

– W dawnych czasach to się nazywało „bomba”. Gdzie byłeś ty i twoi reporterzy, gdy „Post” zbierał ten materiał?

Tytuł w „Washington Post” brzmiał: DRUGI LOBBYSTA MA BYC POSTAWIONY W STAN OSKARŻENIA ZA WRĘCZANIE NIELEGALNYCH PODARUNKÓW SEKRETARZOWI OBRONY.

– Dlaczego my nie otrzymaliśmy tej wiadomości?

– Ponieważ to nie jest jeszcze oficjalna wiadomość. Sprawdziłem to. To tylko...

– Nie lubię, jak mnie wyprzedzają.

Matt Baker westchnął i usiadł z powrotem na swym krześle. Zanosilo się na burzliwą sesję.

– Będziemy „numerem jeden” albo niczym – oświadczyła Leslie Stewart grupie zebranych. – A jeżeli będziemy niczym, nie będzie tu pracy dla nikogo, rozumiano?

Teraz zwróciła się do Arniego Cohna, kierownika zespołu opracowującego magazyn niedzielny.

– Gdy ludzie się budzą w sobotni rano, chcemy, żeby czytali nasz magazyn. Nie możemy pozwolić, żeby nasi czytelnicy z powrotem układali się do snu. To, co wydrukowaliśmy w ostatnią sobotę, było nudne.

Arnie pomyślał: „Gdybyś była mężczyzną, to bym ci...”

– Przepraszam – mruknął – postaram się, żeby następnym razem było lepiej.

Leslie odwróciła się do Jeffa Connorsa, redaktora sportowego. Connors był przystojnym mężczyzną po trzydziestce, wysokim, atletycznej budowy, o blond włosach i inteligentnych szarych oczach. Miał swobodny sposób bycia kogoś, kto wie, że jest dobry w tym, co robi. Matt obserwował, jak go atakują, a on zbija jej argumenty.

– Napisał pan, że Fielding ma być sprzedany Piratom.

– Powiedziano mi...

– Powiedziano panu nieprawdę! A „Tribune” się skompromitowała drukując coś, co się nigdy nie wydarzyło.

– Wiem to od jego menadżera – powiedział Jeff Connors wcale nie zaniepokojony. – Powiedział mi, że...

– Następnym razem niech pan sprawdza swoje wiadomości. Sprawdza, sprawdza i jeszcze raz sprawdza!

Leslie odwróciła się i wskazała na wiszący na ścianie oprawiony połówki artykuł z jakiejś gazety. Była to pierwsza strona „Chicago Tribune” z 3 listopada 1948 roku. Nagłówek na całą szerokość strony brzmiał: DEWEY ZWYCIĘŻA TRUMANA.

– Najgorsze, co może zrobić gazeta – powiedziała Leslie – to podać fałszywe fakty. Jesteśmy w biznesie, w którym zawsze trzeba być wiarygodnym. – Spojrzała na zegarek. – To tyle na razie. Oczekuję od was, żebyście pracowali o wiele lepiej. – Kiedy wstali, żeby wyjść, zwróciła się do Matta Bakera. – Chcę, żebyś został.

– Dobrze. – Opadł z powrotem na fotel i obserwował, jak inni wychodzą.

– Byłam dla nich zbyt ostra? – zapytała Leslie.

– Masz to, czego chciałaś. Wszyscy są w nastroju samobójczym.

– Jesteśmy tu nie po to, żeby się zaprzyjaźnić, ale po to, żeby wydawać gazetę. – Popatrzyła znów na oprawioną pierwszą stronę gazety wiszącą na ścianie. – Możesz sobie wyobrazić, co musiał czuć wydawca tej gazety, kiedy ta historia trafiła na ulice, a Truman został prezydentem? Nie chcę nigdy przeżyć czegoś takiego, Matt. Nigdy.

– Jeśli już mowa o pomyłkach – powiedział Matt – wiadomość na pierwszej stronie o prezydencie Russellu była bardziej odpowiednia dla taniego ilustrowanego czytadła. Dlaczego wciąż na niego napadasz? Daj mu szansę.

– Dałam mu szansę – powiedziała Leslie enigmatycznie. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. – Dostałam poufną informację, że Russell ma zamiar zawetować nowy projekt

ustawy komunikacyjnej. Oznacza to, że będziemy musieli zerwać umowę ze stacjami San Diego i Omaha.

– Nie możemy nic na to poradzić.

– Ależ tak, możemy. Chcę, żeby wyleciał ze stanowiska, Matt. Sprawimy, że kto inny obejmie rządy w Białym Domu, ktoś, kto wie, co robi.

Matt nie miał zamiaru wdawać się w jeszcze jedną sprzeczkę z Leslie Stewart na temat prezydenta. Była zaślepiona, kiedy dochodziło do rozmowy na ten temat.

– On się nie nadaje na to stanowisko i mam zamiar zrobić wszystko, co się da, żeby został pokonany w następnych wyborach.

Gdy Matt Baker zbierał się już do wyjścia, do jego gabinetu wpadł Philip Cole, szef korespondentów w WTE. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Mamy kłopot, Matt.

– Czy to nie może poczekać do jutra? Jestem spóźniony na...

– Chodzi o Danę Evans.

– Co z nią? – zapytał Matt ostro.

– Została aresztowana.

– Aresztowana? – powtórzył Matt z niedowierzaniem. – Za co?

– Za szpiegostwo. Chcesz, żebym...?

– Nie. Sam się tym zajmę.

Matt Baker pośpiesznie wrócił do swego biurka i nakręcił numer Departamentu Stanu.

Rozdział piętnasty

Wyciągnięto ją nagą z celi na zimne, ciemne podwórze. Wrywała się z całych sił dwóm mężczyznom, którzy ją trzymali, ale nadaremnie. Prowadzono ją do wbitego w ziemię drewnianego słupa. Pułkownik Gordan Divjak obserwował, jak jego ludzie przywiązują Danę.

– Nie możecie mi tego zrobić! Ja nie jestem szpiegiem! – krzyczała. Ale jej wołanie zagłuszał dobiegający skądś z bliska huk moździerzy.

Pułkownik Divjak odszedł o kilka kroków i skinął głową oddziałowi strzelców.

– Gotowi! Cel!

– Przestań tak wrzeszczeć!

Potrząsały nią czyjeś szorstkie ręce. Dana otworzyła oczy, serce waliło jej mocno. Leżała na prycy w swojej małej, ciemnej celi. Nad nią stał pułkownik Divjak.

Dana usiadła, w panice mrugając powiekami, próbując odegnać ten koszmar.

– Co... co macie zamiar ze mną zrobić?

– Gdyby istniała sprawiedliwość, zostałaby pani rozstrzelana – powiedział zimno pułkownik Divjak. – Niestety, otrzymałem rozkaz, żeby panią zwolnić.

Serce Dany zaczęło łomotać.

– Wsadzimy panią do pierwszego odlatującego stąd samolotu. – Pułkownik Divjak popatrzył jej w oczy i powiedział: – Niech pani tu nigdy nie wraca.

Musieli użyć wszelkich środków perswazji, które Departament Stanu i prezydent mogli zastosować, żeby uwolnić Danę. Kiedy Peter Tager usłyszał o tym aresztowaniu, postanowił się zobaczyć z prezydentem.

– Właśnie przed chwilą otrzymałem telefon z Departamentu Stanu. Dana Evans została aresztowana pod zarzutem szpiegostwa. Grozi jej kara śmierci.

– Jezu! To straszne. Nie możemy do tego dopuścić.

– Racja. Chciałbym prosić o pełnomocnictwa, żebym mógł działać w pańskim imieniu.

– Masz je. Zrób wszystko, co należy.

– Będę działał w porozumieniu z Departamentem Stanu. Jeśli nam się powiedzie, być może „Tribune” będzie dla pana łaskawsza.

Oliver potrząsnął głową.

– Nie liczyłbym na to. Wydostaliśmy ją tylko z tego piekła.

Po wielu ostrych telefonach, a także naciskach ze strony Białego Domu, sekretarza stanu i sekretarza generalnego Narodów Zjednoczonych prześladowcy Dany zgodzili się ją zwolnić.

Gdy przyszła wiadomość o jej uwolnieniu, Peter Tager pospieszył zawiadomić o tym Olivera.

– Jest wolna. Już wraca do domu.

– Wspaniale.

Myślał o Danie Evans tego ranka, udając się na jakieś zebranie. „Cieszę się, że mogliśmy ją ocalić”.

Nie miał pojęcia, że ta akcja będzie go kosztowała życie.

Kiedy samolot z Daną na pokładzie wylądował na międzynarodowym lotnisku w Dallas, Matt Baker i kilkudziesięciu dziennikarzy z prasy, telewizji i radia czekało, żeby ją powitać.

Dana patrzyła na ten tłum z niedowierzaniem.

– Co to...

– Tędy, Dano. Uśmiechaj się!

– Jak panią traktowano? Czy byli brutalni?

– Co się czuje, kiedy jest się z powrotem w domu?

– Zrobmy zdjęcie.

– Czy ma pani zamiar tam wrócić?

Mówili wszyscy naraz. Dana zatrzymała się oszołomiona.

Matt Baker wepchnął ją do czekającej limuzyny i szybko odjechali.

– Co... co się dzieje? – zapytała Dana.

– Jesteś sławna.

Potrząsnęła głową.

– Nie potrzebuję tego, Matt. – Zamknęła na chwilę oczy. – Dzięki za to, że mnie stamtąd wydostaliście.

– Możesz dziękować prezydentowi i Peterowi Tagerowi. To oni naciskali wszystkie guziki. Musisz podziękować także Leslie Stewart.

Kiedy Matt powiedział Leslie, co się stało, zawołała:

– A to sukinyńy! Nie mogą tego zrobić „Tribune”. Musisz dopilnować, żeby ją uwolnili. Pociągnij za wszystkie sznurki, gdzie możesz, i wydostań ją stamtąd.

Dana wyglądała przez okno limuzyny. Ludzie chodzili po ulicach, rozmawiali, śmiali się. Nie było słycać strzałów armat czy moździerzy. To było niesamowite.

– Nasz redaktor od nieruchomości znalazł dla ciebie mieszkanie. Zawiozę cię tam teraz. Chcę, żebyś miała trochę wolnego czasu... tyle, ile zechcesz. Kiedy będziesz gotowa, powrócisz do pracy. – Matt przyjrzał się Danie dokładniej. – Dobrze się czujesz? Jeśli chcesz pójść do lekarza, załatwię...

– Czuję się świetnie. Nasze biuro zaprowadziło mnie do lekarza w Paryżu.

Mieszkanie znajdowało się na Calvert Street. Było przyjemnie umeblowane, składało się z sypialni, saloniku, kuchni, łazienki i niewielkiego pokoju do pracy.

– Wystarczy? – zapytał Matt.

– Wspaniale. Dziękuję, Matt.

– Zaopatrzyłem cię też w lodówkę. Jutro, jak nieco odpoczniesz, pewnie będziesz chciała kupić sobie trochę rzeczy. Obciążaj wszystkim gazetę.

– Dzięki, Matt. Dziękuję za wszystko.

– Później zdasz sprawę ze swej działalności. Ustalę, kiedy.

Stała na moście, słuchając strzałów i patrząc na rozdęte ciała unoszące się pod nią na wodzie. Nagle obudziła się ze szlochem. Ten sen był taki realny. To jej się tylko śniło, ale przecież widziała takie sceny. W tej chwili niewinne ofiary – mężczyźni, kobiety i dzieci – były bezsensownie, brutalnie mordowane. Przypomniały jej się słowa profesora Staki: „Ta wojna w Bośni i Hercegowinie jest ponad zdolność ludzkiego pojmowania”. Dla niej niepojęte było, że reszty świata zdawało się to zupełnie nie obchodzić. Bała się z powrotem zasnąć, przerażały ją koszmary, które wypełniały jej umysł. Wstała, podeszła do okna i popatrzyła na miasto. Było spokojnie – nie słychać strzałów, nie widać ludzi biegających z krzykiem po ulicach. Wydało jej się to nienormalne. Zastanawiała się, jak się miewa Kemal i czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy. „Prawdopodobnie już mnie do tej pory zapomniał”.

Dana spędziła część poranka kupując sobie odzież. Dokądkolwiek poszła, ludzie zatrzymywali się, żeby jej się przyjrzeć. Słyszała, jak szepczą: „To Dana Evans”. Ekspedientki w sklepach rozpoznawały ją. Czowała się z tym bardzo nieswojo.

Nie jadła śniadania ani lunchu. Była głodna, ale nie mogła nic przełknąć. Czowała się zbyt spięta. Tak jak gdyby się spodziewała, że spotka ją coś złego. Idąc ulicą, unikała spojrzeń obcych ludzi. Każdy wydawał się jej podejrzany. Bez przerwy się wsłuchiwała, czy nie dotrze do niej odgłos strzałów. „To nie może dłużej trwać”.

W południe zjawiła się w gabinecie Matta Bakera.

– Co ty tu robisz? Miałaś być na urlopie.

– Muszę wrócić do pracy, Matt.

Popatrzył na nią i pomyślał o tej młodej dziewczynie, która zgłosiła się do niego przed kilku laty. „Przyszłam tutaj w sprawie pracy. Oczywiście, ja już pracuję. To jest raczej

transfer, prawda?... Mogę zacząć od razu...” I nie tylko spełniła swoją obietnicę. Zrobiła dużo więcej. „Gdybym miał kiedyś córkę...”

– Szefowa chce cię zobaczyć – powiedział Matt.

Ruszyli do gabinetu Leslie Stewart.

Dwie kobiety stały naprzeciw siebie taksując się nawzajem.

– Witaj z powrotem, Dano.

– Dziękuję.

– Siadajcie.

Dana i Matt zajęli krzesła stojące naprzeciw biurka Leslie.

– Chcę pani podziękować za wydostanie mnie stamtąd – powiedziała Dana.

– To musiało być piekło. Przykro mi. – Leslie zwróciła się do Matta. – Co my z nią teraz zrobimy, Matt?

Matt popatrzył na Danę.

– Mamy zamiar mianować kogoś naszym korespondentem w Białym Domu. Podobałaby ci się ta praca?

Było to jedno z najbardziej prestiżowych stanowisk telewizyjnych w tym kraju. Twarz Dany rozjaśnił uśmiech.

– Tak. Bardzo.

Leslie skinęła głową.

– To już ją masz.

Dana wstała.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Powodzenia.

Dana i Matt opuścili gabinet.

– Musisz się tutaj zadomowić – powiedział Matt.

Poprowadził ją do budynku telewizji, gdzie cały personel czekał, żeby ją powitać. Piętnaście minut zajęło Danie przedostanie się przez tłum życzliwych ludzi.

– Poznaj swego nowego korespondenta w Białym Domu – przedstawił Matt Danę Philipowi Cole’owi.

– Wspaniale. Zaprowadzę cię do twojego gabinetu.

– Jadłaś już lunch? – zapytał Matt.

– Nie, ja...

– No to chodźmy coś przekąsić.

Jadalnia kierownictwa mieściła się na piątym piętrze. Był to pokój z dobrą wentylacją i dwoma tuzinami stolików. Matt poprowadził Danę do stolika w kącie. Usiedli.

– Panna Stewart wydaje się bardzo miła – powiedziała Dana.

Matt zaczął coś mówić, ale przerwał i powiedział tylko:

– Owszem. Zamówmy coś.

– Nie jestem głodna.

– Jadłaś lunch?

– Nie.

– A śniadanie?

– Nie.

– Dana... kiedy jadłaś ostatni raz?

Potrząsnęła głową.

– Nie pamiętam. To nieważne.

– Mylisz się. Nie mogę pozwolić, żeby nasz nowy korespondent w Białym Domu zagłodził się na śmierć.

Do stolika podszedł kelner.

– Jest pan gotów coś zamówić, panie Baker?

– Tak. – Matt uważnie studiował menu. – Zaczniemy od czegoś lekkiego. Dla panny Evans bekon, sałata i kanapka z pomidorem. – Spojrzał na Danę. – Babeczka czy lody?

– Nic...

– Babeczka. A dla mnie kanapka z rostbefem.

– Tak, proszę pana.

Dana rozejrzała się dookoła.

– Wszystko wydaje się takie nierealne; to życie, które toczy się tutaj, Matt. To straszne. Nikogo tutaj nic nie obchodzi.

– Nie mów tak. Oczywiście, że nas obchodzi. Ale nie możemy biegać po całym świecie i nad wszystkim panować. Robimy, co możemy.

– To nie wystarczy – powiedziała Dana z naciskiem.

– Dana...

Przerwał. Ona była teraz daleko, wsłuchiwała się w odległe dźwięki, których on nie mógł słyszeć, widziała przerażające sceny, których on nie mógł zobaczyć. Siedzieli w milczeniu do chwili, gdy kelner przyniósł zamówienie.

– Bardzo proszę.

– Matt, ja naprawdę nie jestem głod...

– Masz to zjeść – rozkazał Matt.

Do ich stolika podszedł Jeff Connors.

– Cześć, Matt.

– Cześć.

Jeff Connors spojrział na Danę.

– Dzień dobry.

– Dana, to jest Jeff Connors. Zajmuje się w „Tribune” sportem.

Dana skinęła głową.

– Jestem wielkim pani fanem, panno Evans. Cieszę się, że się pani stamtąd bezpiecznie wydostała.

Dana znów skinęła głową.

– Może przyłączysz się do nas, Jeff?

– Z przyjemnością. – Przysunął sobie krzesło i usiadł obok Dany. – Staralem się nigdy nie przeoczyć żadnego z pani programów. Uważam, że były znakomite.

– Dziękuję – mruknęła Dana.

– Jeff jest jednym z naszych wspaniałych sportowców. Należy do Baseball Hall of Fame. Jeszcze jedno nieznaczne skinienie.

– Gdyby pani przypadkiem dysponowała w piątek wolnym czasem – powiedział Jeff – w Baltimore Oriolsi grają z Jankesami. To jest...

Dana po raz pierwszy się odwróciła, aby na niego spojrzeć.

– To musi być naprawdę pasjonujące; gra polegająca na tym, że jeden zawodnik rzuca piłkę i biega dookoła boiska, podczas gdy druga strona usiłuje go zatrzymać.

Jeff Connors popatrzył na nią agresywnie.

– No cóż...

Dana zerwała się na nogi. Głos jej drżał.

– Widziałam ludzi biegających w kółko... ale oni biegali, żeby ocalić życie, bo ktoś do nich strzelał i chciał ich zabić. – Była bliska hysterii. – To nie była gra i to... to nie chodziło o jakiś idiotyczny baseball.

Ludzie odwracali się od stolików, żeby się jej przyjrzeć.

– Niech pan idzie do diabła! – zawołała z płaczem i wybiegła z pokoju.

Jeff odwrócił się do Matta.

– Strasznie przepraszam. Naprawdę nie chciałem...

– To nie twoja wina. Ona jeszcze nie wróciła do domu. I Bóg świadkiem, że ma prawo mieć nerwy w fatalnym stanie.

Dana pobiegła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Podeszła do biurka i usiadła starając się opanować histerię. „O Boże. Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Wyrzucą mnie, i zasługuję na to. Dlaczego tak napadłam na tego człowieka? Jak mogłam zrobić coś tak strasznego? Ja nie pasuję tutaj. Ja już nigdzie nie pasuję”. Siedziała tak z głową opartą o biurko, szlochając.

Pięć minut później drzwi się otworzyły i ktoś wszedł. Dana podniosła wzrok. Był to Jeff Connors. Przyniósł tacę z bekonem, sałatą, kanapką z pomidorem i babeczką.

– Zapomniała pani zabrać swój lunch – powiedział łagodnie.

Dana otarła łzy, upokorzona.

– Ja... ja chcę pana przeprosić. Tak mi przykro. Nie miałam prawa...

– Miała pani pełne prawo – powiedział spokojnie. – Zresztą, kto potrzebuje oglądać jakiś głupi mecz baseballowy? – Postawił tacę na biurku. – Mogę z panią posiedzieć przy tym lunchu? – zapytał. I usiadł.

– Nie jestem głodna. Dziękuję.

Westchnął.

– Stawia mnie pani w bardzo trudnej sytuacji, panno Evans. Matt mówi, że musi pani jeść. Nie ma pani ochoty mnie wyrzucić, prawda?

Danie udało się uśmiechnąć.

– Nie.

Wzięła do ręki połowę kanapki i odgryzła mały kęs.

– Więcej.

Zjadła jeszcze jeden mały kawałek.

– Więcej.

Spojrzała na niego.

– Czy pan naprawdę ma zamiar zmusić mnie, żebym to zjadła?

– Słowo daję, że tak. – Obserwował, jak odgryza większy kawałek kanapki. – Teraz lepiej. A tak na marginesie, jeśli nie ma pani nic do roboty w piątek wieczorem, to – nie wiem, czy o tym wspominałem – w Baltimore jest mecz, grają Oriolci z Jankesami. Miałaby pani ochotę pójść?

Spojrzała na niego i skinęła głową.

– Tak.

Tego dnia, o trzeciej po południu, kiedy Dana weszła w bramę Białego Domu, strażnik powiedział:

– Pan Tager chciałby się z panią widzieć, panno Evans. Powiem komuś, żeby wskazał pani drogę do jego gabinetu.

Pięć minut później jeden z urzędników prowadził Danę długim korytarzem do gabinetu Petera Tagera. Tager czekał na nią.

– Dzień dobry...

– Nie spodziewałem się zobaczyć pani tak szybko, panno Evans. Czy nie dali pani wcale urlopu?

– Nie chciałam go wziąć – odpowiedziała Dana. – Bo... ja muszę pracować.

– Proszę spocząć.

Usiadła naprzeciw niego.

– Mogę panią czymś poczęstować?

– Nie, dziękuję. Właśnie zjadłam lunch. – Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie Jeffa Connorsa. – Panie Tager, pragnę ogromnie podziękować panu i prezydentowi

Russellowi za ocalenie. – Zawahała się. – Wiem, że „Tribune” nie jest zbyt uprzejma dla prezydenta i...

Tager uniósł rękę.

– To było coś ponad polityką. Prezydent nie mógł pozwolić, żeby im się to udało. Zna pani historię Heleny Trojańskiej?

– Tak.

Uśmiechnął się do niej.

– No cóż, mogliśmy rozpocząć wojnę o panią. Jest pani bardzo ważną osobą.

– Nie czuję się bardzo ważna.

– Chcę, żeby pani wiedziała, jak się cieszymy, prezydent i ja, że będzie pani robiła relacje z Białego Domu.

– Dziękuję.

Umilkł na chwilę.

– Szkoda, że „Tribune” nie darzy sympatią prezydenta Russella, i nic pani nie może na to poradzić. Ale mimo to, w bardzo osobistych sprawach, jeśli jest coś, w czym prezydent lub ja moglibyśmy pomóc... obaj darzymy panią ogromnym szacunkiem.

– Dziękuję. Jestem za to wdzięczna.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Oliver. Dana i Peter Tager wstali.

– Usiądźcie – powiedział Oliver. Podszedł do Dany. – Witam panią w domu.

– Dziękuję, panie prezydencie – odpowiedziała. – Naprawdę... dziękuję.

Oliver się uśmiechnął.

– Jeśli nie można ocalić komuś życia, cóż za sens być prezydentem. Pragnę być z panią szczerą, panno Evans. Żaden z nas tutaj nie jest fanem pani gazety. Ale wszyscy jesteśmy pani fanami.

– Dziękuję.

– Peter zorganizuje pani wycieczkę po Białym Domu. Jeśli będzie pani miała jakieś kłopoty, jesteśmy tutaj po to, żeby pani pomagać.

– Jest pan bardzo uprzejmy.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym, żeby pani się spotkała z panem Wernerem, sekretarzem stanu. To ważne, żeby otrzymał sprawozdanie o sytuacji w Hercegowinie z pierwszej ręki.

– Będę szczęśliwa, mogąc to zrobić – powiedziała Dana.

Dwunastu mężczyzn siedziało w prywatnym pokoju konferencyjnym sekretarza stanu, słuchając Dany opowiadającej swoje przeżycia.

– Większość budynków w Sarajewie została uszkodzona albo zniszczona... Nie mają elektryczności, a ludzie, którzy jeszcze mają samochody, wyjmują z nich akumulatory, żeby móc korzystać z telewizorów...

Ulice miasta zatarasowane są wrakami zbombardowanych aut, furmankami i rowerami. Podstawowym środkiem transportu są własne nogi...

Podczas burzy ludzie łapią do wiader wodę spod ulicznych rynien...

Nie ma tam zupełnie szacunku dla Czerwonego Krzyża ani dziennikarzy. Ponad czterdziestu korespondentów komentujących wojnę w Bośni zostało zabitych, wielu odniosło rany... Niezależnie od tego, czy obecna rewolta przeciwko Milošewiciowi zakończy się sukcesem, czy też nie, uważa się, że z powodu tego powstania jego rząd został poważnie osłabiony.

Spotkanie trwało prawie dwie godziny. Dla Dana było jednocześnie bolesne i jakieś oczyszczające, bo opisując wszystko, co się tam działo, przeżywała te straszne sceny po raz drugi, a przyniosło jej ulgę to, że może o tym mówić. Kiedy skończyła, czuła się zupełnie wyczerpana.

Sekretarz stanu powiedział:

– Chcę pani podziękować, panno Evans. To było bardzo pouczające. – Uśmiechnął się do niej. – Cieszę się, że pani wróciła cała i zdrowa.

– Ja także, panie sekretarzu.

W piątkowy wieczór Dana siedziała obok Jeffa Connorsa w łoży prasowej w Camden Yards, obserwując mecz baseballu. I po raz pierwszy od chwili, gdy wróciła, myślała o czym innym niż wojna. Obserwując zawodników na boisku, słuchała komentatora:

– ...to już szósta rozgrywka i tym razem rzuca Nelson. Alomar uderza piłkę, która leci wzdłuż lewej linii i w końcu wychodzi na aut. Teraz kolej na Palmeiro. Wynik dwa do jednego. Nelson rzuca mocno w sam środek, ale Palmeiro trafia. Co za uderzenie! Piłka chyba polecie w trybuny. Tak jest! Palmeiro spokojnie obiega bazy, dzięki czemu Orioles prowadzą...

Po meczu, po powrocie do Waszyngtonu, jedli kolację w bistro Twenty Fifteen.

– Chcę cię jeszcze raz przeprosić za moje zachowanie wtedy – powiedziała Dana. – To po prostu dlatego, że żyłam w świecie, gdzie... – przerwała, niepewna, jak to wyrazić – ...gdzie wszystko jest sprawą życia i śmierci. Wszystko. To straszne. Bo dopóki ktoś nie przerwie tej wojny, ci ludzie nie mają żadnej nadziei.

Jeff powiedział łagodnie:

– Dana, nie możesz pozwolić, żeby twoje życie stanęło w miejscu z powodu tego, co się tam dzieje. Musisz znów zacząć normalnie żyć. Tutaj.

– Wiem. Tylko że to nie jest łatwe.

– Oczywiście, że nie. Chciałbym ci pomóc. Pozwolisz?

Dana długo na niego patrzyła.

– Proszę.

Następnego dnia umówiła się z Jeffem Connorem na lunch.

– Możesz po mnie podjechać? – zapytał. Podał jej adres.

– Dobrze.

Dana zastanawiała się, co Jeff robi w tej bardzo niespokojnej części miasta. Gdy tam przyjechała, znalazła odpowiedź.

Jeffa otaczały dwie drużyny baseballistów w wieku od dziewięciu do trzynastu lat, ubranych w najrozmaitsze wariacje strojów sportowych.

Dana zatrzymała samochód przy krawężniku i obserwowała, co się dzieje.

– Pamiętajcie – mówił Jeff – bez pośpiechu. Kiedy miotacz rzuci piłeczkę, wyobraźcie sobie, że leci bardzo powoli, że macie mnóstwo czasu, żeby ją trafić. Uderzenie kijem musi być jak cmoknięcie. Wasz mózg musi sterować rękami, żeby... – Jeff podniósł wzrok i zobaczył Danę. Pomachał do niej ręką. – Dobra, chłopaki. To tyle na razie.

Jeden z chłopców zapytał:

– Czy to jest twoja dziewczyna, Jeff?

– Będzie. Jak mi szczęście dopisze. – Jeff uśmiechnął się do chłopców. – Do zobaczenia.

Podszedł do samochodu Dany.

– To dobre chłopaki. Mam z nimi treningi raz w tygodniu.

Dana się uśmiechnęła.

– Podoba mi się to.

I pomyślała o tym, jak się czuje Kemal i co robi.

Mijały dni i Dana uświadomiła sobie, że zaczyna coraz bardziej lubić Jeffa. Był wrażliwy, inteligentny i zabawny. W jego obecności dobrze się czuła. Powoli straszne wspomnienia z Sarajewa zaczynały blaknąć. I nadszedł taki ranek, kiedy się obudziła i stwierdziła, że w nocy nie dręczyły jej już koszmarne sny.

Powiedziała o tym Jeffowi, a on wziął ją za rękę i rzekł:

– Moja dziewczyna.

A Dana zaczęła się zastanawiać, czy powinna się w tym doszukiwać jakiegoś głębszego znaczenia.

W biurze czekał na Danę ręcznie napisany list:

panno evans, niech się pani o mnie nie martwi. Jezdem szczęśliwy, niejezdem sam, za nikim nie tęsknię, odeśle pani te rzeczy co mi pani kupiła bo nie są mi potrzebne, mam swoje własne ubrania, do widzenia

I podpis: *kemal.*

Na kopercie była pieczętka poczty paryskiej i nagłówek: „Dom dla chłopców im. Xaviera”. Dana przeczytała list dwukrotnie, po czym podniosła słuchawkę telefonu. Dodzwonienie się do Kemala zajęło jej cztery godziny.

Wreszcie usłyszała jego głos, niepewne „halo”.

– Kemal, mówi Dana Evans.

Milczenie.

– Dostałam twój list.

Cisza.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że się cieszę, że jesteś taki szczęśliwy i że tak przyjemnie spędzasz czas. – Poczekala chwilę, po czym mówiła dalej. – Bardzo bym chciała być taka szczęśliwa jak ty. Wiesz, dlaczego nie jestem? Bo tęsknię za tobą. Bardzo często o tobie myślę.

– Nie myśli pani – powiedział Kemal. – Nie obchodzę pani.

– Mylisz się. Czy chciałbyś przyjechać do Waszyngtonu i zamieszkać ze mną?

Zapadła długa cisza.

– Czy pani... Naprawdę?

– Słowo daję. Chciałbyś?

– Ja... – Zaczął płakać.

– Chciałbyś, Kemal?

– Tak... tak, psze pani.

– Załatwię to.

– Panno Evans?

– Słucham.

– Kocham panią.

Dana i Jeff Connors spacerowali po parku w West Potomac.

– Myślę, że będę miała współlokatora – powiedziała Dana. – Powinien tu przyjechać za parę tygodni.

Jeff popatrzył na nią zdziwiony.

– On?

Danę ucieszyła jego reakcja.

– Tak. Na imię mu Kemal. Ma dwanaście lat.

Opowiedziała Jeffowi historię chłopca.

– To musi być wspaniały chłopak.

– Jest wspaniały. Jeff, on przeszedł piekło. Chcę mu pomóc o tym zapomnieć.

Jeff popatrzył na Danę i powiedział:

– Ja także.

Tej nocy kochali się po raz pierwszy.

Rozdział szesnasty

Są dwa Waszyngtony D.C. Jeden to miasto niezwykle piękne: imponująca architektura, światowej klasy muzea, posągi, pomniki wzniesione ku czci tytanów przeszłości: Lincolna, Jeffersona, Waszyngtona... miasto tonące w zieleni parków, czerwieni kwiatów, miasto o aksamitnym powietrzu.

Ten drugi Waszyngton D.C. jest twierdzą bezdomnych, miastem o najwyższym wskaźniku popełnianych zbrodni, labiryntem ludzi marginesu i morderców.

Monroe Arms to elegancki hotelowy butik, dyskretnie ukryty niedaleko zbiegu ulic Dwudziestej Siódmej i K. Nie musi się reklamować; zaopatruje się tu we wszystko głównie stała klientela. Hotel został zbudowany wiele lat temu przez energicznego młodego przedsiębiorcę Lare Camerona. Dyrektor Jeremy Robinson właśnie przyszedł na wieczorną zmianę i z zakłopotanym wyrazem twarzy studiował listę gości. Jeszcze raz sprawdził nazwiska osób zajmujących ekskluzywne apartamenty z tarasami, żeby się upewnić, czy nie popełniono jakiejś pomyłki.

W apartamencie 325 aktorka o przekwitlej urodzie powtarzała rolę przed sztuką otwierającą sezon w National Theater. W „The Washington Post” pisano o niej, że ma nadzieję powrócić na scenę.

Numer 425, nad nią, zajmował dobrze znany handlarz bronią, który regularnie przyjeżdżał do Waszyngtonu. Do rejestru gości wpisał nazwisko J. L. Smith, ale sądząc z wyglądu pochodził ze Środkowego Wschodu. Pan Smith dawał nadzwyczaj hojne napiwki.

W apartamencie 525 był zameldowany William Quint, członek Kongresu, który stał na czele komisji do spraw narkotyków.

Piętro wyżej apartament 625 zajmował sprzedawca programów komputerowych, który przyjeżdżał do Waszyngtonu raz w miesiącu.

W pokoju 725 zameldował się Pat Murphy, międzynarodowy lobbysta.

„Jak dotąd, wszystko w porządku” – pomyślał Jeremy Robinson. Wszyscy goście byli mu znani. Tylko apartament 825, Apartament Królewski na ostatnim piętrze, stanowił zagadkę. Był to najelegantszy apartament w hotelu, zawsze trzymany w rezerwie dla bardzo ważnych

gości. Zajmował całe piętro i był wspaniale ozdobiony cennymi obrazami i umeblowany antykami. Miał swoją własną prywatną windę, którą zjeżdżało się wprost do znajdującego się w podziemiach garażu, tak że goście, którzy życzyli sobie pozostać anonimowi, mogli przyjeżdżać i wyjeżdżać niezauważeni.

Jeremy'ego Robinsona intrygowało nazwisko tego gościa w hotelowym rejestrze: Eugene Gant. Czy istotnie nosił to nazwisko, czy też był to ktoś, kto rozczytywał się w Thomasie Wolfie i wybrał je sobie jako pseudonim?

Carl Gorman, urzędnik z dziennej zmiany, który wpisywał na listę gości zagadkowego pana Ganta, przed kilkoma godzinami wyjechał na urlop i był nieosiągalny. Robinson nienawidził niejasnych sytuacji. Kim był Eugene Gant i dlaczego dano mu Apartament Królewski?

Na trzecim piętrze, pod numerem 325, madame Giselle Barret powtarzała swoją rolę w przygotowywanej sztuce. Była to dystygowana wyglądająca kobieta sporo po sześćdziesiątce, artystka, która kiedyś hipnotyzowała widzów i krytyków od londyńskiego West Endu po manhattański Broadway. Na jej twarzy pozostały jeszcze nikłe ślady dawnej urody, ale przyćmiło je zgorzknienie.

Przeczytała artykuł w „The Washington Post” o tym, że przyjechała do Waszyngtonu, żeby powrócić na scenę. „Powrócić? – pomyślała madame Barret z oburzeniem. – Jak oni śmia! Ja nigdy z niej nie schodziłam”.

To prawda, że minęło prawie dwadzieścia lat od chwili, kiedy po raz ostatni ukazała się na deskach teatru, ale stało się to jedynie dlatego, że wielkie artystki potrzebują wielkich ról, znakomitego reżysera i wyrozumiałego producenta. Dzisiejsi reżyserzy są zbyt młodzi, by potrafili zmierzyć się z majestatem prawdziwego Teatru, a wielcy angielscy producenci: H.M. Tenant, Binkie Beaumont, C.B. Cochran – już nie żyją. Nawet dość umiarkowanie kompetentni producenci amerykańscy: Helburn, Belasco i Golden, zniknęli jakoś z pola widzenia. Nie ma żadnych wątpliwości, że dzisiejszy teatr jest opanowany przez ignorantów, parweniuszy bez żadnego dorobku. Te minione dni były takie cudowne. Dawniej niektórzy dramaturdzy pisali tak, jakby zanurzali swe pióra w błyskawicy. Madame Barret wystąpiła kiedyś w roli Ellie Dun w „Domu złamanych serc” Shawa.

„Jakże krytycy się mną zachwycali! Biedny George. Nienawidził, kiedy się do niego zwracano «George». Wolał imię Bernard. Ludzie myśleli, że jest zgryźliwy i zgorzkniały. A w gruncie rzeczy był romantycznym Irlandczykiem. Zwykł mi przysyłać czerwone róże. Myślę, że był zbyt nieśmiały, żeby posunąć się dalej. Może się bał, że go odtrącę?”

Madame Barret miała właśnie powrócić na scenę w jednej z największych ról, jakie kiedykolwiek napisano – w roli lady Makbet. Najtrafniejszy wybór!

Postawiła krzesło przed pustą ścianą, tak żeby nie rozpraszał jej widok z zewnątrz. Usiadła, wzięła głęboki oddech i zaczęła deklamować, wczuwając się w postać, którą stworzył Szekspir:

*Przybądźcie, o wy, duchy, karmiciele
Zabójczych myśli, z płci mej mnie wyzujcie
I napełnijcie mnie od stóp do głowy
Nieubłaganym okrucieństwem! Zgęście
Krew w moich żyłach; zatamujcie wszelki
W mym łonie przystęp wyrzutom sumienia,
By żaden poszept natury nie zdołał
Wielkiego mego przedsięwzięcia zachwiać
Ni stanąć w poprzek między mną a skutkiem!**

– ...Na litość boską, jak oni mogą być tak niemądrzy! Po tylu latach, kiedy zatrzymywałam się w tym hotelu, myślał pan, że...

Donośny głos dochodził przez otwarte okno z apartamentu piętro wyżej.

W apartamencie 425 handlarz bronią J.L. Smith głośno wymyślał kelnerowi z obsługi.

– Niech sobie zapamiętają, że ja zamawiam tylko kawior z białugi. Z białugi! – wskazał talerzyk kawioru na przywiezionym przez kelnera stoliku. – Ten jest odpowiedni dla wieśniaków!

– Przepraszam, panie Smith. Zejdę do kuchni i...

– Niestety. – J. L. Smith zerknął na swój wysadzany brylantami rolex. – Nie mam czasu. Czeka mnie ważne spotkanie. – Wstał i ruszył do drzwi. Umówił się w biurze swego adwokata, gdyż poprzedniego dnia sąd federalny oskarżył go o dawanie łapówek sekretarzowi obrony. Jeżeli zostanie uznany za winnego, czeka go trzy lata więzienia i milion dolarów grzywny.

W apartamencie 525 członek Kongresu William Quint, należący do trzeciej generacji znanej waszyngtońskiej rodziny, konferował z trzema członkami swego zespołu dochodzeniowego.

– Problem narkotyków w tym mieście kompletnie wymyka się nam z rąk – powiedział. – Musimy znów objąć go kontrolą. – Odwrócił się do Daltona Isaaka. – Czym pan się zajmuje?

– Ulicznymi gangami. Banda z Brentwood prowadzi wojnę podjazdową z bandą z Czternastej Ulicy i bandą Simple City, co doprowadziło w ostatnim miesiącu do czterech zabójstw.

– Nie możemy pozwolić, żeby to dłużej trwało – powiedział Quint. – Źle wpływa na interesy. Miałem telefony z DEA* i szef policji pytał, co mamy zamiar z tym zrobić.

* Przekład Józefa Paszkowskiego.

– Co pan powiedział?

– To, co zwykle. Że prowadzimy dochodzenie. – Odwrócił się do swego asystenta. – Zorganizuj spotkanie z bandą z Brentwood. Powiedz im, że jeżeli liczą na nasze poparcie, będą musieli dostosować swoje ceny do cen innych. – Innego asystenta zapytał: – Ile wzięliśmy w ostatnim miesiącu?

– Dziesięć milionów?

– Skończmy z tym. To miasto staje się zbyt kosztowne, cholera.

Piętro wyżej, w apartamencie pod numerem 625, Norman Haff leżał nagi, oglądając na hotelowym wewnętrznym kanale telewizyjnym film porno. Miał białą skórę, sflaczałe ciało i ogromny brzuch piwosza. Wyciągnął rękę i pogłaskał pierś leżącej z nim w łóżku kobiety.

– Popatrz, Irma, co oni robią – powiedział zdławionym głosem. – Chcesz, żebym ja tobie też to robił? – Z oczami utkwionymi w ekran, gdzie jakaś kobieta kochała się namiętnie z mężczyzną, wodził palcami dookoła po jej brzuchu. – Czy cię to podnieca, dziecińco? Mnie rozpala na pewno.

Wsunął dwa palce między uda Inny.

– Jestem gotowy – jęknął.

Chwytał nadmuchiwaną lalkę, przewrócił ją na plecy i wszedł w nią. Wagina poruszanej baterią lalki otworzyła się i zamknęła na nim, ściskając go coraz mocniej.

– O mój Boże! – krzyknął, a potem pojękiwał usatysfakcjonowany. – Tak! Tak!

Wyłączył baterię i leżał dysząc. Czuł się wspaniale. Użyje Irmy znów rano, zanim wypuści z niej powietrze i schowa ją do walizki.

Norman był kupcem, komiwojażerem, niemal przez cały czas w podróży. Odwiedzał nieznanne miasta, gdzie nie miał towarzystwa. Irmę odkrył przed laty i była dla niego całym damskim towarzystwem, jakiego potrzebował. Jego głupi przyjaciele z tej samej branży, podróżując po całym kraju, podrywali różne dziewczyny i profesjonalne dziwki. Ale Norman był tym, który będzie się śmiał ostatni.

Irma go nigdy niczym nie zarazi.

Piętro wyżej, w apartamencie 725, rodzina Pata Murphy’ego właśnie wróciła z kolacji. Dwunastoletni Tim Murphy stał na balkonie i patrzył na park.

– Możemy jutro wejść na wierzchołek pomnika, tatusiu? – zanudzał ojca. – Proszę.

– Nie. Ja chcę iść do Smithsonian Institute – powiedział jego młodszy brat.

– Institution – poprawił go ojciec.

– Dokądkolwiek. Chcę dokądś pójść.

* DEA – Drug Enforcement Administration (Federalna Agencja do Walki z Narkotykami).

Dzieci po raz pierwszy były w stolicy, chociaż ich ojciec spędzał tu zawsze z górą pół roku. Pat Murphy był popularnym lobbystą i miał dojsście do kilku najważniejszych osób w Waszyngtonie.

Jego ojciec był burmistrzem małego miasta w Ohio i Pat rósł zafascynowany polityką. Z najlepszym swym przyjacielem Joeyem razem chodzili do szkoły, razem wyjeżdżali na obozy letnie i wszystkim się dzielili. Byli najlepszymi przyjaciółmi w najprawdziwszym sensie tego słowa. To wszystko zmieniło się w pewne święto, kiedy rodziców Joeya nie było w domu i Joey został u państwa Murphy na noc. W środku nocy Joey przyszedł do pokoju Pata i wdrapał się na jego łóżko.

– Pat – szepnął. – Obudź się.

Pat otworzył oczy.

– Co? O co chodzi?

– Czuję się samotny. Potrzebuję cię.

Pat Murphy był zakłopotany.

– Po co?

– Nie rozumiesz? Kocham cię. Pragnę cię. – I pocałował Pata w usta.

I wtedy Patowi zaświtała w głowie koszmarna myśl, że przyjaciel jest homoseksualistą. Wywołało to w nim takie obrzydzenie, że już nigdy więcej nie rozmawiał z Joeyem.

Pat Murphy nienawidził homoseksualistów. Byli potworami, pedałami, ciotami wyklętymi przez Boga, próbującymi uwodzić niewinne dzieci.

Ta nienawiść i obrzydzenie sprawiło, że prowadził kampanię przeciwko pederastom. Głosował na kandydatów zwalczających homoseksualizm i wygłaszał prelekcje na temat zła i niebezpieczeństw, jakie on ze sobą niesie.

Dawniej zawsze przyjeżdżał do Waszyngtonu sam, ale tym razem żona nalegała, żeby zabrał ze sobą ją i dzieci.

– Chcemy zobaczyć, jak wygląda tam twoje życie – powiedziała. I Pat w końcu ustąpił.

Patrzył teraz na żonę i dzieci i myślał: „To jedna z ostatnich chwil, kiedy ich widzę. Jak mogłem w ogóle popełnić tak głupi błąd? To już prawie koniec”. Jego rodzina miała na jutro wielkie plany. Ale nie będzie żadnego jutra. Rano, zanim się obudzą, on będzie już w drodze do Brazylii.

Czekał na niego Alan.

Pod numerem 825, w Apartamencie Królewskim, panowała całkowita cisza. „Oddychaj – mówił do siebie. – Musisz oddychać... wolniej, wolniej...” Był bliski paniki. Patrzył na szczupłe nagie ciało leżącej na podłodze młodej dziewczyny i myślał: „To nie była moja wina. Ona się potknęła”.

Dziewczyna rozcięła sobie głowę upadając; uderzyła o ostry kant okutego żelazem stołu. Z czoła ciekła krew. Dotknął palcami przegubu jej ręki. Nie czuł pulsu. To niewiarygodne. Przed chwilą była taka pełna życia, a teraz...

„Muszę ją stąd zabrać. Natychmiast”. Odwrócił się i zaczął się pospiesznie ubierać. To nie byłby po prostu jeszcze jeden skandal. To byłby skandal, który wstrząsnąłby światem. „Nie mogę dopuścić, żeby oni skojarzyli mnie kiedykolwiek z tym apartamentem. Ubrał się, wszedł do łazienki, zmoczył ręcznik i zaczął starannie wycierać wszystkie miejsca, których mógł dotykać.

Kiedy w końcu był pewien, że nie zostawił nigdzie śladów palców, które by świadczyły o jego tutaj obecności, obrzucił ostatnim spojrzeniem wszystko dookoła. Jej torebka! Wziął z tapczanu torebkę dziewczyny i poszedł na drugi koniec apartamentu, gdzie była prywatna winda.

Wszedł do niej starając się kontrolować oddech. Nacisnął guzik z literą G i już po kilku sekundach drzwi windy się otworzyły i znalazł się w garażu. Było tu pusto. Ruszył w kierunku swojego samochodu, ale nagle coś sobie przypomniał, i szybko pobiegł z powrotem do windy. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł ślady swych palców z guziczków windy. Stał w ciemności rozglądając się znów dookoła, żeby się upewnić, że nadal jest sam. W końcu zadowolony podszedł do swojego samochodu i usiadł za kierownicą. Po chwili przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał z garażu.

To pokojówka, Filipinka, znalazła ciało dziewczyny leżące na podłodze.

– *O Dios ko, kawawa naman iyong babae!* – Przeżegnała się i wybiegła z pokoju, wzywając pomocy.

Trzy minuty później Jeremy Robinson i Thom Peters, szef hotelowej ochrony, byli już w Królewskim Apartamencie i patrzyli na nagie ciało martwej dziewczyny.

– Jezu! – szepnął Thom. – Ona nie może mieć więcej niż szesnaście albo siedemnaście lat. – Odwrócił się do dyrektora. – Lepiej wezwijmy policję.

– Zaczekaj! – Policja. Gazety. Rozgłos. Przez chwilę Robinson się zastanawiał, co można zrobić, żeby ciało dziewczyny jakimś cudem znikło z hotelu. – Chyba tak – powiedział w końcu niechętnie.

Thom Peters wyjął z kieszeni chusteczkę i przez nią podniósł słuchawkę telefonu.

– Co robisz? – zapytał Robinson. – To nie jest scena z powieści kryminalnej. To był wypadek.

– Jeszcze tego nie wiemy, prawda? – powiedział Peters.

Nakręcił numer i czekał.

– Samobójstwo.

Detektyw Nick Reese wyglądał jak kuty na cztery nogi uliczny glina z brukowej powieści. Wysoki i muskularny, ze złamanym nosem, pamiątką dawnych czasów, kiedy chciał zrobić karierę jako bokser. Zaczynał jako zwykły policjant w Komendzie Miasta i powoli wspinał się po szczeblach kariery; najpierw został dowódcą patrolu, potem sierżantem, a w końcu porucznikiem. Awansował od detektywa drugiego stopnia do detektywa pierwszego stopnia i w ciągu ostatnich lat rozwiązał więcej zagadek kryminalnych niż ktokolwiek inny w tym wydziale.

Detektyw Reese stał spokojnie oceniając sytuację. W apartamencie wraz z nim było pół tuzina mężczyzn.

– Czy ktoś jej dotykał?

Robinsona przeszył dreszcz.

– Nie.

– Kto to jest?

– Nie wiem.

Reese odwrócił się i popatrzył na kierownika hotelu.

– W pańskim Królewskim Apartamencie znaleziono martwą młodą dziewczynę i pan nie ma pojęcia, kto to jest? Czy w tym hotelu jest rejestr gości?

– Oczywiście, detektywie, ale w tym wypadku...

– Do rejestru gości wpisany jest jakiś Eugene Gant.

– Kto to jest Eugene Gant?

– Nie mam pojęcia.

Detektyw Reese zaczynał tracić cierpliwość.

– Niech pan posłucha. Jeśli ktoś zarezerwował ten apartament, to musiał za niego zapłacić... gotówką, kartą kredytową... może baranami, czymkolwiek. Ktokolwiek wpisywał do rejestru gości tego Ganta, musiał na niego spojrzeć. Kto go wpisywał?

– Nasz pracownik z dziennej zmiany, Gorman.

– Chcę z nim porozmawiać.

– Niestety... to niemożliwe.

– O? Dlaczego?

– Dzisiaj wyjechał na urlop.

– Wezwijcie go.

– Nie powiedział, dokąd jedzie.

– Kiedy wróci?

– Za dwa tygodnie.

– Zdradzę panu mały sekret. Nie zamierzam czekać dwa tygodnie. Potrzebuję kilku informacji teraz. Ktoś musiał widzieć kogoś wchodzącego albo wychodzącego z tego pomieszczenia.

– Niekoniecznie – powiedział Robinson tonem usprawiedliwienia. – Oprócz normalnego wejścia ten apartament ma prywatną windę, która zjeżdża bezpośrednio do garażu w podziemiach... Nie rozumiem, po co to całe zamieszanie. To... to był oczywiście wypadek. Brała prawdopodobnie narkotyki, przedawkowała, potknęła się i upadła.

Do Reese'a zbliżył się inny detektyw.

– Sprawdziłem w szafach. Jej ubranie jest od Gapa, buty z Wild Pair. Nic nam to nie pomoże.

– Nie ma absolutnie nic, co pozwoliłoby ją zidentyfikować?

– Nie. Jeżeli miała torebkę, to torebka zniknęła.

Detektyw Reese jeszcze raz obejrzał ciało. Odwrócił się do policjanta stojącego obok.

– Dajcie mi kawałek mydła. Zmoczcie je.

Policjant gapił się na niego.

– Słucham?

– Mokre mydło.

– Tak jest. – Wybiegł szybko.

Detektyw Reese ukląkł obok ciała dziewczyny i obejrzał pierścionek na jej palcu.

– Wygląda jak pierścionek szkolny.

Po chwili wrócił policjant i podał Reese'owi kawałek mokrego mydła.

Reese lekko potarł mydłem palec dziewczyny i zdjął pierścionek. Oglądał go ze wszystkich stron.

– To pierścionek gimnazjum w Denver. Są tu inicjały P.Y. – Odwrócił się do kolegi. – Sprawdź to. Zadzwoń do tej szkoły i dowiedz się, kto to jest. Zidentyfikujemy ją najszybciej, jak się da.

Ed Nelson, specjalista od daktyloskopii, podszedł do Reese'a.

– Dzieje się tu coś cholernie dziwnego, Nick. Zdejmujemy odciski palców w całym apartamencie i okazuje się, że ktoś zadał sobie trud i pościarał je ze wszystkich gałek u drzwi.

– A więc ktoś był tutaj, kiedy umarła. Dlaczego nie wezwał lekarza? Dlaczego ten ktoś, kto tu był, zwracał sobie głowę wycieraniem śladów swoich palców? I co, u diabła, taki dzieciak robił w tak drogim apartamencie?

– W jaki sposób ten apartament został opłacony? – zapytał Robinson.

– Sprawdziliśmy – był opłacony gotówką. Posłaniec dostarczył pieniądze w kopercie. Rezerwację załatwiono telefonicznie.

– Możemy już zabrać ciało? – spytał przedstawiciel koronera.

– Zaczekaj jeszcze chwilę. Znaleźliście jakieś ślady przemocy?

– Jest tylko rana na czole. Ale oczywiście zrobimy sekcję zwłok.

– Żadnych innych śladów?

– Ręce i nogi są czyste.

– Czy wygląda na to, że została zgwałcona?

– Będziemy musieli to sprawdzić.

Detektyw Reese westchnął.

– A więc z tego, co tu mamy, wynika, że to jest uczennica z Denver, która przyjechała do Waszyngtonu i została zabita w jednym z najdroższych hoteli w mieście. Ktoś wyciera odciski palców i znika. Cała ta sprawa śmierdzi. Chcę wiedzieć, kto wynajął ten apartament. – Odwrócił się do przedstawiciela koronera. – Możecie ją już zabrać. – Spojrzał na detektywa Nelsona: – Sprawdziłeś ślady palców w tej prywatnej windzie?

– Tak. Winda zjeżdża z tego apartamentu wprost do podziemia. Są w niej tylko dwa guziki. Oba zostały wytarte do czysta.

– Sprawdziłeś garaż?

– Tak. Na dole nie ma nic nadzwyczajnego.

– Ktokolwiek to zrobił, niech go piekło pochłonie za te zatarte ślady. Jest to albo ktoś notowany, albo jakiś VIP, który robi szczeniackie kawały. – Odwrócił się do Robinsona. – Kto zwykle wynajmuje ten apartament?

– Jest zarezerwowany dla naszych najważniejszych gości – odpowiedział Robinson z ociąganiem. – Koronowanych głów, premierów... – zawahał się – prezydentów.

– Czy przeprowadzono jakieś rozmowy telefoniczne z tego aparatu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

– Nie wiem.

Detektyw Reese zaczynał się irytować.

– Ale mielibyście jakiś ślad, gdyby tak było?

– Oczywiście.

Detektyw Reese podniósł słuchawkę telefonu.

– Centrala? Tu detektyw Nick Reese. Chcę wiedzieć, czy przeprowadzono jakieś rozmowy telefoniczne z Apartamentu Królewskiego w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Zaczekam...

Obserwował, jak ludzie koronera w białych fartuchach nakrywają prześcieradłem ciało nagiej dziewczyny i kładą je na nosze.

„Jezu Chryste – pomyślał. – Ona nawet nie zaczęła jeszcze żyć”.

Usłyszał głos operatora z centrali:

– Detektyw Reese?

– Tak.

– Przeprowadzono wczoraj jedną rozmowę telefoniczną z tego aparatu. To była rozmowa miejscowa.

Reese wyjął notes i ołówek

– Z jakim numerem?... Cztery – pięć – sześć – siedem – zero – cztery – jeden?... – Reese zaczął notować numery i nagle przerwał. Wpatrywał się w notes. – O cholera!

– Co się stało? – zapytał detektyw Nelson.

– To jest numer Białego Domu.

Rozdział siedemnasty

Następnego dnia przy śniadaniu Jan zapytała:

– Gdzie byłeś wczoraj w nocy, Oliverze?

Serce Olivera zaczęło walić. Ona przecież nie może wiedzieć, co się stało. Nikt nie może wiedzieć. Nikt.

– Miałem spotkanie z...

Jan ucięła krótko:

– Spotkanie zostało odwołane. A ty wróciłeś do domu dopiero o godzinie trzeciej nad ranem. Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Gdzie byłeś?

– No wiesz, coś się stało. Wiesz... Potrzebowałam mnie?... Czy coś się stało?

– To już nie ma znaczenia – powiedziała Jan znużona. – Oliverze, krzywdzisz mnie, krzywdzisz samego siebie. Zaszedłeś tak daleko. Nie chcę patrzeć, jak tracisz to wszystko, ponieważ... ponieważ nie możesz... – jej oczy wypełniły się łzami.

Oliver wstał, podszedł i objął ją.

– Wszystko w porządku, Jan. Bardzo cię Kocham.

„Ja ją naprawdę Kocham – pomyślał – na swój sposób. To, co się stało zeszłej nocy, to nie moja wina. To ona zadzwoniła. Nie powinienem był pójść na to spotkanie”. Zachował przecież wszystkie środki ostrożności, żeby nikt go nie widział. „Jestem czysty” – zdecydował.

Peter Tager martwił się o prezydenta. Przekonał się, że nie sposób pohamować libido Olivera Russella, i w końcu zawarł z nim umowę. W niektóre noce organizował daleko od Białego Domu fikcyjne spotkania, na których prezydent musiał być obecny, i starał się, żeby tajna ochrona znikła na kilka godzin.

Kiedy Tager udał się do senatora Davisa ze skargą na to, co się dzieje, ten powiedział spokojnie:

– No cóż, przecież Oliver to mężczyzna gorąckrwisty, Peter. Czasami nie sposób zapanować nad taką namiętnością. Podziwiam twoją moralność. Wiem, jak wiele znaczy dla ciebie twoja rodzina i jak wstrętne musi ci się wydawać zachowanie prezydenta. Ale nie

byćmy zbyt surowi. Po prostu dopilnuj, żeby wszystko utrzymać w największej, jak to jest tylko możliwe, tajemnicy.

Detektyw Nick Reese nienawidził ponurego pokoju o białych ścianach, w którym przeprowadzano sekcje zwłok. Pachniało tam formaliną i śmiercią. Kiedy pojawił się w drzwiach, koroner Helen Chuan, drobna, atrakcyjna kobieta, już na niego czekała.

– Witam – powiedział Reese. – Skończyłaś sekcję?

– Mam dla ciebie wstępne orzeczenie, Nick. N. N. nie zmarła na skutek urazu głowy. Jej serce przestało bić, zanim uderzyła o stół. Umarła na skutek przedawkowania methylenedioxymethamfetaminy.

Nick Reese westchnął.

– Nie rób mi tego, Helen.

– Przykro mi. Na ulicach nazywają ten narkotyk superekstaza – Podała mu raport. – To jest wszystko, co dotąd zdołaliśmy stwierdzić.

Protokół sekcyjny

Nazwisko zmarłej: N. N. Nr sekcji: C-1961

Podsumowanie badania anatomopatologicznego

I. Kardiomiopatia rozstrzeniowa i przerostowa

A. Kardiomegalia (750 gramów)

B. Przerost mięśnia lewej komory (grubość ściany 2,3 cm)

C. Hepatomegalia zastoinowa (3500 g)

D. Splenomegalia zastoinowa

II. Ostre zatrucie opiatami

A. Ostre przekrwienie bierne wszystkich trzewi.

III. Toksykologia (patrz oddzielne sprawozdanie)

IV. Krwawienie wewnątrzmożgowe (patrz oddzielne sprawozdanie)

Wnioski (Przyczyna zgonu):

Kardiomiopatia rozstrzeniowa i przerostowa

Ostre zatrucie opiatami

Nick Reese podniósł wzrok

– A więc, jeśli przetłumaczyć to na angielski, umarła na skutek przedawkowania narkotyku superekstaza?

– Tak.

– Czy została zgwałcona?

Helen Chuan wahała się przez chwilę.

– Jej błona dziewicza jest przerwana, na udach znaleziono ślady nasienia i trochę krwi.

– A więc została zgwałcona?

– Nie sędzę.

– Co masz na myśli mówiąc „nie sędzę”? – Reese zmarszczył brwi.

– Nie ma śladów przemocy.

Detektyw Reese patrzył na nią zaskoczony.

– Co takiego?

– Myślę, że dziewczyna była dziewicą. To było jej pierwsze doświadczenie seksualne.

Detektyw Reese zastanowił się nad tą informacją. Ktoś zdołał namówić dziewczę, żeby udała się do Królewskiego Apartamentu i odbyła z nim stosunek. Musiał to być ktoś, kogo znała. Ktoś sławny albo posiadający władzę.

Zadzwoił telefon. Helen Chuan podniosła słuchawkę.

– Biuro koronera.

Słuchała przez chwilę, a potem podała słuchawkę detektywowi.

– To do ciebie.

Nick Reese wziął słuchawkę.

– Reese. – Jego twarz rozjaśnił uśmiech. – Och, pani Holbrook. Dziękuję, że pani zadzwoniła. To pierścionek, jakie noszą dziewczęta z pani szkoły, z inicjałami P.Y. Czy ma pani uczennicę o takich inicjałach?... Byłbym wdzięczny. Dziękuję. Zaczekam. – Spojrzał na Helen. – Jesteś pewna, że ona nie została zgwałcona?

– Nie znalazłam żadnych śladów użycia przemocy. Ani jednego.

– Czy mogło dojść do penetracji już po śmierci?

– Nie powiedziałabym.

W słuchawce znów zabrzmiał głos pani Holbrook.

– Detektyw Reese?

– Tak.

– Zgodnie z informacją z naszych komputerów mamy uczennicę o inicjałach P.Y. Nazywa się Pauline Young.

– Może ją pani opisać, pani Holbrook?

– Ależ tak! Pauline ma osiemnaście lat. Jest niska, krępa, ma ciemne włosy...

– Rozumiem. – „To nie ta dziewczyna” – pomyślał. – I to jest jedyna uczennica o takich inicjałach?

– Jedyna dziewczynka.

Uchwycił się tego stwierdzenia.

– Chce pani powiedzieć, że macie chłopca o takich inicjałach?

– Tak. To Paul Yerby. Jest starszy. Tak się składa, że Paul jest właśnie teraz w Waszyngtonie.

Serce detektywa Reese'a zaczęło bić mocniej.

– Jest tutaj?

– Tak. Jedna klasa uczniów z gimnazjum w Denver jest na wycieczce w Waszyngtonie.

Przyjechali zwiedzić Biały Dom i Kongres, i...

– Wszyscy są teraz w stolicy?

– Właśnie.

– Może pani wie, gdzie się zatrzymali?

– W hotelu Lombardy. Wycieczki korzystają tam ze zniżki. Rozmawiałam z wieloma kierownikami hoteli, ale nie... ma w nich zniżek dla...

– Bardzo dziękuję, pani Holbrook. Jestem wdzięczny.

Detektyw Reese odłożył słuchawkę i odwrócił się do lekarki.

– Daj mi znać, jak sekcja zwłok zostanie zakończona, dobrze, Helen?

– Oczywiście. Powodzenia, Nick.

Skinął głową.

– Myślę, że już mi się powiodło.

Hotel Lombardy znajduje się na Pennsylvania Avenue i w odległości dwóch kwartałów od Washington Circle. Jest to tak blisko Białego Domu, że można tam dojść spacerkiem.

Detektyw Reese wszedł do staroświeckiego holu i zbliżył się do recepcjonisty.

– Czy macie w rejestrze gości niejakiego Paula Yerby?

– Przykro mi. Nie udzielamy...

Reese błysnął oznaką.

– Bardzo się spieszę, przyjacielu.

– Tak jest, proszę pana. – Urzędnik powiódł wzrokiem po spisie gości. – Jest pan Yerby, w pokoju 315. Czy mam...?

– Nie. Zrobię mu niespodziankę.

Reese wszedł do windy, wjechał na trzecie piętro, wysiadł i ruszył korytarzem. Zatrzymał się przed pokojem 315. Ze środka dochodziły jakieś głosy. Odpiął guzik marynarki i zapukał do drzwi. Otworzył je kilkunastoletni chłopiec.

– Dzień dobry.

– Paul Yerby?

– Nie. – Chłopiec odwrócił się do kogoś znajdującego się także w tym pokoju. – Paul, ktoś do ciebie.

Nick Reese wszedł do środka. Szczupły, rozczochrany chłopak w dzinsach i swetrze wychodził z łazienki.

– Paul Yerby?

– Tak. Kim pan jest?

Reese wyciągnął swoją oznakę.

– Detektyw Nick Reese. Wydział zabójstw.

Chłopak zbladł.

– Ja... Co mogę dla pana zrobić?

Nick Reese wyczuł strach w jego głosie. Wyjął z kieszeni pierścioneł zmarłej dziewczyny i pokazał mu go na wyciągniętej dłoni.

– Widziałeś kiedyś ten pierścioneł, Paul?

– Nie – odpowiedział szybko Yerby. – Ja...

– Są na nim twoje inicjały.

– Naprawdę? Och. No tak... – Zawahał się. – Chyba może być mój. Musiałem go gdzieś zgubić.

– Albo komuś ofiarować.

Chłopiec oblizał wargi.

– Hm. Tak. Być może.

– Pójdiesz ze mną, Paul.

Chłopak popatrzył nerwowo na Reese'a.

– Jestem aresztowany?

– Za co? – zapytał detektyw Reese. – Popeliłeś jakąś zbrodnię?

– Oczywiście, że nie. Ale... – Cedził wolno słowa.

– Więc dlaczego miałbym cię aresztować?

– Ja... ja nie wiem. Nie wiem, dlaczego mam iść z panem. – Zerkał na otwarte drzwi.

Reese ujął chłopca za ramię.

– Chodźmy. Spokojnie.

Współlokator Paula zapytał:

– Chcesz, żebyśmy zadzwonił do twojej matki czy kogoś innego, Paul?

Paul Yerby przygnębiony potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Nie dzwoń do nikogo – powiedział szeptem.

Budynek na północno-zachodniej Indiana Avenue pod numerem 300, w centrum Waszyngtonu, jest odpychającym sześciopiętrowym gmazyskiem z szarej cegły. Mieści się w nim Komenda Główna Policji tego okręgu. Wydział zabójstw znajduje się na trzecim piętrze. W czasie gdy Paula Yerby fotografowano i pobierano odciski jego palców, detektyw Reese poszedł się zobaczyć z kapitanem Otto Millerem.

– Chyba zrobimy przerwę w rozpracowywaniu sprawy hotelu Monroe Arms.

Miller odchylił się do tyłu w swym krześle.

– Mów dalej.

– Znalazłem chłopaka tej dziewczyny. Dzieciak jest nieprzytomny ze strachu. Będziemy go zaraz przesłuchiwać. Chcesz być przy tym obecny?

Kapitan wskazał ruchem głowy stos papierów na biurku.

- Mam zajęcie na następne pięć miesięcy. Zdasz mi raport.
- Dobrze. – Reese ruszył ku drzwiom.
- Nick... nie zapomnij przeczytać, jakie mu przysługują prawa.

Paula Yerby wprowadzono do pokoju przesłuchań. Była to mała klitka dziewięć na dwanaście stóp. Stało tu zniszczone biurko, cztery krzesła i kamera wideo. Policjanci mogli obserwować przesłuchanie z sąsiedniego pokoju, choć sami byli niewidoczni.

Paul Yerby siedział naprzeciwko Nicka Reese i dwóch innych detektywów, Douga Hogara i Edgara Bernsteina.

- Zdajesz sobie sprawę, że nagrywamy tę rozmowę na wideo? – Detektyw Reese.
 - Tak, proszę pana.
 - Masz prawo do adwokata. Jeśli cię nie stać na obrońcę, zostanie on przydzielony z urzędu, żeby cię reprezentował. – Chciałbyś mieć adwokata? – Detektyw Bernstein.
 - Nie potrzebuję adwokata.
 - Dobrze. Masz prawo milczeć. Jeśli rezygnujesz z tego prawa, wszystko, co tu powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie. Czy to jasne?
 - Tak, proszę pana.
 - Jak się nazywasz?
 - Paul Yerby.
 - Adres?
 - Denver, stan Kolorado, Marion Street trzy, dwadzieścia dwa. Słuchajcie, ja nie zrobiłem nic złego. Ja...
 - Nikt nie mówi, że zrobiłeś. My tylko staramy się zdobyć kilka informacji. Pomożesz nam?
 - Oczywiście, ale ja... ja nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi?
 - Nic ci nie przychodzi do głowy?
 - Nie, proszę pana.
 - Masz jakieś dziewczyny, Paul?
 - No, wie pan...
 - Nie, nie wiemy. Dlaczego nam nie powiesz?
 - No pewnie. Spotykam się z dziewczynami...
 - To znaczy, umawiasz się z dziewczynami? Wychodzisz gdzieś z nimi?
 - Tak.
 - Umawiasz się z jakąś jedną dziewczyną?
- Zapadła cisza.
- Masz przyjaciółkę, Paul?
 - Jak ona się nazywa? – Detektyw Bernstein.

- Chloe.
- Chloe i jak dalej?
- Chloe Houston.

Reese zanotował to.

- Gdzie mieszka?
- W Denver. Oak Street sześć, dwa.
- Imiona rodziców?
- Mieszka z matką.
- Jak się nazywa matka?
- Jackie Houston. Jest gubernatorem stanu Kolorado.

Detektywi spojrzeli po sobie. „Cholera! Tylko tego nam trzeba!”

Reese podniósł do góry pierścionek.

- Czy to jest twój pierścionek, Paul?

Chłopak przyglądał mu się przez chwilę, po czym powiedział z ociąganiem:

- Tak.
- Dałeś ten pierścionek Chloe?

Paul nerwowo przełknął ślinę.

- Ja... chyba tak.
- Nie jesteś pewny?
- Teraz sobie przypominam. Tak, dałem.
- Przyjechałeś do Waszyngtonu z kilkoma kolegami z klasy, tak? Taka szkolna grupa.
- Właśnie tak.
- Czy Chloe należała do tej grupy?
- Tak, proszę pana.
- Gdzie jest teraz Chloe, Paul? – Detektyw Bernstein.
- Ja... ja nie wiem.
- Kiedy ją ostatni raz widziałeś? – Detektyw Hogan.
- Chyba kilka dni temu.
- Dwa dni temu? – Detektyw Reese.
- Tak.
- Gdzie to było? – Detektyw Bernstein.
- W Białym Domu.
- Była w Białym Domu? – zapytał Reese.
- Tak, proszę pana. Wszyscy byliśmy na takiej prywatnej wycieczce. Matka Chloe to zorganizowała.
- I Chloe była z wami? – Detektyw Hogan.
- Tak.
- Czy zdarzyło się coś niezwykłego w czasie tej wycieczki? – Detektyw Bernstein.

– Co pan ma na myśli?

– Spotkaliście kogoś albo rozmawialiście z kimś w czasie zwiedzania? – Detektyw Bernstein.

– Tak, pewnie. Z przewodnikiem.

– I to wszystko? – Detektyw Reese.

– Tak.

– Czy Chloe przez cały czas była z grupą? – Detektyw Hogan.

– Tak... – Yerby się zawahał. – Nie. Wymknęła się, żeby pójść do toalety. Nie było jej około piętnastu minut. Kiedy wróciła, to... – przerwał.

– To co? – zapytał Reese.

– Nic. Po prostu wróciła.

Chłopak najwyraźniej kłamał.

– Synu, czy wiesz, że Chloe Houston nie żyje? – zapytał detektyw Reese.

Obserwowali go uważnie.

– Nie! Mój Boże! Jak to się stało?

Wyraz zdziwienia na jego twarzy mógł być udawany.

– Nie wiedziałeś o tym? – Detektyw Bernstein.

– Nie. Ja... nie mogę w to uwierzyć.

– Nie miałeś nic wspólnego z jej śmiercią? – Oczywiście, że nie! Ja kocham... ja kochałem Chloe.

– Poszedłeś z nią kiedyś do łóżka? – Detektyw Bernstein.

– Nie. My... my czekaliśmy. Mieliśmy zamiar się pobrać.

– Ale czasami braliście razem narkotyki? – Detektyw Reese.

– Nie! Nigdy się nie narkotyzowaliśmy.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł krzepki mężczyzna, detektyw Harry Carter. Podszedł do Reese'a i szepnął mu coś do ucha. Reese skinął głową. Nadal wpatrywał się bacznie w Paula Yerby.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Chloe Houston?

– Mówiłem panu. W Białym Domu. – Wiercił się niespokojnie na krześle.

Detektyw Reese pochylił się do przodu.

– Będziesz miał mnóstwo kłopotów, Paul. Twoje odciski palców są w całym Królewskim Apartamencie w hotelu Monroe Arms. Skąd się tam wzięły?

Paul Yerby siedział z pobladłą twarzą.

– Możesz już przestać kłamać. Zdemaskowaliśmy cię.

– Ja... ja nic nie zrobiłem.

– Zarezerwowałeś apartament w hotelu Monroe Arms? – Detektyw Bernstein.

– Nie. Ja tego nie zrobiłem – odpowiedział z naciskiem na „ja”.

Detektyw Reese uczeplił się tego „ja”.

– Ale wiesz, kto to zrobił?
– Nie. – Odpowiedź padła zbyt szybko.
– Przyznajesz się, że byliście w tym apartamencie? – Detektyw Hogan.
– Tak, ale... ale Chloe żyła, kiedy wychodziłem.
– Dlaczego wyszedłeś? – Detektyw Hogan.
– Prosiła mnie o to. Ona... ona na kogoś czekała.
– Dalej, Paul. Wiemy, że ją zabiłeś. – Detektyw Bernstein.
– Nie! – Chłopak trząsał się cały. – Przysięgam, ja nie miałem z tym nic wspólnego, ja... ja tylko wszedłem z nią do tego apartamentu. Byłem tam przez krótką chwilę.
– Ponieważ ona na kogoś czekała? – Detektyw Reese.
– Tak. Była... była jakby podekscytowana.
– Powiedziała ci, z kim miała się spotkać? – Detektyw Hogan.
– Nie.
– Kłamiesz. Powiedziała ci.
– Powiedziałeś, że była podekscytowana. Czym? – Detektyw Reese.
Paul znowu oblizał wargi.
– Tym, że ma się spotkać z tym mężczyzną na kolacji.
– Co to za mężczyzna, Paul? – Detektyw Bernstein.
– Nie mogę panu powiedzieć.
– Dlaczego? – Detektyw Hogan.
– Obiecałem Chloe, że nikomu nie powiem.
– Chloe nie żyje.
Oczy Paula Yerby wypełniły się łzami.
– Ja po prostu nie mogę w to uwierzyć.
– Podaj mi nazwisko tego mężczyzny. – Detektyw Reese.
– Nie mogę tego zrobić. Obiecałem.
– Wiesz, co cię czeka? Spędzisz tę noc w więzieniu. Rano cię zwolnimy, jeśli nam podasz nazwisko tego mężczyzny, z którym Chloe miała się spotkać. W przeciwnym razie będziemy musieli cię oskarżyć o morderstwo pierwszego stopnia. – Detektyw Reese.

Czekali, żeby chłopak coś powiedział.

Milczał.

Nick Reese skinął na Bernsteina.

– Zabierzcie go.

Detektyw Reese wrócił do biura kapitana Millera.

– Mam jedną złą wiadomość i jedną jeszcze gorszą.

– Nie mam na to czasu, Nick.

– Zła wiadomość to to, że nie jestem pewny, czy to ten chłopak dał jej narkotyk. Gorsza to fakt, że matka tej dziewczyny jest gubernatorem stanu Kolorado.

– O Boże! Gazety uwielbiają takie sprawy! – Kapitan Miller westchnął głęboko. – Dlaczego sądzisz, że ten chłopak nie jest winny?

– Przyznaje, że był w tym apartamencie z dziewczyną, ale powiedział, że ona kazała mu wyjść, bo na kogoś czekała. Sądzę, że ten dzieciak jest za sprytny na to, żeby opowiedzieć tak głupią historyjkę. Uważam, że on wie, na kogo Chloe Houston czekała. Ale nam nie powie, kto to był.

– Przychodzi ci coś na myśl?

– Ona była po raz pierwszy w Waszyngtonie i zwiedzali Biały Dom. Nie знаła tutaj nikogo. Powiedziała, że idzie do toalety. Nie ma ogólnie dostępnej toalety w Białym Domu. Musiała pójść do Pawilonu Gościnnego w Elipsie u zbiegu Piątej i E albo do centrum dla gości wizytujących Biały Dom. Nie było jej około piętnastu minut. Według mnie stało się, co następuje: szukając damskiej toalety natknęła się w Białym Domu na kogoś, kogo rozpoznała. Może był to ktoś, kogo widziała w telewizji? W każdym razie musiał to być ktoś ważny. On zaprowadził ją do jakiejś prywatnej łazienki i zrobił na niej wystarczająco silne wrażenie, żeby się zgodziła spotkać z nim w hotelu Monroe Arms.

Kapitan Miller się zamyślił.

– Lepiej zadzwonię do Białego Domu. Prosił, żeby informować ich na bieżąco o tej sprawie. Nie popuszczaj temu dzieciakowi. Chcę znać to nazwisko.

– Dobrze.

Gdy tylko detektyw Reese zniknął za drzwiami, kapitan Miller sięgnął po telefon i nakręcił numer. Po chwili powiedział:

– Tak, proszę pana. Mamy w areszcie ważnego świadka. Znajduje się na posterunku policji przy Indiana Avenue... Nie będziemy, proszę pana. Myślę, że chłopak poda nam jutro rano nazwisko tego mężczyzny... Tak, proszę pana... Rozumiem. – Odłożył słuchawkę.

Następnego dnia o ósmej rano, kiedy detektyw Nick Reese wszedł do celi Paula Yerby, ciało chłopca wisiało wysoko na kracie.

Rozdział osiemnasty

SZESNASTOLETNIĄ ZMARŁĄ DZIEWCZYNA ZOSTAŁA ZIDENTYFIKOWANA JAKO CÓRKA PANI HOUSTON, GUBERNATORA STANU KOLORADO. JEJ PRZYJACIEL POWIESIŁ SIĘ W ARESZCIE. POLICJA POSZUKUJE TAJEMNICZEGO ŚWIADKA

Patrzył na te nagłówki i nagle zrobiło mu się słabo. Szesnaście lat. Wyglądała na starszą. O co go oskarżają? Był winny. Czego? Morderstwa? Zabójstwa? Być może. I jeszcze dodatkowo gwałtu.

Obserwował, jak wychodzi z łazienki naga, z nieśmiałym uśmiechem. „Nigdy przedtem tego nie robiłam”.

A on objął ją i pogłaskał. „Cieszę się, że ten pierwszy raz zrobisz to ze mną, kochanie”. Wcześniej wypili razem szklanek superekstazy. „Spróbuj tego. Dobrze ci zrobi”. Kochali się i nagle ona się poskarżyła, że nie czuje się dobrze. Wstała z łóżka, potknęła się i uderzyła głową o stół. Wypadek. Oczywiście, policja nie będzie na to patrzyła w ten sposób. „Ale nie wskazuje na moje powiązania z nią. Nic”.

Kiedy wspominał ten epizod, wydawał mu się on czymś nierealnym. Jakimś koszmarem, który się przydarzył komuś innemu. Ale kiedy o tym przeczytał, przestał mieć wątpliwości, czy to się wydarzyło naprawdę.

Przez ściany biura słyszał odgłosy ruchu ulicznego na Pennsylvania Avenue przed Białym Domem i uświadomił sobie znów, w jakich kręgach się obraca. Posiedzenie rady ministrów miało się zacząć zgodnie z planem za pięć minut. Odetchnął głęboko. „Weź się w garść”.

W Gabinetcie Owalnym zebrali się wiceprezydent Melvin Wick, Sime Lombardo i Peter Tager.

Oliver wszedł do pokoju i usiadł za swoim biurkiem.

– Witam panów.

Nastąpiły ogólne powitania.

Peter Tager zapytał:

– Widział pan „Tribune”, panie prezydencie?

– Nie.

– Zidentyfikowali tę dziewczynę, która zmarła w hotelu Monroe Arms. Niestety, to zła wiadomość.

Oliver nieświadomie zeszytniał w swym krześle.

– Tak?

– Nazywa się Chloe Houston. Jest córką Jackie Houston.

– O mój Boże! – Te słowa wymknęły się jakoś mimo woli z ust prezydenta.

Wpatrywali się w niego, zdziwieni jego reakcją. Szybko doszedł do siebie.

– Znałem... znałem Jackie Houston dawno temu. To... to jest okropna wiadomość.

Okropna.

– Chociaż nie ponosimy odpowiedzialności za zbrodnię popełnioną w Waszyngtonie, „Tribune” i tak przejdzie się po nas – powiedział Sime Lombardo.

Odezwał się Melvin Wicks:

– Czy jest jakiś sposób, żebyśmy mogli zamknąć usta Leslie Stewart?

Oliver pomyślał o namiętym wieczorze, który z nią spędził.

– Nie – powiedział. – Wolność prasy, panowie.

Peter Tager odwrócił się do prezydenta.

– Co z panią gubernator?...

– Ja się tym zajmę. – Oliver nacisnął przycisk interkomu. – Połączcie mnie z panią gubernator Houston w Denver.

– Musimy trzymać rękę na pulsie – mówił Peter Tager. – Zebrałem dane statystyczne, żeby wiedzieć, jak wiele zbrodni popełniono w tym kraju. Trzeba zażądać od Kongresu więcej pieniędzy dla naszych departamentów policji etcetera. – Słowa te brzmiały pusto nawet w jego własnych uszach.

– Co za okropne czasy – powiedział Melvin Wicks.

Zadzwijał interkom. Oliver podniósł słuchawkę.

– Słucham.

Przez chwilę nic nie mówił, po czym odłożył słuchawkę.

– Pani gubernator jest w drodze do Waszyngtonu. – Popatrzył na Petera Tagera. – Sprawdź, Peter, jakim samolotem leci. Wyjedź po nią i przywieź ją tutaj.

– Dobrze. W „Tribune” jest artykuł wstępny. Dość ostry. – Peter Tager podał Oliverowi stronę gazety z artykułem wstępnym. **PREZYDENT NIE POTRAFI OPANOWAĆ PLAGI PRZESTĘPCZOŚCI W STOLICY.** – Stąd się to wszystko bierze?

– Leslie Stewart to jędra – powiedział spokojnie Sime Lombardo. – Ktoś powinien z nią porozmawiać.

W swoim gabinecie w „Washington Tribune” Matt Baker czytał właśnie artykuł wstępny atakujący prezydenta za to, że jest zbyt łagodny w sprawach przestępczości, kiedy do pokoju wszedł Frank Lonergan. Ten inteligentny dziennikarz kilka lat po czterdziestce współpracował jednocześnie z policją. Był jednym z najlepszych dziennikarzy od spraw kryminalnych.

– Ty napisałeś ten artykuł, Frank?

– Tak – odpowiedział.

– Ten ustęp o tym, że liczba zbrodni w stanie Minnesota spadła o dwadzieścia pięć procent, nadal mnie niepokoi. Dlaczego wspomniałeś akurat o Minnesocie?

– To była sugestia Lodowej Księżniczki.

– Śmieszne – prychnął Matt Baker. – Porozmawiam z nią.

Leslie Stewart rozmawiała przez telefon, kiedy Matt Baker wszedł do jej gabinetu.

– Zostawiam panu zadbanie o szczegóły, ale chcę, żebyśmy zmobilizowali dla niego tyle pieniędzy, ile zdołamy. Prawdę powiedziawszy senator Embry z Minnesoty zatrzymuje się tu dziś na lunch i dostanę od niego listę nazwisk. Dziękuję. – Odłożyła słuchawkę.

– Matt?

Matt Baker podszedł do jej biurka.

– Chcę porozmawiać z tobą o tym artykule wstępnym.

– Dobry, prawda?

– On śmierdzi, Leslie. To propaganda. Prezydent nie jest odpowiedzialny za przestępczość w Waszyngtonie D.C. Mamy burmistrza, który powinien się tym zajmować, i policję. A co z tym bzdurnym stwierdzeniem, że liczba zbrodni w Minnesocie spadła o dwadzieścia pięć procent? Skąd wzięłaś takie dane?

Leslie Stewart odchyliła się do tyłu i powiedziała spokojnie:

– Matt, to jest moja gazeta. Będę mówiła wszystko, co zechcę. Oliver Russell jest wszawym prezydentem, a Gregory Embry będzie wspinały. Pomożemy mu się dostać do Białego Domu. – Spostrzegła wyraz twarzy Matta i zmiękła. – No, Matt. „Tribune” ma zamiar stać po stronie zwycięzcy. Embry będzie dobry. On właśnie tutaj jedzie. Miałbyś ochotę zjeść z nami lunch?

– Nie. Nie lubię ludzi, którzy jedzą z wyciągniętymi rękami. – Odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

Na korytarzu Matt Baker wpadł na Embry’ego. Senator był zarozumiałym politykiem po pięćdziesiątce.

– O, pan senator! Gratuluję.

Senator popatrzył na niego zaskoczony.

– Dziękuję. E... czego?

– Tego, że obniżył pan liczbę zbrodni w swoim stanie o dwadzieścia pięć procent. – I Matt Baker oddalił się, pozostawiając oniemiałego senatora, który patrzył za nim z zakłopotaną miną.

Lunch podano w umeblowanej antykami jadalni Leslie Stewart. Szef kuchni miał wszystko przygotowane, kiedy Leslie i senator Embry weszli do jadalni.

– Lunch jest gotowy. Podam, kiedy tylko pani każe, panno Stewart. Ma pani ochotę ma drinka?

– Ja nie – odpowiedziała Leslie. – A pan, senatorze?

– No cóż, zazwyczaj nie pijam alkoholu w ciągu dnia, ale poproszę o martini.

Leslie wiedziała, że senator Embry pije mnóstwo w ciągu dnia. Zebrała o nim kompletne dane. Miał żonę, pięcioro dzieci i kochankę Japonkę. Jego utrzymywanym w tajemnicy hobby było lokowanie pieniędzy w paramilitarne grupy we własnym stanie. Nic z tych rzeczy nie miało znaczenia dla Leslie. Ważne było jedynie to, że Gregory Embry był człowiekiem, który wierzył, że jedna osoba potrafi prowadzić wielki biznes – a „Washington Tribune Enterprises” to był wielki biznes. Leslie Stewart miała zamiar jeszcze go powiększyć, a kiedy Embry zostanie prezydentem, pomoże jej w tym.

Siedzieli przy stole w jadalni. Senator Embry upił małejki łyczek z drugiej szklaneczki martini.

– Chcę pani podziękować za wsparcie, Leslie. To był miły gest.

Leslie uśmiechnęła się ciepło.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Zrobię wszystko, co będę mogła, żeby panu pomóc pobić Olivera Russella.

– No cóż, myślę, że mam całkiem niezłe szanse.

– Ja również tak myślę. Ludzie zaczynają się czuć zmęczeni nim i jego skandalami. Przypuszczam, że jeżeli dojdzie do jeszcze jednego skandalu przed dniem wyborów, wywałą go na zbity łeb.

Senator Embry przyglądał jej się przez chwilę.

– A myśli pani, że dojdzie?

Leslie skinęła głową i powiedziała cicho:

– Nie byłabym zdziwiona.

Lunch był wyśmienity.

Zadzwoił Antonio Vadez, jeden z asystentów w biurze koronera.

– Panno Stewart, mówiła pani, żeby panią informować na bieżąco w sprawie Chloe Houston.

– Tak.

– Gliny prosiły nas, żeby tego nie rozgłaszać, ale skoro pani była tak dobrą przyjaciółką, pomyślałem sobie...

– Niech się pan nie martwi. Zatroszczymy się o pana. Niech mi pan opowie o sekcji zwłok.

– Tak, proszę pani. Przyczyną śmierci był narkotyk zwany superekstaza.

– Jak?

– Superekstaza. Zażyła go w płynie.

„Mam dla ciebie małą niespodziankę, którą chcę, żebyś wypróbowała... To jest płyn superekstaza... Jeden przyjaciel dał mi to...”

A kobieta, którą znaleziono w rzece Kentucky, zmarła z przedawkowania płynu superekstaza.

Leslie siedziała bez ruchu, serce jej waliło.

Jednak Bóg istnieje.

Leslie posłała po Franka Lonergana.

– Chcę, żeby pan nie ustawał w pracy nad badaniem okoliczności śmierci Chloe Houston. Myślę, że jest w to zamieszany prezydent.

Frank Lonergan patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Prezydent?

– Choć nadal utrzymywane jest to w tajemnicy, jestem o tym przekonana. Ten chłopak, którego aresztowali, oddał im przysługę popełniając samobójstwo... niech pan w tym poszpera. I chcę, żeby pan przeszedził ruchy prezydenta tego popołudnia i wieczoru, kiedy ona zmarła. Ma to być prywatne śledztwo. Bardzo prywatne. Będzie pan składał raporty wyłącznie mnie.

Frank Lonergan westchnął głęboko.

– Czy pani wie, co to może znaczyć?

– Zaczynaj. I jeszcze, Frank...

– Tak...

– Sprawdź informacje o narkotyku zwanym superekstaza. I poszukaj w internecie powiązań z Oliverem Russellem.

W medycznym internecie poświęconym narkotykom Lonergan znalazł historię Miriam Friedland, dawnej sekretarki Olivera Russella. Nadal przebywała w szpitalu we Frankfort, w stanie Kentucky. Lonergan zadzwonił tam, żeby się czegoś dowiedzieć. Jakiś lekarz powiedział:

– Panna Friedland zmarła dwa dni temu. Nie obudziła się ze śpiączki.

Frank Lonergan zadzwonił do biura gubernator Houston.

– Przykro mi – powiedziała sekretarka. – Pani gubernator jest w drodze do Waszyngtonu.

Dziesięć minut później Frank jechał na lotnisko. Dotarł tam za późno.

Kiedy pasażerowie opuścili samolot, spostrzegł, jak Peter Tager podchodzi do atrakcyjnej blondynki po czterdziestce i wita ją. Oboje rozmawiali przez chwilę, po czym Tager odprowadził ją do czekającej limuzyny.

Obserwujący to z daleka Lonergan pomyślał: „Muszę porozmawiać z tą damą”. Jadąc szybko w kierunku miasta rozmawiał przez telefon w samochodzie. Z trzeciej rozmowy telefonicznej dowiedział się, że pani gubernator jest oczekiwana w hotelu Cztery Pory Roku.

Kiedy Jackie została uroczyście wprowadzona do prywatnego pokoju obok Gabinetu Owального, Oliver Russell już tam na nią czekał.

Ujął obie jej dłonie i powiedział:

– Tak strasznie mi przykro, Jackie. Brak mi słów, żeby to wyrazić.

Minęło prawie siedemnaście lat od czasu, kiedy ją widział po raz ostatni. Spotkali się na zjeździe prawników w Chicago. Właśnie ukończyła studia prawnicze. Była młodą, atrakcyjną, pełną entuzjazmu kobietą i przeżyli krótki, gorący romans.

Siedemnaście lat temu.

A Chloe miała szesnaście lat.

Nie miał odwagi zadać Jackie pytania, które zaprzętało jego myśli. „Nie chcę wiedzieć”. Patrzyli na siebie w milczeniu i przez chwilę Oliverowi się wydawało, że Jackie zacznie mówić o przeszłości. Uciekł spojrzeniem.

Jackie Houston powiedziała:

– Policja uważa, że Paul Yerby miał coś wspólnego ze śmiercią Chloe.

– Tak.

– Nie.

– Nie?

– Paul kochał Chloe. Nigdy by jej nie wyrządził krzywdy. – Głos jej się załamał. – Oni... oni mieli zamiar kiedyś się pobrać.

– Zgodnie z informacją, jaką otrzymałem, Jackie, w pokoju hotelowym, gdzie ona została zamordowana, znaleziono odciski palców tego chłopca.

Jackie Houston powiedziała:

– W gazetach piszą, że to... że to się stało w Apartamencie Królewskim w hotelu Monroe Arms.

– Tak.

– Oliver, ona dostawała niewielkie kieszonkowe. Ojciec Paula jest emerytowanym urzędnikiem. Skąd mogła wziąć pieniądze na wynajęcie Królewskiego Apartamentu?

– Ja... ja nie wiem.

– Ktoś musi to zbadać. Nie wyjadę, dopóki się nie dowiem, kto jest odpowiedzialny za śmierć mojej córki. – Zmarszczyła brwi. – Chloe miała się spotkać z tobą po południu. Widziałeś się z nią?

Krótkie wahanie.

– Nie. Bardzo pragnąłem ją zobaczyć. Niestety, miałem coś bardzo pilnego do załatwienia i musiałem odwołać nasze spotkanie.

Leżeli w łóżku w apartamencie w drugim końcu miasta. Ich nagie ciała były tak mocno splecione ze sobą, że czuł, jaka jest spięta.

– Dobrze się czujesz, JoAnn?

– Świetnie, Alex.

– Wydaje mi się, że błędzisz gdzieś daleko myślami? O czym myślisz?

– O niczym.

– O niczym?

– No wiesz, prawdę powiedziawszy, myślałam o tej biednej dziewczynie, która została zamordowana w hotelu.

– Ach tak. Czytałem o tym. To była córka jakiegoś gubernatora.

– Tak.

– Czy policja wie, z kim była?

– Nie, wypytywali o to wszystkich w całym hotelu.

– Ciebie także.

– Tak. Wszystko, co mogłam im powiedzieć w tej sprawie, to o tej rozmowie telefonicznej.

– O jakiej rozmowie?

– O tym, że ktoś z tego apartamentu dzwonił do Białego Domu.

Milczał przez chwilę, wreszcie powiedział wymijająco:

– To nic nie znaczy. Każdego zawsze kusi, żeby zadzwonić do Białego Domu. Zrób tak jeszcze raz, malutka. Nie masz więcej tego syropu klonowego?

Frank Lonergan właśnie wrócił z lotniska do swego biura, kiedy zadzwonił telefon.

– Lonergan.

– Witam, panie Lonergan. Tu Wąskie Gardło.

To był Alex Cooper, drobny kombinator, który wyobrażał sobie, że jest doradcą w sprawach wyścigów, dorównującym klasą tym, którzy badali aferę Watergate.

– Nadal płacisz za świeże informacje?

– To zależy, jak świeże.

– Od tej zadymi ci tyłek. Żądam za nią pięć tysięcy dolarów.

– Do widzenia.

– Zaczekaj chwileczkę. Nie odkładaj słuchawki. To dotyczy dziewczyny, która została zamordowana w hotelu Monroe Arms.

Franka Lonergana nagle to zainteresowało.

– Co o niej wiesz?

– Możemy się gdzieś spotkać?

– Za pół godziny u Rica.

O godzinie drugiej Frank Lonergan i Alex Cooper siedzieli u Rica. Alex Cooper był chudym facetem o szurzej twarzy i Lonergan nienawidził robić z nim interesów. Nie wiedział, gdzie Cooper zdobywa informacje, ale kiedyś był mu bardzo pomocny.

– Mam nadzieję, że nie tracę przez ciebie czasu – powiedział Lonergan.

– O, nie sądzę, żeby to była strata czasu. Jak byś się czuł, gdybym ci powiedział, że są pewne powiązania Białego Domu ze śmiercią tej dziewczyny? – Na jego twarzy pojawił się pełen satysfakcji uśmiech.

Frankowi Lonerganowi udało się ukryć podniecenie.

– Mów dalej.

– Pięć tysięcy dolarów.

– Tysiąc.

– Dwa.

– Umowa stoi. Mów.

– Moja przyjaciółka obsługuje centralę telefoniczną w Monroe Arms.

– Jak się nazywa?

– JoAnn McGrath.

Lonergan zanotował.

– Więc?

– Ktoś zadzwonił z Królewskiego Apartamentu do Białego Domu, kiedy ta dziewczyna tam była.

„Myślę, że jest w to zamieszany prezydent”, powiedziała Leslie Stewart.

– Jesteś tego pewny?

– Wiadomość z pierwszej ręki.

Sprawdzę to. Jeśli mówisz prawdę, dostaniesz swoje pieniądze. Wspomniałeś o tym jeszcze komuś?

– Nie.

– Dobrze. Nie mów nikomu. – Lonergan wstał. – Będziemy w kontakcie.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział Cooper.

Lonergan się zatrzymał.

– Słucham.

– Musisz mnie trzymać z dala od tego. Nie chcę, żeby JoAnn wiedziała, że rozmawiałem z kimś na ten temat.

– Nie ma sprawy.

Alex Cooper został sam. Zastanawiał się, w jaki sposób wydać te dwa tysiące dolarów tak, żeby JoAnn o tym nie wiedziała.

Centrala telefoniczna w hotelu Monroe Arms znajdowała się w holu, w małej niszy za biurkiem recepcjonisty. Kiedy Lonergan wszedł niosąc jakąś tabliczkę z wykazami, JoAnn McGrath była właśnie na służbie.

– Łączę.

Uzyskawszy sygnał, odwróciła się do Lonergana.

– W czym mogę pomóc?

– Jestem z Urzędu Telekomunikacji – powiedział Lonergan. Błysnął jakimś identyfikatorem. – Mamy tu pewien problem.

JoAnn McGrath popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Jaki problem?

– Ktoś nas zawiadomił, że są obciążani za rozmowy, których nie prowadzili. – Udał, że ogląda tabliczkę. – Obciążono ich opłatą za telefon do Niemiec, a oni nawet nikogo w Niemczech nie znają. Są wściekli.

– Nic o tym nie wiem – powiedziała JoAnn oburzona. – Nie pamiętam, żebym łączyła jakieś rozmowy z Niemcami w ciągu ostatniego miesiąca.

– Ma pani wykaz rozmów z piętnastego?

– Oczywiście.

– Chciałbym go zobaczyć.

– Bardzo proszę.

Odnalazła pod stosem papierów jakiś skoroszyt i podała mu go. Centralka telefoniczna brzęczała... Podczas gdy JoAnn słuchała dzwonek telefonów, Lonergan szybko powiódł wzrokiem po spisie rozmów.

Październik 12... 13... 14... 16...

Brakowało strony z wykazem rozmów z piętnastego października.

Frank Lonergan czekał w holu hotelu Cztery Pory Roku, kiedy Jackie Houston wróciła z Białego Domu.

– Pani gubernator Houston?

Odwróciła się zdziwiona.

– Słucham?

– Frank Lonergan. Jestem z „Washington Tribune”. Chcę powiedzieć, pani gubernator, jak jest nam wszystkim przykro.

– Dziękuję.

– Czy mógłbym z panią chwilę porozmawiać?

– Ja naprawdę nie jestem w...

– Może mógłbym być pomocny. – Skinął głową w kierunku sali klubowej za głównym holom.

Westchnęła.

– Dobrze.

Weszli do sali klubowej i usiedli.

– Rozumiem, że pani córka wybrała się na zwiedzanie Białego Domu tego dnia, kiedy...

Nie mógł się zdobyć na to, by dokończyć to zdanie.

– Tak. Wybrała się na wycieczkę z kolegami ze szkoły. Była bardzo podniecona myślą, że spotka się z prezydentem.

Lonergan przez cały czas starał się mówić tonem zdawkowym.

– Miała zobaczyć prezydenta?

– Tak. Ja to załatwiłam. Jesteśmy z prezydentem starymi przyjaciółmi.

– I widziała się z nim, pani gubernator?

– Nie. Nie mógł się z nią spotkać. – Głos jej się załamywał. – Jednej rzeczy jestem pewna.

– Słucham panią.

– Paul Yerby jej nie zabił. Oni się kochali.

– Ale policja powiedziała...

– Nie obchodzi mnie, co powiedziała policja. Aresztowali niewinnego chłopca i... był taki przerażony, że się powiesił. To straszne.

– Jeśli Paul Yerby nie zabił pani córki, to czy przychodzi pani na myśl, kto mógłby to zrobić? To znaczy, czy ona wspominała coś o tym, że ma się z kimś spotkać w Waszyngtonie?

– Nie. Nie знаła tam żywej duszy. Z taką niecierpliwością oczekiwała tego dnia, żeby... żeby... – Jej oczy znów napełniły się łzami. – Przepraszam, proszę mi wybaczyć.

– Oczywiście. Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas, pani gubernator.

Teraz Lonergan skierował swe kroki do kostnicy. Helen Chuan właśnie wychodziła z sali, gdzie dokonywano sekcji zwłok.

– No, no. Patrzcie, kto tu jest.

– Cześć, pani doktor.

– Co cię tu sprowadza, Frank?

– Chcę z tobą porozmawiać o Paulu Yerby.

Helen Chuan westchnęła.

– Cholernie szkoda chłopca. Te dzieciaki były takie młode.

– Dlaczego ten chłopiec popełnił samobójstwo?

– Jeśli tego nie zrobił, udało mu się to wspaniale zainscenizować. Pasek miał tak mocno zadzierzgnięty na szyi, że musieli go przeciąć, żeby zdjąć chłopca.

– Czy nie było na jego ciele innych śladów, niczego, co mogłoby nasuwać przypuszczenie, że to jakaś nieczysta sprawa?

Popatrzyła na niego zaciekawiona.

– Nie.

– Dobra. Dzięki. – Lonergan skinął głową. – Nie chcesz chyba, żeby twoi pacjenci czekali?

– Bardzo śmieszne.

Na korytarzu była budka telefoniczna. W informacji telefonicznej w Denver Frank dowiedział się, jaki jest numer telefonu rodziców Paula Yerby. Telefon odebrała pani Yerby. W jej głosie wyczuwało się zmęczenie.

– Halo.

– Pani Yerby?

– Tak.

– Przepraszam, że zakłócam pani spokój. Mówi Frank Lonergan. Jestem z „Washington Tribune”. Chciałbym...

– Nie mogę...

Chwilę później odezwał się pan Yerby:

– Przepraszam. Moja żona jest... Dziennikarze z różnych gazet cały ranek zakłócają nam spokój. Nie chcemy, żeby...

– To zabierze tylko minutę, panie Yerby. Jest parę osób w Waszyngtonie, które nie wierzą, że pański syn zabił Chloe Houston.

– Oczywiście, że nie zabił. – Jego głos nagle stał się silniejszy. – Paul nie mógłby nigdy, przenigdy zrobić czegoś takiego.

– Czy Paul miał jakichś przyjaciół w Waszyngtonie, panie Yerby?

– Nie. Nie znał tam nikogo.

– Rozumiem. No cóż, jeżeli mógłbym coś dla państwa zrobić...

– Jest coś, co może pan dla nas zrobić. Załatwiliśmy, żeby ciało Paula zostało przysłane tutaj, ale nie wiem, jak odzyskać jego rzeczy. Chcielibyśmy mieć wszystko, cokolwiek Paul... Gdyby pan mógł mi powiedzieć, z kim mam porozmawiać, żeby...

– Załatwię to państwu.

– Będziemy bardzo wdzięczni. Dziękuję.

W sekcji zabójstw sierżant dyżurny otwierał kartonowe pudło zawierające rzeczy osobiste Paula Yerby.

– Niewiele tego jest – powiedział. – Tylko ubranie tego dzieciaka i aparat fotograficzny.
Lonergan sięgnął do pudła i wyjął skórzany pasek.
Nie był przecięty.

Kiedy Frank Lonergan wszedł do biura sekretarki prezydenta Russella zajmującej się koordynacją jego spotkań, Deborah Kanner miała właśnie wyjść na lunch.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Frank?

– Mam problem, Deborah.

– Co nowego?

Frank udawał, że przegląda jakieś notatki.

– Poinformowano mnie, że piętnastego października prezydent miał tutaj tajne spotkanie z emisariuszem z Chin. Mieli rozmawiać o Tybecie.

– Nie wiem o żadnym takim spotkaniu.

– Mogłabyś sprawdzić to dla mnie?

– Jak mówiłeś, jaka to była data?

– Piętnastego października.

Lonergan obserwował, jak Deborah wyjmuje z szuflady terminarz spotkań i przerzuca pobieżnie jego kartki.

– Piętnastego października? O której to zebranie miało się odbyć?

– O dziesiątej wieczorem, tutaj, w Gabinetcie Ovalnym.

Potrząsnęła głową.

– Nie. O dziesiątej wieczorem tego dnia prezydent był na spotkaniu z generałem Whitmanem.

Lonergan zmarszczył brwi.

– Nic o tym nie słyszałem. Mogę zerknąć w tę książkę?

– Przykro mi. To jest poufne, Frank.

– Być może zostałem wprowadzony w błąd. Dzięki, Deborah.

Wyszedł.

Pół godziny później Frank Lonergan rozmawiał z generałem Steve'em Whitmanem.

– Generale, „Tribune” chciałaby zamieścić kilka reportaży na temat tego spotkania z prezydentem piętnastego października. Dowiedziałem się, że dyskutowano o kilku ważnych sprawach.

Generał potrząsnął głową.

– Nie wiem, skąd pan otrzymał takie informacje, panie Lonergan. To spotkanie zostało odwołane. Prezydent miał inne spotkanie w tym czasie.

– Jest pan pewny?

– Tak. Będziemy musieli wyznaczyć inny termin.

– Dziękuję panu, generale.

Frank Lonergan powrócił do Białego Domu. Znow wszedł do pokoju Deborah Kanner.

– O co chodzi tym razem, Frank?

– O to samo – odparł Lonergan ponuro. – Mój informator przysięga, że piętnastego października o dziesiątej wieczorem prezydent był tutaj na zebraniu z chińskim emisariuszem. Mieli dyskusję o Tybecie.

Popatrzyła na niego zirytowana.

– Ile razy mam ci powtarzać, że nie było tutaj takiego zebrania?

Lonergan westchnął.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co robić. Mój szef naprawdę chce drukować ten artykuł. To wielka sensacja. Chyba będziemy musieli jakoś sobie poradzić. – Ruszył ku drzwiom.

– Zaczekaj chwilę.

Odwrócił się.

– Nie możesz drukować tej historii. To nieprawda. Prezydent będzie wściekły.

– To nie moja decyzja.

Deborah zawahała się.

– Jeśli będę mogła ci udowodnić, że miał zebranie z generałem Whitmanem, zapomnisz o tym?

– Pewnie. Nie chcę stwarzać problemów. – Lonergan patrzył, jak Deborah wyciąga znow terminarz spotkań i przytka w kartki.

– Tu jest zapis spotkań prezydenta w tym dniu. Patrz. Piętnastego października. Dwie strony. – Deborah wskazała na godzinę dziesiątą wieczór. – Tutaj to jest, czarno na białym.

– Masz rację – powiedział Lonergan. Starannie badał wzrokiem tę stronę. Był jeszcze jakiś zapis z godziny trzeciej.

Chloe Houston.

Rozdział dziewiętnasty

Pośpiesznie zwołane zebranie w Gabinetcie Owalnym trwało zaledwie kilka minut, a atmosfera już była podminowana.

Sekretarz obrony mówił:

– Jeśli będziemy zwlekać jeszcze choć trochę dłużej, sytuacja całkowicie wymknie się nam spod kontroli.

– Nie możemy się do tego wtrącać. – Generał Stephen Gossard odwrócił się do przewodniczącego CIA. – Jak pewna jest pańska informacja?

– Trudno powiedzieć. Jesteśmy całkowicie pewni, że Libia kupuje broń od Iranu i Chin.

Oliver odwrócił się do sekretarza stanu.

– Libia zaprzecza temu?

– Oczywiście. Iran i Chiny także.

– A co z innymi państwami arabskimi? – zapytał Oliver.

Dyrektor CIA odpowiedział:

– Z informacji, jakie posiadam, panie prezydencie, wynika, że jeżeli nastąpi poważny atak na Izrael, będzie jasne, czemu inne arabskie państwa czekały. Połączą się, żeby zniszczyć Izrael.

Wszyscy patrzyli wyczekująco na Olivera.

– Czy ma pan jakichś ludzi w Libii?

– Tak, panie prezydencie.

– Potrzebuję potwierdzenia. Proszę mnie informować. Jeżeli będą jakieś sygnały o ataku, nie mamy wyboru. Musimy ruszyć.

Spotkanie zostało przesunięte na późniejszy termin.

W interkomie rozległ się głos sekretarki Olivera:

– Pan Tager chciałby się z panem zobaczyć, panie prezydencie.

– Niech wejdzie.

– Jak przebiegło spotkanie? – zapytał Peter Tager.

– Och, to było zwykłe rutynowe spotkanie w celu ustalenia, czy chcę rozpocząć wojnę teraz czy później – powiedział Oliver gorzko.

Tager powiedział współczująco:

– Chodzi o terytoria.

– Racja.

– Wydarzyło się coś interesującego?

– Siadaj.

Peter Tager usiadł.

– Co pan wie na temat Zjednoczonych Emiratów Arabskich?

– Niewiele – powiedział Oliver. – Pięć czy sześć państw arabskich połączyło się dwadzieścia lat temu czy coś koło tego, i utworzyło koalicję.

– Siedem. Zjednoczyły się w roku 1971. Abu Zabi, Al-Fudżajra, Dubaj, Szardża, Ras al-Chajma, Umm al-Kajwajn i Adżman. Kiedy zaczynały wspólne działania, nie były bardzo silne, ale wprost niewiarygodnie dobrze rządzone. Dzisiaj mają jeden z najwyższych standardów życia na świecie. Ich całkowita krajowa produkcja w ostatnim roku została oszacowana na trzydzieści dziewięć miliardów dolarów.

Oliver powiedział zniecierpliwiony:

– Przypuszczam, że to jest sedno sprawy, Peter?

– Tak, panie prezydencie. Przewodniczący rady Zjednoczonych Emiratów Arabskich chce się z panem spotkać.

– Dobrze. Będę z sekretarzem obrony...

– Dzisiaj. Prywatnie.

– Mówisz poważnie? Nie mógłbym w żaden sposób...

– Oliverze, medzlis, ich rada, jest organem mającym największy wpływ na świecie. Cieszy się szacunkiem wszystkich innych narodów arabskich. To mógłby być jakiś ważny przełom. Wiem, że to odbiega od ogólnie przyjętych zwyczajów, ale myślę, że powinieneś się z nim spotkać.

– Doprowadziłoby to rząd do ataku wściekłości, gdybym...

– Ja to wszystko załatwię.

Zapadła długa cisza.

– Gdzie oni chcą się spotkać?

– Mają jacht zakotwiczony w zatoce Cheseapeake, w pobliżu Annapolis. Mogę cię odwiedzić tam bez problemów.

Oliver siedział wpatrując się w sufit. W końcu pochylił się do przodu i nacisnął guziczek interkomu.

– Odwołaj moje dzisiejsze popołudniowe spotkania.

Jacht, mający dwieście dwanaście stóp długości, feadship, był zacumowany w doku. Czekano na niego. Całą załogę stanowili Arabowie.

– Witamy, panie prezydencie. – To był Ali al-Fulani, sekretarz ambasady Zjednoczonych Emiratów Arabskich. – Prosimy na pokład.

Oliver wszedł na pokład, Ali al-Fulani dał znak jednemu z mężczyzn i po kilku chwilach jacht został odcumowany.

– Możemy zejść na dół?

„No tak. Tutaj mogą mnie zabić albo porwać. To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem – stwierdził Oliver. – Może przywieźli mnie tutaj, żeby móc rozpocząć atak na Izrael, a ja nie będę mógł wydawać rozkazów, żeby zastosować środki odwetowe. Czemu, u diabła, pozwoliłem Tagerowi nakłonić się do tego?”

Oliver zszedł za Alim al-Fulani na dół po schodkach do okazałego głównego salonu, urządzonego w stylu orientalnym. Czterech muskularnych Arabów stało tu na straży. Imponującej postury mężczyzna siedział na kanapie. Wstał, kiedy Oliver wszedł do salonu.

Ali al-Fulani powiedział:

– Panie prezydencie, Jego Królewska Mość Hamad, król Adżmanu.

Panowie uścisnęli sobie dłonie.

– Wasza Królewska Mość...

– Dziękuję za przybycie, panie prezydencie. Napije się pan herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Wierzę, że pan uzna tę wizytę za wartą poświęcenia nam czasu. – Król Hamad zaczął chodzić po salonie. – Panie prezydencie, przez wieki całe trudno było, a czasem wręcz nie sposób, pokonać bariery, które nas dzielą – filozoficzne, językowe, religijne, kulturowe. To są przyczyny, dla których było tyle wojen w naszej części świata. Jeśli Żydzi zajmą kraj Palestyńczyków, nikogo w Omaha albo Kansas nie będzie to obchodzić. Tam życie będzie się toczyło tak samo. Jeśli zostanie zbombardowana synagoga w Jerozolimie, Włosi w Rzymie i w Wenecji nie zwrócą na to uwagi.

Oliver zastanawiał się, do czego to prowadzi. Czyżby to było ostrzeżenie przed nadciągającą wojną?

– Tylko jedna część świata cierpi z powodu wszystkich wojen i rozlewu krwi na Bliskim Wschodzie. To jest Bliski Wschód. – Król usiadł naprzeciwko Olivera. – Nadszedł czas, by położyć kres temu szaleństwu.

„Oto nadchodzi” – pomyślał Oliver.

– Władcy państw arabskich i medżlis upoważnili mnie do przedstawienia panu pewnej oferty.

– Jakiego rodzaju oferty?

– Proponujemy pokój.

Oliver zamrugnął oczami.

– Pokój?

– Chcemy zawrzeć pokój z pańskim sojusznikiem, Izraelem. Wasze embargo wobec Iranu i innych krajów arabskich kosztują miliardy dolarów. Chcemy położyć temu kres. Jeżeli Stany Zjednoczone wystąpią w roli mediatora, kraje arabskie – łącznie z Iranem, Libią i Syrią – zgodzą się usiąść i rozpocząć negocjacje w sprawie trwałego traktatu pokojowego z Izraelem.

Oliver siedział jak ogłuszony. Wreszcie odzyskał głos i powiedział:

– Robicie to, ponieważ...

– Zapewniam pana, że nie robimy tego z miłości do Izraelczyków ani do Amerykanów. Robimy to w naszym własnym interesie. Zbyt wielu naszych synów zostało zabitych w tym szaleństwie. Chcemy to zakończyć. Dosyć. Chcemy być wolni, aby móc sprzedawać znów naszą naftę światu. Jesteśmy gotowi przystąpić do wojny, jeżeli będzie to konieczne, ale wolelibyśmy pokój.

Oliver westchnął głęboko.

– Myślę, że z przyjemnością napiję się herbaty.

– Żałuję, że cię tam nie było – powiedział Oliver do Petera Tagera. – To było niewiarygodne. Są gotowi przystąpić do wojny, ale nie chcą. To pragmatycy. Chcą sprzedawać naftę światu, więc pragną pokoju.

– Fantastyczne! – zawołał Tager z entuzjazmem. – Kiedy to wyjdzie na jaw, będziesz bohaterem.

– I mogę to zrobić na własną rękę, nie musi być zatwierdzone przez Kongres. Będę musiał porozmawiać z premierem Izraela. Pomożemy mu zawrzeć układ z państwami arabskimi. – Spojrzał na Tagera i powiedział z ponurą miną: – Kiedy tam byłem, przez kilka minut myślałem, że zostanę porwany.

– To byłoby niemożliwe – zapewnił go Peter Tager. – Wysłałem za tobą łodzie i helikopter.

– Senator Davis chce się z panem zobaczyć, panie prezydencie. Nie jest umówiony, ale mówi, że to pilne.

– Przełoż na kiedy indziej moje następne spotkanie i poproś senatora.

Drzwi się otworzyły i Todd Davis wszedł do Gabinetu Ovalnego.

– Cóż to za miła niespodzianka, Todd. Wszystko w porządku?

Senator Davis usiadł.

– Świetnie, Oliverze. Tylko pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać.

Oliver się uśmiechnął.

– Mam zaplanowanych sporo zajęć na dzisiaj, ale dla ciebie...

– To zajmie nam tylko kilka minut. Wpadłem na Petera Tagera. Powiedział mi o twoim spotkaniu z Arabami.

Oliver uśmiechnął się szeroko.

– Czy to nie jest cudowne? Wygląda na to, że w końcu będziemy mieli pokój na Bliskim Wschodzie – trzasnął pięścią w biurko. – Po tylu latach. To dlatego moje rządy przejdą do historii, Todd.

– Przemyślałeś to, Oliverze?

– Co? O co ci chodzi?

– Pokój to proste słowo, ale ma mnóstwo implikacji. Pokój nie przynosi żadnych finansowych korzyści. Kiedy trwa jakaś wojna, kraje biorące w niej udział kupują warte miliardy dolarów uzbrojenie, które jest produkowane tutaj, w Stanach Zjednoczonych. W czasie pokoju jest im ono niepotrzebne. Skoro Iran nie może sprzedawać swojej ropy, jej ceny rosną i Stany Zjednoczone czerpią z tego korzyści.

Oliver przysłuchiwał się senatorowi z niedowierzaniem.

– Todd, to jest okazja, jaka się przytrafia tylko raz w życiu.

– Nie bądź naiwny, Oliverze. Gdybyśmy naprawdę pragnęli pokoju między Izraelem i krajami arabskimi, moglibyśmy do tego doprowadzić dawno temu. Izrael to mały kraj. Żaden z ostatnich sześciu prezydentów nie mógł zmusić ich do zawarcia układu z Arabami, woleli zachować dotychczasowy stan rzeczy. Nie zrozum mnie źle. Żydzi to świetni ludzie. Pracuję z kilkoma w senacie.

– Nie wierzę, że mógłbyś...

– Wierz, w co chcesz. Traktat pokojowy nie leżałby teraz w interesie naszego kraju. Nie chcę, żebyś zaczynał coś robić w tej sprawie.

– Muszę to zrobić.

– Nie mów mi, co musisz zrobić, Oliverze. – Senator Davis pochylił się do przodu. – Coś ci powiem. Nie zapominaj, dzięki komu siedzisz na tym krześle.

– Todd, możesz nie szanować mnie, ale musisz mieć respekt dla tego urzędu. Bez względu na to, dzięki komu go otrzymałem, jestem prezydentem.

Senator zerwał się na nogi.

– Prezydentem? Jesteś, kurwa, nadmuchaną zabaweczką. Jesteś moją marionetką, Oliverze. Otrzymujesz rozkazy, a nie wydajesz.

Oliver patrzył na niego przez długą chwilę.

– Ile pól naftowych masz ty i twoi przyjaciele, Todd?

– To nie twój zasrany interes. Jeśli przeprowadzisz to, co zamierzasz, jesteś skończony. Słyszysz mnie? Daję ci dwadzieścia cztery godziny, żebyś się opamiętał.

Tego wieczoru przy kolacji Jan powiedziała:

– Ojciec prosił mnie, żebym z tobą porozmawiała, Oliverze. Jest bardzo zdenerwowany.

Oliver popatrzył przez stół na żonę i pomyślał: „Z tobą także będę musiał stoczyć walkę”.

– Powiedział mi, co się dzieje.

– Naprawdę?

– Tak. – Pochyliła się nad stołem ku niemu. – I uważam, że to, co masz zamiar zrobić, jest cudowne.

Dopiero po chwili Oliver pojął sens jej słów.

– Ale twój ojciec jest temu przeciwny.

– Wiem. Ale on się myli. Jeżeli oni chcą zawrzeć pokój, musisz pomóc.

Oliver siedział przysłuchując się słowom Jan i pilnie jej się przypatrując. Pomyślał, jak dobrze sobie radzi jako pierwsza dama. Zaangażowała się w poważne akcje charytatywne i była rzecznikiem wielu większych spraw. Była śliczna, inteligentna i opiekuńcza. – Oliverowi wydawało się, że widzi ją po raz pierwszy – „Dlaczego biegałem dookoła? – pomyślał. – Tutaj właśnie mam wszystko, czego potrzebuję”.

– Czy to dzisiejsze zebranie będzie długie? – zapytała Jan.

– Nie. – powiedział Oliver wolno. – Mam zamiar je odwołać. Zostaję w domu.

Tego wieczoru Oliver kochał się z Jan po raz pierwszy od wielu tygodni i było im cudownie. A rano pomyślał: „Będę musiał powiedzieć Peterowi, żeby się pozbył tego apartamentu”.

Następnego ranka zastał na biurku notatkę:

Chcę, żeby pan wiedział, że jestem naprawdę pańskim fanem i nie zrobiłbym niczego, żeby panu zaszkodzić. Byłem w garażu hotelu Monroe Arms piętnastego i bardzo się zdziwiłem, że tam pana zobaczyłem. Następnego dnia, kiedy przeczytałem o zamordowaniu tej młodej dziewczyny, zrozumiałem, dlaczego pan wrócił, żeby wytrzeć ślady swoich palców z guzików w windzie. Jestem pewny, że wszystkie gazety będą zainteresowane moją relacją i zapłacą mi mnóstwo pieniędzy. Ale, jak powiedziałem, jestem pańskim fanem. Nie chciałbym zrobić nic, żeby pana skrzywdzić. Mógłbym dostać jakąś finansową pomoc i jeśli to pana interesuje, pozostanie to między nami. Skontaktuję się z panem za kilka dni, kiedy pan to sobie przemyśli.

Szczerze oddany

Przyjaciel

– Jezu! – powiedział cicho Sime Lombardo. – To niewiarygodne. Jak to zostało doręczone?

– Przez pocztę – powiedział Peter Tager. – Zaadresowane do prezydenta. „Do rąk własnych”.

– Może to jakiś dziwak, który po prostu próbuje... – zaczął Lombardo.

– Nie możemy ryzykować, Sime. Nie wierzyłem nawet przez minutę, że to prawda, ale gdyby choć szept na ten temat wydostał się stąd, to by zniszczyło prezydenta. Musimy go chronić.

– Jak to zrobić?

– Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, kto to przysłał.

Peter Tager był w Głównym Federalnym Biurze Śledczym przy Pennsylvania Avenue i rozmawiał z agentem specjalnym Clayem Jacobsem.

– Mówisz, Peter, że to pilne?

– Tak. – Tager otworzył teczkę i wyjął z niej pojedynczą kartkę papieru. Posunął ją po biurku. Clay Jacobs wziął kartkę do ręki i przeczytał na głos:

– Chcę, żeby pan wiedział, że jestem naprawdę pańskim fanem... Skontaktuję się z panem w ciągu kilku dni, kiedy pan to sobie przemyśli.

Wszystko, co było między tymi zdaniem, zostało wymazane.

Jacobs podniósł wzrok.

– Co to jest?

– Chodzi o zapewnienie największego bezpieczeństwa – odparł Peter Tager. – Prezydent prosił mnie, żebym spróbował się dowiedzieć, kto to wysłał. Chciałby, żeby zbadać na tym odciski palców.

Clay Jacobs przeczytał kartkę jeszcze raz i zmarszczył czoło.

– To niezwykle, Peter.

– Dlaczego?

– Po prostu brzydko pachnie.

– Wszystko, czego prezydent żąda, to żebyś podał mu nazwisko osobnika, który to napisał. Zakładając, że są na tym odciski jego palców.

– Zaczekaj tutaj. – Jacobs wstał i wyszedł z pokoju.

Peter siedział, wyglądał przez okno i myślał o tym, jakie ten list może mieć okropne konsekwencje.

Dokładnie siedem minut później Clay Jacobs powrócił.

– Masz szczęście – powiedział.

Serce Petera Tagera zaczęło walić.

– Znalazłeś coś?

– Tak. – Jacobs podał Tagerowi świstek papieru. – Człowiek, którego szukasz, był jakiś rok temu zamieszany w wypadek samochodowy. Nazywa się Carl Gorman. Pracuje w hotelu Monroe Arms. – Stał przez chwilę przyglądając się z zaciekawieniem Tagerowi. – Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś mi powiedzieć na ten temat?

– Nie – powiedział Peter szczerze. – Już nic.

- Dzwoni Frank Lonergan, panno Stewart. Mówi, że to pilne.
- Odbiorę. – Leslie podniosła słuchawkę i nacisnęła guzik. – Frank?
- Jesteś sama?
- Tak.

Słyszała, jak nabiera głęboko powietrza.

- Dobra. No to słuchaj. – Przez następne dziesięć minut mówił bez przerwy.

Leslie Stewart wpadła do biura Matta Bakera.

– Matt, musimy porozmawiać. – Usiadła naprzeciwko jego biurka. – Co byś powiedział, gdybym cię powiadomiła, że Oliver Russell jest zamieszany w morderstwo Chloe Houston?

– To jest puszka Pandory. Uznałbym, że to paranoja i że przebrałaś miarę.

– Przed chwilą zadzwonił Frank. Rozmawiał z panią gubernator Houston, która nie wierzy, że Paul zabił jej córkę. Rozmawiał także z rodzicami Paula Yerby. Oni także w to nie wierzą.

– Nie spodziewałem się, że uwierzą – powiedział Matt Baker. – Jeśli to jest jedyne...

– To dopiero początek. Frank poszedł do kostnicy i rozmawiał z panią koroner. Powiedziała mu, że pasek tego dzieciaka był tak mocno zaciśnięty na jego szyi, że musieli go przecinać.

Słuchał z coraz większą uwagą.

– I...

– Frank zszedł na dół, żeby zabrać rzeczy należące do Paula Yerby. Pasek także tam był. Nienaruszony.

Matt Baker westchnął głęboko.

– Uważasz, że on został zamordowany w więzieniu i że to zatuszowano?

– Niczego nie sugeruję. Po prostu relacjonuję fakty. Oliver Russell próbował mnie kiedyś namówić, żebym spróbowała superekstazy. Kiedy ubiegał się o stanowisko gubernatora, pewna kobieta, jego asystentka, umarła po zażyciu superekstazy. A gdy już został gubernatorem, jego sekretarkę znaleziono w parku w stanie śpiączki wywołanej superekstazą. Lonergan dowiedział się, że Oliver dzwonił do szpitala i radził, żeby ją odłączyć od aparatury podtrzymującej życie. – Leslie pochyliła się do przodu. – Dzwoniono z Apartamentu Królewskiego do Białego Domu tej nocy, kiedy Chloe Houston została zamordowana. Frank chciał to sprawdzić w rejestrach rozmów telefonicznych. Okazało się, że strony z piętnastego października brakuje. Sekretarka zajmująca się koordynacją spotkań prezydenta powiedziała Lonerganowi, że prezydent owej nocy miał spotkanie z generałem Whitmanem. Nie było żadnego spotkania. Frank rozmawiał z panią gubernator Houston i ona mu powiedziała, że Chloe była na wycieczce w Waszyngtonie, w czasie której mieli zwiedzać Biały Dom, i że załatwiła dla swojej córki spotkanie z prezydentem.

Zapadła długa cisza.

- Gdzie jest teraz Frank Lonergan? – zapytał Matt Baker.
- Próbuje odnaleźć Carla Gormana, recepcjonistę, który rezerwował dla kogoś Królewski Apartament.

Jeremy Robinson mówił:

- Przykro mi. Nie udzielamy osobom obcym informacji o naszych pracownikach.
 - Pytam tylko o jego adres domowy, żebym mógł... – powiedział Frank Lonergan.
 - Nic panu z tego nie przyjdzie. Pan Gorman jest na urlopie.
- Lonergan westchnął.
- Szkoda. Miałem nadzieję, że będzie mógł pomóc w uzupełnieniu kilku luk.
 - Luk?
 - Tak. Przygotowujemy wielki reportaż na temat śmierci w waszym hotelu córki pani gubernator Houston. No, trudno, będę musiał poskładać to wszystko do kupy bez Gormana. – Wyjął notes i pióro. – Jak długo istnieje ten hotel? Chcę się dowiedzieć wszystkiego o jego historii, jego klienteli, jego...

Jeremy Robinson zmarszczył czoło.

- Proszę poczekać. To na pewno nie jest konieczne. To znaczy... mogła przecież umrzeć wszędzie.

Frank Lonergan powiedział współczująco:

- Wiem, ale to się stało tutaj. Pański hotel stanie się taki sławny jak Watergate.
- Panie...
- Lonergan.
- Panie Lonergan, byłbym wdzięczny, gdyby pan mógł... pan rozumie, tego rodzaju popularność jest bardzo szkodliwa. Jeśli jest jakiś sposób...

Lonergan myślał przez chwilę.

- No cóż, gdybym mógł porozmawiać z panem Gormanem, przypuszczam, że znalazłbym inny punkt widzenia.
- Byłbym panu naprawdę za to wdzięczny. Niech pan zaczeka, poszukam adresu pana Gormana.

Frank Lonergan zaczynał się denerwować. Kiedy wypadki zarysowały się wyraźniej, zrozumiał, że morderstwo zostało zatuszowane i to na najwyższym szczeblu. Przed spotkaniem z pracownikiem hotelu postanowił wpaść na chwilę do domu. Jego żona Rita właśnie przygotowywała w kuchni obiad. Była małym rudzielcem o błyszczących zielonych oczach i jasnej cerze. Odwróciła się zdziwiona na widok wchodzącego męża.

- Frank, co robisz w domu w środku dnia?
- Pomyślałem sobie, że wpadnę, żeby powiedzieć ci „cześć”.

Przyjrzała się jego twarzy.

- Nie. Coś się dzieje. Co to takiego?
- Ile czasu upłynęło od twojej ostatniej wizyty u matki?
- Widziałam się z nią w zeszłym tygodniu. Bo co?
- Dlaczego nie pojedziesz do niej znowu, kochanie?
- Czy coś się stało?

Uśmiechnął się szeroko.

– Stało. – Podszedł do obramowania kominka. – Lepiej zacznij to odkurzać. Postawimy tutaj nagrodę Pulitzera i nagrodę Peabody.

– O czym ty mówisz?

– Jestem bliski odkrycia czegoś, co wysadzi wszystkich ze stołków... mam na myśli ludzi na wysokich stanowiskach. To najbardziej ekscytująca historia, w jakiej kiedykolwiek brałem udział.

– Dlaczego chcesz, żebym pojechała zobaczyć się z matką?

Wzruszył ramionami.

– Istnieje znikoma możliwość, że to się może stać trochę niebezpieczne. Niektórzy ludzie nie chcą, żeby ta historia ujrzała światło dzienne. Czułbym się lepiej, gdybyś wyjechała na kilka dni, tylko do czasu, aż to się wyjaśni.

- Ale jeśli tobie grozi niebezpieczeństwo...
- Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.
- Jesteś pewny, że nic ci się nie stanie?
- Stanowczo. Zapakuj trochę rzeczy. Jutro do ciebie zadzwonię.
- Dobrze – powiedziała Rita niechętnie.
- Odwiozę cię na dworzec.

Godzinę później Lonergan zatrzymał się przed skromnym ceglanym domem w okolicy Wheaton. Wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi frontowych i nacisnął guzik. Nie było odpowiedzi. Zadzwoił jeszcze raz i czekał. Nagle drzwi otworzyły się na oścież i na progu stanęła otyła kobieta w średnim wieku, spoglądając na niego podejrzliwie.

– Słucham?

– Jestem z urzędu skarbowego – przedstawił się Lonergan. Mignął identyfikatorem. – Chcę się widzieć z Carlem Gormanem.

– Brata nie ma.

– Wie pani, gdzie jest?

– Nie. – Odpowiedź padła zbyt szybko.

Lonergan skinął głową.

– Szkoda. No cóż, może pani zacząć pakować jego rzeczy. Będę musiał przysłać z wydziału ciężarówki. – Ruszył podjazdem do swojego samochodu.

– Niech pan zaczeka. Jakie ciężarówki? O czym pan mówi?

Lonergan zatrzymał się i odwrócił.

– Brat pani nie mówił?

– O czym miał mówić?

Lonergan zrobił kilka kroków w kierunku domu.

– Ma kłopoty.

Popatrzyła na niego z niepokojem.

– Jakie kłopoty?

– Niestety, nie wolno mi o tym rozmawiać. – Pokręcił głową. – Sprawia wrażenie miłego faceta.

– Jest taki – zapewniła żarliwie. – Carl to cudowny człowiek.

Lonergan skinął potakująco głową.

– Takie odniosłem wrażenie, kiedy go przesłuchiwałem w biurze.

Zacząła wpadać w panikę.

– Przesłuchiwałem go? W jakiej sprawie?

– Oszustwa podatkowego. Szkoda. Chciałem mu powiedzieć o pewnej furtce, która mogłaby mu pomóc wyjść z kłopotu, ale... – Wzruszył ramionami. – Skoro go tu nie ma... – Znowu odwrócił się, żeby odejść.

– Niech pan zaczeka! On jest... w klubie wędkarzy Szczęśliwy Połów. Miałam... miałam nikomu o tym nie mówić.

Znowu wzruszył ramionami.

– Mnie może pani powiedzieć.

– Nie... ale to co innego. To jest klub wędkarzy Szczęśliwy Połów na jeziorze w Richmond, w stanie Virginia.

– Świetnie. Skontaktuję się tam z nim.

– Byłoby cudownie. Jest pan pewien, że wszystko będzie dobrze?

– Oczywiście – powiedział Lonergan. – Dopilnuję, żeby się nim zaopiekowano.

Lonergan wsiadł do I-95 lecącego na południe. Richmond było oddalone o około sto mil. Przed laty, w czasie wakacji, łowił ryby w tym jeziorze i szczęście mu dopisywało.

Miał nadzieję, że teraz też mu dopisze.

Mzył drobny kapuśniaczek, ale Carl Gorman nie zwracał na to uwagi. Przy takiej pogodzie ryby powinny brać. Łowił pręgowane okonie, używając jako przynęty drobnego żywca, który dryfował daleko za łodzią wiosłową. Fale pluskały o małą łódkę na środku jeziora, a przynęta pozostawała nie tknięta z tyłu. Rybom się nie spieszyło. To nie miało znaczenia. Jemu też nie. Nigdy nie czuł się szczęśliwszy. Będzie bogaty; to wykraczało ponad jego najśmielsze marzenia. Po prostu dopisało mu szczęście. „Trzeba się tylko znaleźć na właściwym miejscu we właściwym czasie”. Wrócił do hotelu Monroe Arms po marynarkę i

już miał wyjść z garażu, kiedy otworzyły się drzwi prywatnej windy. Widząc, kto z niej wysiada, oszołomiony usiadł z powrotem w samochodzie. Obserwował tego mężczyznę, jak wraca, wyciera ślady palców, a potem odjeżdża.

Dopiero nazajutrz, gdy przeczytał o morderstwie, poskładał sobie to wszystko w jedną całość. W jakimś sensie było mu żal tego mężczyzny. „Ja naprawdę jestem jego fanem. Kłopot w tym, że jak człowiek jest taki sławny, nigdy nie może się ukryć. Dokądkolwiek pójdziesz, świat cię rozpozna. On mi zapłaci, żebym milczał. Nie ma wyboru. Zacznę od stu tysięcy. Jak raz zapłaci, będzie nadal płacił. Może kupię sobie zamek we Francji albo domek letni w Szwajcarii?”

Poczuł szarpnięcie na końcu linki i pociągnął wędkę ku sobie. Czuł, że ryba próbuje się uwolnić. „Nigdzie nie uciekniesz. Złapałem cię na haczyk”.

Nagle usłyszał zbliżający się z oddali duży ślizgacz. „Nie powinni wpuszczać na jezioro łodzi motorowych. Wystraszą wszystkie ryby”. Ślizgacz płynął prosto na niego.

– Nie zbliżaj się zanadto! – krzyknął Carl. Ślizgacz chyba nie miał zamiaru go ominąć. – Hej! Uważaj. Patrz, dokąd płyniesz. Na litość boską...

Ślizgacz wrył się w małą łódź wiosłową, przecinając ją na pół. Woda wessała Gormana pod powierzchnię. „Cóż za cholerny idiota!” Gorman próbował złapać oddech. Udało mu się wychylić głowę nad powierzchnię wody. Ślizgacz krążył dookoła i znów skierował się prosto na niego. Ostatnią rzeczą, jaką Gorman poczuł, zanim łódź zgruchotała mu czaszkę, było szarpnięcie ryby na końcu wędki.

Kiedy Frank Lonergan przyjechał, nad jeziorem stało pełno wozów policyjnych, wóz strażacki i karetka pogotowia. Karetka właśnie odjeżdżała.

Frank wysiadł z samochodu i zapytał jakiegoś widza:

– Co to za zamieszanie?

– Jakiś biedny facet zginął w wypadku na jeziorze. Niewiele z niego zostało.

Lonergan już wiedział, co się stało.

O północy Frank Lonergan pracował na swoim komputerze. Był sam w mieszkaniu. Relacjonował fakty, które miały zniszczyć prezydenta Stanów Zjednoczonych. To będzie reportaż, za który dostanie nagrodę Pulitzera. Nie miał co do, tego żadnych wątpliwości. Dzięki temu stanie się bardziej sławny niż Woodward i Bernstein. To była najszlachetniejsza historia tego wieku.

Przerwał mu dźwięk dzwonka. Wstał i podszedł do drzwi frontowych.

– Kto to?

– Paczka od Leslie Stewart.

„Zdołała jakieś nowe informacje”. Otworzył drzwi. Błysnął metal i nieznośny ból rozdarł mu pierś.

I potem juž nic.

Rozdział dwudziesty

Salon Lonergana wyglądał tak, jakby przeszedł tędy miniaturowy huragan. Wszystkie szuflady były powyciągane, wszystkie szafy pootwierane, a ich zawartość porzrzucana po całej podłodze.

Nick Reese patrzył, jak wynoszą ciało Franka Lonergana. Odwrócił się do detektywa Steve'a Browna.

– Ani śladu narzędzia zbrodni?

– Nie.

– Rozmawiałeś z sąsiadami?

– Tak. Ten dom przypomina ZOO pełne małp. Nic nie widzieli, nic nie słyszeli, nic nie powiedzą. *Nada*. Pani Lonergan jest w drodze. Usłyszała wiadomość przez radio. Było tutaj kilka innych rozbojów w ciągu ostatnich paru miesięcy i...

– Nie jestem pewien, czy to był rozbój.

– Co masz na myśli?

– Lonergan był w wydziale, żeby zajrzeć do rzeczy Paula Yerby. Chciałbym wiedzieć, nad czym on pracował. W szufladach nie było żadnych papierów?

– Nic.

– Żadnych notatek?

– Niczego.

– Więc albo Lonergan był bardzo pedantyczny, albo ktoś zadał sobie trud, żeby wszystko wyczyścić. – Reese podszedł do stolika, przy którym zazwyczaj pracował dziennikarz. Zwisiał z niego jakiś do niczego nie podłączony kabel. Reese podniósł go do góry. – Co to jest? – zapytał.

Detektyw Brown podszedł do niego.

– To kabel od komputera. Musiał tu więc być jakiś komputer. To znaczy, że gdzieś tu może być zasilanie awaryjne.

– Mogli zabrać komputer, ale Lonergan mógł mieć dyskietki. Sprawdźmy to.

Znaleźli dyskietki w teczce w samochodzie Lonergana.

Reese podał je Brownowi.

– Zabierz na komendę. Tam jest prawdopodobnie hasło, jak się do tego dostać. Niech Chris Colby na to zerknie. On jest ekspertem.

Otworzyły się drzwi frontowe i weszła Rita Lonergan. Była blada i półprzytomna. Zatrzymała się, zobaczywszy tyłu mężczyzn.

– Pani Lonergan?

– Kim panowie...?

– Detektyw Nick Reese. Wydział zabójstw. A to detektyw Brown.

Rita Lonergan rozejrzała się dokoła.

– Gdzie jest...?

– Zabraliśmy ciało pani męża, pani Lonergan. Strasznie mi przykro. Wiem, że to nieodpowiedni moment, ale chciałbym pani zadać kilka pytań.

Spojrzała na niego i nagle w jej oczach pojawił się lęk. Tej ostatniej reakcji Reese się spodziewał. Czego ona się boi?

– Pani mąż pracował nad jakąś sprawą, prawda?

Głos Franka jak echo zabrzmiał w jej pamięci: „Pracuję nad czymś, co wysadzi wszystkich ze stołków... mam na myśli ludzi na wysokich stanowiskach. To najbardziej ekscytująca sprawa, nad jaką kiedykolwiek pracowałem”.

– Pani Lonergan?

– Ja... ja nic nie wiem.

– Nie wie pani, nad jakim zadaniem pracował?

– Nie. Frank nigdy nie rozmawiał ze mną o swojej pracy.

Oczywiście kłamała.

– Nie ma pani pojęcia, kto go zabił?

Popatrzyła na otwarte szuflady i szafy.

– To... to musiał być jakiś włamywacz.

Detektyw Reese i detektyw Brown popatrzyli na siebie.

– Jeśli panowie pozwolą to... chciałabym zostać sama. To był dla mnie straszny szok.

– Oczywiście. Czy moglibyśmy w czymś pomóc?

– Nie. Tylko wyjdźcie.

– Wrócimy tu – obiecał Nick Reese.

Po powrocie na komendę detektyw Reese zatelefonował do Matta Bakera.

– Prowadzę dochodzenie w sprawie zamordowania Franka Lonergana – powiedział. – Może mi pan powiedzieć, nad czym pracował?

– Tak. Frank prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa Chloe Houston.

– Rozumiem. Czy zapisał to, czego się dowiedział?

– Nie. Czekaliśmy na jakieś materiały, kiedy... – Przerwał.

– Rozumiem. Dziękuję, panie Baker.

- Jeśli zdobędzie pan jakieś informacje, powiadomi mnie pan?
- W pierwszej kolejności – obiecał Reese.

Następnego ranka Dana Evans poszła do biura Toma Hawkinsa.

- Chcę zrobić reportaż o śmierci Franka. Chciałabym się zobaczyć z jego żoną.
- Dobry pomysł. Postaram ci się o kamerzystów.

Późnym popołudniem Dana i jej kamerzyści zatrzymali się przed frontem budynku, w którym mieszkał Lonergan. Z kamerzystami podążającymi tuż za nią Dana podeszła do drzwi mieszkania Franka i nacisnęła dzwonek. To był ten rodzaj wywiadu, którego Dana zawsze się obawiała. Wystarczająco okropne było pokazywanie w telewizji ofiar strasznych zbrodni, ale rozdrapywanie ran pogrążonych w smutku rodzin wydawało jej się jeszcze gorsze.

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła Rita Lonergan.

– Czego państwo...?

– Przepraszam, że zakłócamy pani spokój, pani Lonergan. Nazywam się Dana Evans. Chcielibyśmy się dowiedzieć, jak pani zareagowała na...

Rita Lonergan zeszywniała na chwilę, po czym krzyknęła:

– Mordercy! – Odwróciła się i uciekła w głąb mieszkania.

Dana, zaszokowana, popatrzyła na kamerzystów.

– Zaczekajcie tutaj. – Weszła do mieszkania i znalazła Ritę Lonergan w sypialni. – Pani Lonergan...

– Wynoście się! Zabiliście mojego męża.

Dana była zaskoczona.

– O czym pani mówi?

– Wasi ludzie wyznaczyli mu zadanie tak niebezpieczne, że kazał mi wyjechać z miasta, ponieważ... ponieważ lękał się o moje życie.

Dana patrzyła na nią przerażona.

– Nad czym pani mąż pracował?

– Frank mi nie mówił. – Starła się opanować histerię. – Powiedział, że to jest zbyt... zbyt niebezpieczne. To było coś ogromnie ważnego. Wspominał coś o nagrodzie Pulitzera i... – Zaczęła płakać.

Dana podeszła i objęła ją.

– Tak mi przykro. Powiedział coś jeszcze?

– Tylko to, że powinnam wyjechać, i odwiózł mnie na dworzec. Wybierał się na spotkanie z jakimś pracownikiem hotelu.

– Dokąd?

– Do Monroe Arms.

– Nie wiem, po co pani tu przyszła, panno Evans – zaprotestował Jeremy Robinson. – Lonergan obiecał mi, że jeżeli będę współpracował, nie będzie żadnej złej prasy o tym hotelu.

– Panie Robinson, pan Lonergan nie żyje. Ja potrzebuję jedynie kilku informacji.

Jeremy Robinson potrząsnął głową.

– Ja nic nie wiem.

– Co pan powiedział panu Lonerganowi?

Robinson westchnął.

– Pytał o adres Carla Gormana, mojego pracownika.

– Czy pan Lonergan pojechał, żeby się z nim zobaczyć?

– Nie mam pojęcia.

– Chciałabym znać ten adres.

Robinson patrzył na nią przez chwilę i znów westchnął.

– Dobrze. On mieszka ze swoją siostrą.

Po pięciu minutach Dana miała adres Gormana w ręku. Robinson obserwował ją, jak wychodzi z hotelu, a potem podniósł słuchawkę i nakręcił numer Białego Domu.

Zastanawiał się, dlaczego tak ich interesuje ta sprawa.

Chris Colby, wydziałowy ekspert od komputerów, wszedł do gabinetu detektywa Reese'a, trzymając w ręku wydruk komputerowy. Niemal drżał z podniecenia.

– Co stwierdziłeś?

Chris Colby odetchnął głęboko.

– Nie uwierz pan! Tutaj jest wydruk zawartości dyskietki.

Detektyw Reese zaczął czytać i wyraz niedowierzania pojawił się na jego twarzy.

– Matko Boska! Muszę to pokazać kapitanowi Millerowi.

Kapitan Miller skończył czytać wydruk i podniósł wzrok na detektywa Reese'a.

– Ja... nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Bo nigdy nic takiego się nie wydarzyło – powiedział detektyw Reese.

– Co my, u diabła, z tym zrobimy?

– Myślę, że musimy to przekazać prokuratorowi generalnemu Stanów Zjednoczonych.

Zebrali się w biurze prokuratora generalnego Barbary Gatlin. Wraz z nią w pokoju byli Scott Brandon, dyrektor FBI, Dean Bergstrom, komendant waszyngtońskiej policji, James Frisch, dyrektor Ośrodka Kontrwywiadu, i Edgar Graves, prezes Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

Barbara Gatlin rozpoczęła zebranie.

– Poprosiłam was, panowie, tutaj, ponieważ potrzebuję waszej rady. Szczerze mówiąc nie wiem, jak postąpić. Sytuacja jest wyjątkowa. Frank Lonergan pracował w „Washington Tribune”. Kiedy został zabity, był w połowie dochodzenia w sprawie zamordowania Chloe

Houston. Przeczytam panom kopię tego, co policja znalazła na dyskietce w samochodzie Lonergana. – Popatrzyła na trzymany w rękę wydruk i zaczęła głośno czytać: – „Mam podstawy, by uważać, że prezydent Stanów Zjednoczonych popełnił co najmniej jedno morderstwo i jest współwinny jeszcze czterech...”

– Co? – krzyknął Scott Brandon.

– Pozwólcie mi kontynuować.

Zaczęła znów czytać.

– „Otrzymałem z różnych źródeł następujące informacje: Leslie Stewart, właścicielka i wydawca «Washington Tribune», jest gotowa przysiąc, że Oliver Russell próbował ją kiedyś namówić do zażycia nielegalnie produkowanego narkotyku w płynie o nazwie superekstaza. Kiedy Oliver Russell ubiegał się o stanowisko gubernatora stanu Kentucky, Lisa Burnett, asystentka, która pracowała w Kapitolu, groziła, że go zaskarży do sądu o molestowanie seksualne. Russell powiedział jej, że z nią porozmawia. Następnego dnia ciało Lisy Burnett zostało znalezione w rzece Kentucky. Umarła na skutek przedawkowania superekstazy. Potem sekretarkę gubernatora Olivera Russella, Miriam Friedland, znaleziono późną nocą nieprzytomną na ławce w parku. Znajdowała się w stanie śpiączki wywołanej przez płyn superekstaza. Policja czekała, aż z niej wyjdzie, żeby się dowiedzieć, kto dał jej ten narkotyk. Oliver telefonował do szpitala i sugerował, żeby ją odłączyć od aparatury podtrzymującej życie. Miriam Friedland zmarła, nie obudzwszy się ze śpiączki. Chloe Houston zabiło przedawkowanie płynu superekstaza. Dowiedziałem się, że w noc jej śmierci ktoś dzwonił z hotelowego apartamentu do Białego Domu. Przejrzałem hotelowy spis odbytych rozmów telefonicznych, żeby to sprawdzić, i stwierdziłem brak kartki z tego dnia. Powiedziano mi, że prezydent tego wieczoru był na zebraniu, ale okazało się, że to zebranie zostało odwołane. Nikt nie wie, gdzie prezydent przebywał tej nocy. Paul Yerby został zatrzymany jako podejrzany o zamordowanie Chloe Houston. Kapitan Otto Miller powiedział w Białym Domu, gdzie Yerby jest trzymany. Następnego dnia rano Yerby’ego znaleziono martwego w jego celi. Miał się rzekomo sam powiesić na swoim pasku, ale kiedy przeglądałem jego rzeczy na posterunku policji, okazało się, że znajduje się tam także jego pasek. Nienaruszony. Od przyjaciela z FBI dowiedziałem się, że ktoś przysłał do Białego Domu list z szantażem. Prezydent Russell poprosił FBI, żeby sprawdzili na nim odciski palców. Większość listu została zamalowana na białą, ale za pomocą infraskopu FBI mogło ją odcyfrować. Okazało się, że odciski palców należą do Carla Gorman, pracownika hotelu Monroe Arms. Prawdopodobnie tylko on mógł znać osobę, która zarezerwowała apartament, gdzie ta dziewczyna została zabita. Był nieobecny, wyjechał na ryby, ale jego nazwisko zostało ujawnione w Białym Domu. Kiedy przyjechałem do tego obozu, okazało się, że Gorman zginął w wypadku na jeziorze. Zbyt wiele jest powiązań między tymi morderstwami, żeby mogły być przypadkowe. Będę prowadził dalej to śledztwo, ale, szczerze mówiąc, jestem

przerażony. Przynajmniej tyle pozostawiam na tej dyskietce na wypadek, gdyby coś się ze mną stało. Więcej na ten temat później”.

– Mój Boże! – krzyknął James Frisch. – To jest... straszne.

– Nie mogę wprost w to uwierzyć.

Prokurator generalny powiedziała:

– Lonergan uwierzył i został prawdopodobnie zabity, żeby te informacje nie wydostały się na zewnątrz.

– Co teraz zrobimy? – zapytał prezes Sądu Najwyższego, Graves. – Jak zapytać prezydenta Stanów Zjednoczonych, czy zabił pół tuzina ludzi?

– To dobre pytanie. Postawić go w stan oskarżenia? Aresztować? Wtrącić do więzienia?

– Zanim cokolwiek zrobimy – powiedziała prokurator generalny Gatlin – musimy przedstawić ten wydruk prezydentowi, żeby miał możliwość skomentowania tego wszystkiego.

Rozległy się szepty aprobaty.

– Tymczasem przygotuję nakaz sądowy aresztowania prezydenta. Po prostu na wypadek, gdyby okazał się potrzebny.

Jeden z mężczyzn obecnych w pokoju pomyślał: „Muszę poinformować o tym Petera Tagera”.

Peter Tager odłożył słuchawkę telefonu i długo siedział myśląc o tym, co właśnie przed chwilą mu powiedziano. Potem wstał i ruszył korytarzem do kancelarii Deborah Kanner.

– Muszę się widzieć z prezydentem.

– Jest na zebraniu. Jeśli może pan...

– Muszę się z nim zobaczyć natychmiast, Deborah. To pilne.

– Chwileczkę.

Widząc wyraz jego twarzy, nacisnęła guzik interkomu.

– Przepraszam, że panu przerywam, panie prezydencie. Jest tutaj pan Tager i mówi, że musi się z panem zobaczyć. – Słuchała przez chwilę. – Dziękuję. – Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Tagera. – Za pięć minut.

Po pięciu minutach Peter Tager znalazł się sam z prezydentem Russellem w Gabinetcie Ovalnym.

– Cóż to jest takie ważne, Peter?

Peter wciągnął głęboko powietrze.

– Prokurator generalny i FBI są zdania, że jesteś uwikłany w sześć morderstw.

Oliver się uśmiechnął.

– To jakiś żart.

– Czyżby? Oni tutaj jadą. Uważają, że to ty zabiłeś Chloe Houston i...

Oliver zbladł.

– Co?

– Ja wiem... to szaleństwo. Z tego, co mi mówiono, wszystkie zaznania są przypadkowe. Jestem pewien, że potrafisz wyjaśnić, gdzie byłeś tej nocy, kiedy umarła ta dziewczyna.

Oliver milczał.

Peter Tager czekał.

– Oliverze, możesz to wyjaśnić, prawda?

Oliver przełknął ślinę.

– Nie. Nie mogę.

– MUSISZ.

Oliver powiedział ponuro:

– Peter, chcę zostać sam.

Peter Tager poszedł zobaczyć się z senatorem Davisem na Kapitolu.

– Cóż to jest takie pilne, Peter?

– To... to chodzi o prezydenta.

– Słucham.

– Prokurator generalny i FBI uważają, że Oliver jest mordercą.

Senator Davis siedział, wpatrując się w Tagera.

– O czym ty, u diabła, mówisz?

– Oni są przekonani, że Oliver popełnił kilka morderstw. Dostałem poufną informację od przyjaciela z FBI.

Tager przedstawił senatorowi Davisowi dowody.

Kiedy skończył, Davis powiedział wolno:

– A to głupi sukinsyn! Czy ty wiesz, co to znaczy?

– Tak, proszę pana. To znaczy, że Oliver...

– Pieprzę Olivera. Poświęciłem wiele lat, żeby go ulokować tam, gdzie jest mi potrzebny. Nie obchodzi mnie, co się z nim stanie. Ja o wszystkim decyduję, Peter. Ja mam władzę i nie mam zamiaru pozwolić, żeby Oliver przez swoją głupotę mnie jej pozbawił. Nie pozwolę nikomu, żeby mi ją odebrał.

– Nie rozumiem, co pan może...

– Powiedziałaś, że mają tylko poszlaki?

– Właśnie. Mówiono mi, że nie mają niepodważalnych dowodów. Ale on nie ma alibi.

– Gdzie teraz jest prezydent?

– W Gabinetce Ovalnym.

– Mam dla niego kilka dobrych wiadomości – powiedział senator Todd Davis.

Senator Davis siedział naprzeciw Olivera w Gabinetce Ovalnym.

– Słyszałem kilka bardzo niepokojących rzeczy, Oliverze. Oczywiście jest to obłąkany pomysł. Nie wiem, jak to możliwe, żeby ktoś mógł pomyśleć, że ty...

– Ja także tego nie pojmuję. Nie zrobiłem nic złego, Todd.

– Jestem pewny, że nie zrobiłeś. Ale jeżeli padnie jedno słowo o tym, że byłeś podejrzany o tak straszne zbrodnie, no cóż, chyba rozumiesz, jak to wpłynie na piastowany przez ciebie urząd, prawda?

– Oczywiście, ale...

– Jesteś zbyt ważny, by pozwolić, aby coś takiego ci się przydarzyło. Ten urząd panuje nad światem, Oliverze. Nie chcesz chyba z niego zrezygnować?

– Todd, nie jestem niczemu winien.

– Ale oni myślą, że jesteś. Powiedziano mi, że nie masz alibi na ten wieczór, kiedy została zamordowana Chloe Houston.

Na chwilę zapadła cisza.

– Nie.

Senator Davis uśmiechnął się.

– Co się stało z twoją pamięcią, synu? Tego wieczora byłeś ze mną. Cały wieczór spędziliśmy razem.

Oliver patrzył zmieszany na Todda Davisa.

– Co?

– Właśnie! Ja jestem twoim alibi. Nikt nie ośmieli się kwestionować mojego słowa. Nikt. Ja cię ocalę, Oliverze.

Zapadła długa cisza.

– Czego żądasz w zamian, Todd? – zapytał Oliver.

– Zaczniemy od bliskowschodniej konferencji pokojowej. Cofniesz obietnicę. Potem porozmawiamy. Mam dla nas wielkie plany. Nie pozwolimy, żeby cokolwiek nam je popsulo.

Oliver powiedział:

– Ruszam z miejsca ze sprawą konferencji pokojowej.

Senator Davis zmrużył oczy.

– Co powiedziałeś?

– Zdecydowałem się ruszyć z tym z miejsca. Rozumiesz, ważne jest nie to, jak długo prezydent pozostaje na swym urzędzie, Todd, tylko to, co robi, kiedy go piastuje.

Twarz senatora Davisa powoli nabiegła krwią.

– Czy ty wiesz, co robisz?

– Tak.

Davis pochylił się nad biurkiem ku Oliverowi.

– Nie wydaje mi się. Oni tu jadą, żeby cię oskarżyć o morderstwo, Oliverze. Gdzie będziesz zawierał swoje cholerne układy? W więzieniu? Poświęciłeś swoje życie, ty głupi...

Z interkomu rozległ się głos:

– Panie prezydencie, jest kilka osób, które chcą się z panem widzieć. Prokurator generalny pani Gatlin, pan Brandon z FBI, prezes Sądu Najwyższego Graves i...

– Poproś ich.

Senator Davis powiedział rozwścieczony:

– Wygląda na to, że powinienem się ograniczyć do oceniania koni. Popełniłem wielki błąd, jeśli chodzi o ciebie, Oliverze. Ale teraz ty popełniłeś największy błąd swego życia. Zniszczę cię.

Drzwi się otworzyły i weszła: prokurator generalny pani Gatlin, a za nią Brandon, sędzia Graves i Bergstrom.

Sędzia Graves powiedział:

– Witam, senatorze Davis...

Todd Davis uklonił się oschle i wyszedł wielkimi krokami z pokoju.

Barbara Gatlin zamknęła za nim drzwi. Podeszła do biurka.

– Panie prezydencie, to jest wysoce żenujące, ale mam nadzieję, że pan zrozumie. Musimy panu zadać kilka pytań.

Oliver śmiało patrzył im w oczy.

– Powiedziano mi, dlaczego państwo tu jesteście. Oczywiście, nie mam nic wspólnego z żadnym z tych zgonów.

– Jestem pewien, że nie, odetchnęliśmy słysząc pańskie słowa – powiedział Scott Brandon – i zapewniam pana, że nikt z nas naprawdę nie wierzy, że pan mógłby być zamieszany... Ale oskarżenie zostało... i nie mamy wyboru, musimy je rozpatrzyć.

– Rozumiem.

– Panie prezydencie, czy zażywał pan kiedykolwiek narkotyk o nazwie superekstaza?

– Nie.

Wszyscy popatrzyli po sobie.

– Panie prezydencie, gdyby pan mógł nam powiedzieć, gdzie pan był piętnastego października wieczorem, kiedy zmarła Chloe Houston.

Zapadła cisza.

– Panie prezydencie?

– Przepraszam. Nie mogę.

– Ale z pewnością pamięta pan, gdzie pan był albo co pan robił owego wieczoru.

Milczenie.

– Panie prezydencie?

– Ja... ja nie mogę teraz zebrać myśli. Proszę przyjść później.

– Kiedy później? – zapytał Bergstrom.

– O ósmej.

Oliver patrzył, jak wychodzą. Wstał i wolno wszedł do małego saloniku, gdzie przy biurku pracowała Jan.

– Jan... ja muszę ci się do czegoś przyznać.

Senator Davis był wściekły. „Jak mogłem być taki głupi? Wybrałem niewłaściwego człowieka. On próbuje zniszczyć wszystko, na co pracowałem. Ja mu pokażę, co się staje z ludźmi, którzy próbują mnie przechytrzyć”. – Długo siedział przy biurku zastanawiając się, co zrobić. W końcu podniósł słuchawkę i nakręcił numer.

– Panno Stewart, mówiła pani, że bym zadzwonił, gdy będę miał coś jeszcze dla pani.

– Słucham, senatorze.

– Pani pozwoli, że powiem, czego żądam. Od tej chwili oczekuję pełnego poparcia „Tribune” – poparcia w kampanii, żarliwych artykułów wstępnych, wszystkiego.

– A co otrzymam w zamian?

– Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pani prokurator generalny ma go aresztować za całą serię morderstw.

Usłyszał, jak Leslie Stewart gwałtownie łapie oddech.

– Proszę mówić dalej.

Leslie Stewart mówiła tak szybko, że Matt Baker nie rozumiał ani słowa.

– Na litość boską, uspokój się – powiedział. – Co chcesz mi powiedzieć?

– Prezydent! Mamy go, Matt! Właśnie rozmawiałam z senatorem Toddem Davisem. Prezes Sądu Najwyższego, komendant policji, dyrektor FBI i pani prokurator generalny Stanów Zjednoczonych są w tej chwili w gabinecie prezydenta z nakazem aresztowania pod zarzutem morderstwa. Jest przeciw niemu cały stos dowodów, Matt, a on nie ma alibi. To będzie najśłynniejsza historia tego przeklętego wieku!

– Nie możemy tego drukować.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

– O co ci chodzi?

– Leslie, to zbyt poważne oskarżenie, aby można je było uważać za całkowicie pewne... to znaczy trzeba te fakty sprawdzić, sprawdzić i jeszcze raz sprawdzić...

– I będziemy tak po raz enty sprawdzać, aż ukaże się na ten temat artykuł wstępny w „Washington Post”! Nie, dziękuję. Tym razem nie mam zamiaru zmarnować okazji.

– Nie możesz oskarżać prezydenta Stanów Zjednoczonych o morderstwo bez...

Leslie uśmiechnęła się.

– Nie mam takiego zamiaru, Matt. Wszystko, co musimy zrobić, to napisać, że jest podstawa do jego aresztowania. To wystarczy, żeby go zniszczyć.

– Senator Davis...

– ...porzuca swojego zięcia. On wierzy, że prezydent jest winny. Powiedział mi to.

– To nie wystarczy. Najpierw to zweryfikujemy i...

– Z kim?... z Katherine Graham? Postradałeś zmysły? Drukujemy to teraz albo zaprzepścimy okazję.

– Nie mogę ci na to pozwolić bez zweryfikowania wszystkiego...

– Jak ci się zdaje, do kogo mówisz? To jest moja gazeta i zrobię z nią wszystko, co mi się podoba.

Matt Baker wstał.

– To jest brak rozwagi. Nie pozwolę żadnemu z moich ludzi napisać czegokolwiek na ten temat.

– Nie muszą. Ja sama napiszę.

– Leslie, jeśli to zrobisz... odejdę... Na dobre.

– Nie odejdiesz, Matt. Ty i ja podzielimy się nagrodą Pulitzera. – Patrzyła, jak Matt Baker odwraca się i wychodzi z gabinetu. – Wrócisz, Matt.

Leslie nacisnęła guzik interkomu.

– Niech Zoltaire tu przyjdzie.

Popatrzyła na niego i powiedziała:

– Chcę poznać mój horoskop na najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

– Bardzo proszę, panno Stewart. Będę szczęśliwy mogąc to zrobić.

Zoltaire wyjął małą efemerydę, astrologiczną biblię, i otworzył ją. Przez chwilę badał układ gwiazd i planet i oczy mu się rozszerzyły.

– Co tam jest?

Zoltaire podniósł wzrok.

– Hm... dzieje się coś bardzo ważnego – wskazał na tablice efemeryd. – Proszę spojrzeć. Mars będzie przechodził przez pani dziewiąty dom w ciągu trzech dni, zarysowując kwadrat dla...

– Nieważne – przerwała Leslie zniecierpliwiona. – Niech pan mi powie coś o tym pościgu.

Zamrugął oczami.

– Pościgu. Ach tak. – Zajrzał znów do książki. – Dzieje się coś niezwykle ważnego. Jest pani w centrum tego zdarzenia. Będzie pani jeszcze bardziej sławna niż obecnie, panno Stewart. Cały świat pozna pani imię.

Leslie ogarnęło uczucie ogromnej euforii. Wydawało jej się, że jest na rozdaniu nagród i spiker mówi: „A teraz laureatka tegorocznej nagrody Pulitzera za najważniejszy reportaż w historii prasy. Otrzymuje ją panna Leslie Stewart”. Powitano ją owacją na stojąco i ogłuszającym rykiem.

– Panno Stewart...

Leslie otrząsnęła się z marzeń.

– Czy życzy sobie pani jeszcze czegoś?

– Nie. Dziękuję, Zoltaire. Wystarczy.

Tego samego dnia o siódmej wieczorem Leslie patrzyła na korektę swego artykułu. Tytuł brzmiał: „Nakaz sądowy aresztowania prezydenta Russella oskarżonego o morderstwo. Prezydent był także przesłuchiwany w związku z dochodzeniem prowadzonym w sprawie sześciu zabójstw”.

Leslie przeczytała pobieżnie tekst pod nagłówkiem i odwróciła się do Lyle’a Bannistera, szefa redakcji.

– Niech pan to drukuje. Będzie to wydanie nadzwyczajne. Chcę, żeby dotarło na ulice w ciągu godziny. A WTE może w tym samym czasie puścić to na antenę.

Lyle Bannister zawahał się.

– Nie sądzi pani, że Matt Baker powinien rzucić okiem na...

– To nie jego gazeta, tylko moja. Proszę to drukować. Natychmiast.

– Tak, proszę pani. – Sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na biurku Leslie i nakręcił numer.

– Zaczynamy.

Tego samego wieczoru o wpół do ósmej Barbara Gatlin i pozostali przygotowywali się do powrotu do Białego Domu. Barbara Gatlin powiedziała przygnębiona:

– Mam nadzieję w Bogu, że użycie tego nie będzie konieczne, ale po prostu trzeba było to przygotować. Przyniosłam nakaz aresztowania prezydenta.

Trzydzieści minut później sekretarka Olivera powiedziała:

– Pani prokurator generalna i inni są tutaj.

– Wpuść ich.

Oliver patrzył z pobladłą twarzą, jak wchodzi do gabinetu. Jan była przy nim, ścisnęła go mocno za rękę.

Barbara Gatlin powiedziała:

– Czy jest pan teraz gotów odpowiedzieć na nasze pytania, panie prezydencie?

Oliver skinął głową.

– Tak.

– Panie prezydencie, czy Chloe Houston miała się z panem spotkać piętnastego października?

– Tak.

– I widział się pan z nią?

– Nie. Musiałem odwołać to spotkanie.

Telefon zadzwonił tuż przed trzecią.

– Kochanie, to ja. Czuję się taka samotna bez ciebie. Jestem w hotelu Maryland. Siedzę koło basenu, naga.

– No cóż, będziemy musieli coś z tym zrobić.

– Kiedy będziesz mógł się wyrwać?

– Przyjadę za godzinę.

Oliver odwrócił się i popatrzył w oczy swym gościom.

– Jeżeli to, co wam powiem, wyjdzie kiedykolwiek poza ściany tego gabinetu, wyrządzi to niepowetowaną szkodę tej prezydenturze i naszym stosunkom z pewnym krajem. Robię to z największym bólem serca, ale nie mam wyboru.

Kiedy cała grupa patrzyła oniemiała ze zdumienia, Oliver podszedł do drzwi prowadzących do małego pokoju i otworzył je. Na progu ukazała się Sylva Picone.

– To jest Sylva Picone, żona ambasadora Włoch. Piętnastego pani Picone i ja byliśmy w hotelu Maryland od czwartej po południu do drugiej nad ranem. Nie wiem absolutnie nic o morderstwie Chloe Houston ani żadnym z pozostałych zgonów.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Dana weszła do gabinetu Toma Hawkinsa.

– Tom, przyszło mi coś do głowy... Zanim Frank został zamordowany, udał się do domu Carla Gorman, recepcjonisty z hotelu Monroe Arms. Gorman zginął przypuszczalnie w wypadku podczas połowu ryb na jeziorze. Mieszkał z siostrą. Chciałabym wziąć ze sobą kilku ludzi i pójść tam, żeby zrobić małą wstawkę na ten temat do wiadomości wieczornych o dziesiątej.

– Uważasz, że to nie był przypadkowy wypadek z tą łódką?

– Nie. Za dużo zbiegów okoliczności.

Tom Hawkins zamyślił się na chwilę.

– Dobra. Załatwię to.

– Dzięki. Tu jest ten adres. Spotkam się z kamerzystami na miejscu. Wpadnę do domu, żeby się przebrać.

Kiedy Dana weszła do mieszkania, odniosła nagle wrażenie, że coś jest nie tak. Było to uczucie, które poznała w Sarajewie – jakieś ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Ktoś tu był. Wolno przeszła przez całe mieszkanie, ostrożnie sprawdzając szafy. Wszystko było w porządku. „To tylko moja wyobraźnia” – mówiła sobie. Ale sama w to nie wierzyła.

Gdy Dana zajechała przed dom, w którym mieszkała siostra Carla Gorman, wóz transmisyjny już był na miejscu, stał zaparkowany na tej samej ulicy. Był to ENG, ogromna, kryta ciężarówka z wielką anteną na dachu i wymyślną elektroniczną aparaturą wewnątrz. Czekali na Danę operator dźwięku Andrew Wright i kamerzysta Vernon Mills.

– Gdzie będziemy kręcić ten wywiad? – zapytał Mills.

– Chciałabym to zrobić w środku. Zawołam was, kiedy będziemy gotowe.

– Dobrze.

Dana podeszła do frontowych drzwi i zapukała. Otworzyła Marianne Gorman.

– Słucham.

– Jestem...

– Och! Ja wiem, kim pani jest. Widziałam panią w telewizji.

– Słusznie – powiedziała Dana. – Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

Marianne Gorman zawahała się.

– Tak. Proszę, niech pani wejdzie.

Dana weszła za nią do saloniku.

Marianne Gorman wskazała jej krzesło.

– Chodzi o mojego brata, prawda? Został zamordowany. Wiem o tym.

– Kto go zabił?

Marianne Gorman uciekła spojrzeniem.

– Nie wiem.

– Czy był tu u pani Frank Lonergan?

Kobieta zmrużyła oczy.

– Oszukał mnie. Powiedziałam mu, gdzie może znaleźć mojego brata, i... – Oczy Marianne wypełniły się łzami. – Carl nie żyje.

– O czym chciał rozmawiać z pani bratem Frank Lonergan?

– Powiedział, że jest z urzędu skarbowego.

Dana siedziała przez chwilę, obserwując Marianne Gorman.

– Czy zgodzi się pani, żebym przeprowadziła z panią krótki wywiad? Może pani powiedzieć tylko kilka słów o morderstwie swego brata i co pani myśli na temat zbrodni popełnianych w tym mieście.

Marianne Gorman skinęła potakująco głową.

– Chyba to będzie w porządku.

– Dziękuję. – Dana podeszła do frontowych drzwi, otworzyła je i pomachała ręką do Vernona Millsa. Mills podniósł z ziemi kamerę i ruszył w kierunku domu. Za nim szedł Andrew Wright.

– Nigdy dotąd nie robiłam czegoś takiego – zaniepokoiła się Marianne Gorman.

– Nie ma się czym denerwować. To nam zajmie tylko kilka minut.

Vernon wszedł z kamerą do saloniku.

– Gdzie pani chce kręcić?

– Tutaj, w tym saloniku – wskazała głową róg pokoju. – Kamerę możesz ustawić tam.

Vernon ustawił kamerę, po czym znów podszedł do Dany i przypiął mały mikrofon do żakietu każdej z kobiet.

– Może pani go włączyć, kiedy pani będzie gotowa.

Marianne Gorman zawołała:

– Nie! Proszę zaczekać! Przepraszam, nie... nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego? – zapytała Dana.

– To jest... to jest niebezpieczne. Czy nie mogłabym... czy nie mogłabym porozmawiać tylko z panią?

– Dobrze. – Dana popatrzyła na Vernona i Wrighta. – Zostawcie kamerę tu, gdzie jest. Zawołam was.

Vernon skinął głową.

– Będziemy w samochodzie.

Dana odwróciła się do Marianne Gorman.

– Dlaczego pokazanie się w telewizji jest dla pani niebezpieczne?

– Nie chcę, żeby oni mnie widzieli – odpowiedziała Marianne niechętnie.

– Nie chce pani, żeby kto panią zobaczył?

Marianne przełknęła ślinę.

– Carl zrobił coś, czego nie powinien był zrobić. Dlatego został zabity. I ci ludzie, którzy go zabili, będą próbowali zabić i mnie. – Drżała.

– Co takiego zrobił Carl?

– O mój Boże – jęknęła Marianne. – Błagałam go, żeby tego nie robił.

– Żeby czego nie robił?

– On... on napisał szantażujący list.

Dana popatrzyła zdziwiona.

– Szantażujący list?

– Tak. Proszę mi wierzyć, Carl był dobrym człowiekiem. Tylko po prostu lubił... miał kosztowne upodobania i przy swojej pensji nie mógł sobie pozwolić na takie życie, o jakim marzył. Nie mogłam go powstrzymać. Został zamordowany przez ten list. Wiem o tym. Odnaleźli go, a teraz wiedzą, gdzie ja jestem. Zabiją mnie. – Szlochała. – Nie wiem... nie wiem, co mam robić.

– Proszę mi powiedzieć o tym liście.

Marianne Gorman zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Mój brat wyjeżdżał na urlop. Zapomniał o marynarce, którą chciał ze sobą zabrać, i wrócił po nią do holu. Wziął marynarkę i już siedział w garażu w swoim samochodzie, kiedy otworzyły się drzwi prywatnej windy, należącej do Apartamentu Królewskiego. Carl powiedział mi, że zobaczył, jak wysiada z niej jakiś mężczyzna. Jego widok bardzo zdziwił Carla. A jeszcze bardziej go zdziwiło, kiedy ten mężczyzna wrócił do windy i wytarł tam ślady swoich palców. Carl nie mógł pojąć, co się dzieje. A potem... następnego dnia przeczytał o zamordowaniu tej biednej dziewczyny i zrozumiał, że to ten mężczyzna ją zabił. – Zawahała się. – To właśnie wtedy wysłał ten list do Białego Domu.

– Do Białego Domu? – zapytała wolno Dana.

– Tak.

– Do kogo był ten list?

– Do mężczyzny, którego widział w garażu. Wie pani... tego z opaską na oku. Do Petera Tagera.

Rozdział dwudziesty drugi

Przez ściany gabinetu słyszał odgłosy ruchu ulicznego przed Białym Domem na Pennsylvania Avenue i znów uświadomił sobie, gdzie jest. Odtworzył w pamięci wszystko, co się wydarzyło, i z zadowoleniem pomyślał, że jest bezpieczny. Oliver Russell miał zostać aresztowany za morderstwa, których nie popełnił, a Melvin Wicks, wiceprezydent, miał zostać prezydentem. Senator Davis nie miałby żadnych problemów z kontrolowaniem wiceprezydenta Wicksa. „I nie ma nic, co by wskazywało na jakieś moje powiązania z któryś z tych morderstw” – pomyślał Tager.

Tego wieczoru miało się odbyć spotkanie modlitewne i Peter Tager niecierpliwie na nie czekał. Ci, którzy na nie przychodzili, z przyjemnością słuchali, jak mówił o religii i władzy.

Peter Tager zaczął się interesować dziewczynkami, kiedy miał czternaście lat. Bóg obdarzył go wyjątkowo silnym libido i Peter bał się, że strata oka uczyni go nieatrakcyjnym dla płci przeciwnej. Stało się inaczej. Dziewczęta uznały jego opaskę na oku za coś intrygującego. W dodatku Bóg wyposażył Petera w dar przekonywania, dzięki czemu potrafił oczarować nieśmiałe młode dziewczęta tak, że godziły się przyjmować jego zaproszenia na tylne siedzenia samochodów, do stodół i do łóżka. Niestety, jedna z nich zaszła z nim w ciążę i był zmuszony z nią się ożenić. Urodziła mu dwójkę dzieci. Obawiał się, że rodzina stanie się dlań uciążliwym brzemieniem, będzie go krępować, ale okazało się, że jest cudownym parawanem dla jego skoków w bok. Poważnie się zastanawiał nad tym, czy nie zostać pastorem, ale właśnie wtedy poznał senatora Todda Davisa i jego życie się zmieniło. Znalazł nowe, większe forum. Politykę.

Na początku nie miał żadnych problemów ze swymi sekretnymi znajomościami. Potem jakiś przyjaciel dał mu narkotyk o nazwie superekstaza i Peter zażył go wraz z Lizą Burnette, która była członkiem kościoła we Frankfort. Narkotyk jej zaszkodził i dziewczyna umarła. Znalaziono jej ciało w rzece Kentucky.

Następny nieszczęśliwy wypadek wydarzył się, kiedy Miriam Friedland, sekretarka Olivera Russella, zapadła w śpiączkę. „Nie moja wina” – pomyślał Peter Tager. Jemu nie

zaszkodził narkotyki. Miriam widocznie już była pod działaniem zbyt wielu innych narkotyków.

Potem, oczywiście, była ta biedna Chloe Houston. Natknął się na nią na korytarzu Białego Domu, gdzie szukała damskiej toalety.

Od razu go rozpoznała i była pod wrażeniem.

– Pan jest Peter Tager! Ciągle widuję pana w telewizji.

– Jestem zachwycony. Mogę ci w czymś pomóc?

– Szukam damskiej toalety. – Była młoda i bardzo ładna.

– Nie ma damskich toalet w Białym Domu, panienko.

– O Boże!

– Myślę, że mogę ci pomóc – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Chodź ze mną. – Zaprowadził ją po schodach na górę, do jakiejś prywatnej łazienki, i zaczął na zewnątrz. Kiedy wyszła, zapytał: – Czy zwiedzasz Biały Dom?

– Tak.

– Mógłbym ci pokazać prawdziwy Biały Dom. Pozwolisz mi? Chciałabyś? – Czuł, że dziewczyna go pociąga.

– Tak... chciałabym, na pewno... jeśli to nie sprawi zbyt wielkiego kłopotu.

– Dla kogoś tak ślicznego jak ty? Żaden kłopot. Zaczniemy od kolacji dziś wieczorem.

Uśmiechnęła się.

– To brzmi podniecająco.

– Obiecuję, że takie będzie. Tylko nie wolno ci mówić nikomu o naszym spotkaniu. To nasza tajemnica.

– Nie powiem. Obiecuję.

– Mam dziś wieczór spotkanie na wysokim szczeblu z przedstawicielami rządu rosyjskiego w hotelu Monroe Arms. – Widział, że zrobiło to na niej wrażenie. – Możemy potem zjeść kolację w Apartamencie Królewskim. Może spotkamy się koło siódmej?

Popatrzyła na niego i podniecona skinęła głową.

– Dobrze.

Wytłumaczył jej, co ma zrobić, żeby się dostać do tego apartamentu.

– Nie będzie żadnego problemu. Po prostu zadzwoń, żebym wiedział, że jesteś.

Zadzwoiła.

Z początku Chloe Houston była niechętna. Kiedy Peter wziął ją w ramiona, powiedziała:

– Niech pan przestanie. Jestem dziewicą.

To podnieciło go jeszcze bardziej.

– Nie chcę, żebyś zrobiła cokolwiek, na co nie masz ochoty – zapewnił ją. – Po prostu usiądźmy i porozmawiajmy.

– Jest pan rozczarowany?

Ścisnął jej rękę.

– Ależ nie, kochanie.

Wyjął buteleczkę płynu superekstaza i nalał po trochu do dwóch szklanek.

– Co to jest? – zapytała Chloe.

– To dodaje energii. Zdrowie! – Wznosząc toast podniósł do góry swoją szklaneczkę i obserwował, jak Chloe opróżnia swoją do dna.

– Dobrze – powiedziała.

Następne pół godziny spędzili na rozmowie i Peter czekał, aż narkotyk zacznie działać. W końcu przysunął się do Chloe i objął ją. Tym razem się nie opierała.

– Rozbierz się – powiedział.

– Dobrze.

Śledził ją wzrokiem, kiedy wchodziła do łazienki, i zaczął sam się rozbierać. Chloe wyszła po pięciu minutach, naga. Petera podniecił widok jej młodego, dojrzałego już ciała. Była piękna. Chloe położyła się w łóżku obok niego i kochali się. Była niedoświadczona, ale fakt, że była dziewicą, podniecił go jeszcze bardziej, a tego potrzebował.

Nagle Chloe przerwała w połowie rozpoczęte zdanie i usiadła na łóżku. Zakreśliło jej się w głowie.

– Dobrze się czujesz, moja droga?

– Czuję się... czuję się świetnie. Tylko jest mi troszeczkę... – Przytrzymała się przez chwilę krawędzi łóżka. – Zaraz wrócę.

Wstała. Peter widział, jak się potyka; upadła i rozcięła sobie głowę o ostry narożnik metalowego stolika.

– Chloe! – Wskoczył z łóżka i szybko ukląkł obok niej.

Nie czuł pulsu. „O Boże – pomyślał. – Jak mogłeś mi zrobić coś takiego? To nie była moja wina. Ona się poślizgnęła”.

Rozejrzał się dookoła. „Nie mogą znaleźć żadnych śladów mojej bytności w tym apartamencie”. Szybko się ubrał, wszedł do łazienki, zmoczył ręcznik i zaczął wycierać wszystkie miejsca, których mógł dotknąć. Podniósł torebkę Chloe, rozejrzał się jeszcze raz dookoła, żeby się upewnić, że nie pozostały żadne ślady jego obecności, i zjechał windą do garażu. Ostatnią rzeczą, jaka mu pozostała do zrobienia, było wytarcie odcisków palców na guziczkach w windzie.

Kiedy się zorientował, że Paul Yerby może stanowić dla niego zagrożenie, użył swoich znajomości, żeby się go pozbyć. Teraz nikt nie mógł skojarzyć Tagera ze śmiercią Chloe.

I wtedy przyszedł list od szantażysty. Carl Gorman, pracownik hotelowy, widział go. Peter wysłał Sime'a, żeby się pozbyć Gormana. Powiedział, że trzeba to zrobić, aby chronić prezydenta.

To powinno położyć kres kłopotom.

Ale teraz Frank Lonergan zaczął zadawać pytania i trzeba było koniecznie pozbyć się jego także. W dodatku pojawiła się wścibska reporterka, z którą trzeba było też coś zrobić.

Tak więc pozostały jedynie dwa zagrożenia: Marianne Gorman i Dana Evans.

I Sime był w drodze, żeby zabić obie.

Rozdział dwudziesty trzeci

– Wie pani... ten z opaską na oku. Peter Tager – powtórzyła Marianne Gorman.

Dana była zaskoczona.

– Jest pani pewna?

– No, wie pani, trudno nie rozpoznać kogoś, kto tak wygląda, prawda?

– Muszę skorzystać z telefonu.

Dana podbiegła do telefonu i nakreśliła numer Matta Bakera. Odebrała jego sekretarka.

– Gabinet pana Bakera.

– Tu Dana. Muszę z nim mówić. To pilne.

– Proszę się nie rozłączać.

Po chwili odezwał się Matt Baker.

– Dana... stało się coś złego?

Nabrała głęboko powietrza.

– Właśnie się dowiedziałam, kto był z Chloe, kiedy umarła.

– Wiemy, kto to był. To był...

– Peter Tager.

– Co?! – krzyknął.

– Jestem z siostrą Carla Gorman, tego recepcjonisty, który został zamordowany. Carl Gorman zobaczył Tagera wycierającego swoje odciski palców w windzie, w hotelowym garażu, tej nocy, kiedy umarła Chloe Houston. Gorman wysłał do Tagera list, grożąc mu szantażem, i myślę, że to Tager go zamordował. Mam tutaj kamerzystów. Chcesz, żebym weszła z tym na antenę?

– Nie rób jeszcze nic! – rozkazał Matt. – Zajmę się tym. Zadzwoń za dziesięć minut.

Z trzaskiem cisnął słuchawkę i pobiegł do White Tower. Leslie była u siebie.

– Leslie, nie możesz wydrukować...

Odwróciła się i podniosła do góry makietę tytułu: **NAKAZ SĄDOWY
ARESZTOWANIA PREZYDENTA RUSSELLA OSKARŻONEGO O MORDERSTWO.**

– Spójrz na to, Matt. – Mówiła głosem drżącym z podniecenia.

– Leslie... mam dla ciebie wiadomość. Jest...

– To jest ta wiadomość, która była mi potrzebna. – Pokiwała głową z zadowoloną miną. – Powiedziałam ci, że wrócisz. Nie mógłbyś pozostawać z dala, prawda, Matt? Za daleką byś miał do mnie drogę. Jestem ci potrzebna. Zawsze będę ci potrzebna.

Stał tam, patrzył na nią i zastanawiał się: Co takiego się stało, że tak się zmieniła. Jeszcze nie jest za późno, żeby ją ocalić.

– Leslie...

– Nie bądź taki zakłopotany tylko dlatego, że popełniłeś błąd – powiedziała Leslie zadowolona z siebie. – Co chciałeś mi powiedzieć?

Matt Baker długo jej się przyglądał.

– Chciałem ci powiedzieć: żegnaj, Leslie.

Patrzyła, jak się odwraca i znika za drzwiami.

Rozdział dwudziesty czwarty

– Co się ze mną stanie? – zapytała Marianne Gorman.

– Proszę się nie martwić – uspokoiła ją Dana. – Będzie pani pod ochroną. – Podjęła szybką decyzję. – Zrobimy wywiad na żywo i prześlę taśmę z nagraniem do FBI. Jak tylko skończymy ten wywiad, zabiorę panią stąd.

Na zewnątrz rozległ się przeraźliwy odgłos gwałtownego hamowania samochodu. Marianne podbiegła do okna.

– O mój Boże!

Dana podeszła do niej.

– Co się dzieje?

Sime Lombardo wysiadał z auta. Spojrzał na dom i ruszył w kierunku drzwi.

Marianne powiedziała jękając się:

– To jest ten... ten... ten drugi mężczyzna, który był tutaj i pytał o Carla tego dnia, kiedy Carl został zabity. Jestem pewna, że miał coś wspólnego z tym morderstwem.

Dana podniosła słuchawkę i pośpiesznie nakręciła numer.

– Gabinet pana Hawkinsa.

– Nadine, muszę z nim mówić, natychmiast.

– Nie ma go. Powinien wrócić za jakieś...

– To daj mi Nate'a Ericksona.

Nate Erickson, asystent Hawkinsa, podszedł do telefonu.

– Dana?

– Nate... potrzebuję pomocy, szybko. Mam wstrząsającą wiadomość. Chcę, żeby mnie wpuścili na antenę na żywo, natychmiast.

– Nie mogę tego zrobić – zaprotestował Erickson. – Tom musiałby to autoryzować.

– Nie ma na to czasu! – wybuchnęła Dana. Przez okno zobaczyła Sime'a Lombardo podchodzącego do frontowych drzwi.

W samochodzie Vernon Mills popatrzył na zegarek.

– Będziemy robili ten wywiad czy nie? Mam randkę.

W domu Dana mówiła:

– To jest sprawa życia lub śmierci, Nate. Musisz mnie wpuścić na żywo. Na litość boską, zrób to teraz. – Cisnęła z trzaskiem słuchawkę, podeszła do telewizora i włączyła go na kanał szósty.

Nadawano jakąś mydlaną operę. Starszy pan rozmawiał z młodą kobietą.

– *Nigdy mnie naprawdę nie rozumiałaś, Kristen, prawda?*

– *Prawda wygląda tak, że rozumiem cię zbyt dobrze. Dlatego chcę rozwodu, George.*

– *Jest ktoś inny?*

Dana wbiegła do sypialni i włączyła tam odbiornik telewizyjny. Sime Lombardo był przy frontowych drzwiach. Zapukał.

– Nie otwieraj – ostrzegła Dana Marianne. – Sprawdziła, czy mikrofon jest włączony. Pukanie do drzwi stało się głośniejsze.

– Wyjdźmy stąd – szepnęła Marianne. – Tylne...

W tym samym momencie z frontowych drzwi posypały się drzazgi i Sime Lombardo wpadł do pokoju. Zamknął za sobą drzwi i popatrzył na kobiety.

– Widzę, moje panie, że mam was obie.

Dana zrozpaczona zerknęła w kierunku telewizora.

– *Jeżeli jest ktoś jeszcze w moim życiu, to twoja wina, George.*

– *Może jestem winien, Kristen.*

Sime Lombardo wyjął z kieszeni półautomatyczny pistolet kaliber 22 i zaczął przykręcać tłumik na lufę.

– Nie! – zawołała Dana. – Nie może pan...

Sime podniósł pistolet.

– Zamknij się. Do sypialni... no, dalej.

– O mój Boże! – mamrotała Marianne.

– Słuchaj – powiedziała Dana. – Możemy...

– Powiedziałem, żebyś się zamknęła. A teraz ruszaj.

Dana spojrzała na telewizor.

– *Zawsze wierzyłem w jeszcze jedną szansę, Kristen. Nie chcę stracić tego, co mamy, co możemy jeszcze mieć.*

Te same głosy dobiegały, jak echo, z telewizora w sypialni. Sime rozkazał:

– Powiedziałem: ruszać się. Skończmy z tym.

Kiedy przerażone kobiety zrobiły krok w kierunku sypialni, zapaliło się nagle czerwone światelko na kamerze stojącej w kącie pokoju... Postacie George'a i Kristen zniknęły z ekranu, a głos komentatora obwieścił:

– Przerwywamy program, żeby przekazać państwu na żywo wstrząsającą historię z dzielnicy Wheaton.

Kiedy opera mydlana zniknęła, na ekranie pojawił się nagle salonik Gormanów. Na pierwszym planie widać było Danę i Marianne, Sime'a zaś w tyle. Sime zatrzymał się zmieszany, widząc siebie na ekranie telewizora.

– Co... co to, u diabła, jest?

W samochodzie transmisyjnym technicy obserwowali nowy obraz, który pojawił się na ekranie.

– Mój Boże – powiedział Vernon Mills. – Lecimy na żywo!

Dana zerknęła na ekran i szeptała bezgłośnie modlitwę. Odwróciła się twarzą do kamery.

– Tu Dana Evans na żywo, z domu Carla Gormana, który został zamordowany parę dni temu. Przeprowadzam wywiad z mężczyzną, który ma kilka informacji o popełnionym przez siebie morderstwie. – Odwróciła się twarzą do Sime'a Lombardo. – A więc... zechce nam pan powiedzieć dokładnie, co się stało?

Lombardo stał jak sparaliżowany, obserwując siebie na ekranie telewizora. Oblizywał wargi.

– Hej! – powiedział.

Z odbiornika telewizyjnego usłyszał, jak mówi: „Hej!”, a potem zobaczył, jak jego postać się przesuwa i odwraca ku Danie.

– Co... co ty, u diabła, robisz? Co to za trik?

– To nie jest trik. Jesteśmy na antenie. Na żywo. Patrz na nas dwa miliony osób.

Jak tylko Lombardo zobaczył swoją postać na ekranie, pośpiesznie schował pistolet do kieszeni.

Dana zerknęła na Marianne Gorman, a potem spojrzała Sime'owi Lombardo prosto w oczy.

– Carla Gormana zamordował Peter Tager, prawda?

Nick Reese był w swoim gabinecie, kiedy jeden z asystentów wpadł do pokoju.

– Szybko! Niech pan na to popatrzy. One są w domu Gormanów. – Przełączył telewizor na kanał szósty i na ekranie rozbłysnął obraz.

– Czy Peter Tager kazał panu zabić Carla Gormana?

– Nie wiem, o czym pani mówi. Niech pani wyłączy ten cholerny telewizor, zanim...

– Zanim co? Zabije nas pan na oczach dwóch milionów ludzi?

– Jezu! – krzyknął Nick Reese. – Sprowadź kilka samochodów patrolowych, szybko!

W Błękitnym Salonie w Białym Domu Oliver i Jan oszołomieni oglądali program WTE.

– Peter? – powiedział Oliver wolno. – Nie mogę w to uwierzyć.

Sekretarka Petera Tagera wpadła do jego gabinetu.

– Panie Tager, myślę, że lepiej będzie, jak pan przełączy telewizor na kanał szósty.

Popatrzyła na niego zdenerwowana i wybiegła. Peter spojrzął na nią, zaintrygowany. Wziął do ręki pilota i nacisnął guzik. Odbiornik telewizyjny ożył.

Dana mówiła:

– ...czy Peter Tager jest także odpowiedzialny za śmierć Chloe Houston?

– Nic o tym nie wiem. Będzie pani musiała zapytać Tagera.

Peter Tager patrzył w telewizor z niedowierzaniem. „To niemożliwe, Bóg nie zrobiłby mi tego!” Poderwał się z krzesła i pobiegł ku drzwiom. „Nie pozwolę, żeby mnie dostali w swoje ręce. Ukryję się!” Nagle się zatrzymał. „Gdzie? Gdzie mogę się ukryć?” Wolno powrócił do swego biurka i opadł na krzesło.

Czekał.

Leslie Stewart zszokowana oglądała wywiad w telewizji. „Peter Tager? Nie! Nie! Nie!” Chwyliła telefon, wybrała numer.

– Lyle, zatrzymaj drukowanie tej historii. To nie może się ukazać! Słyszysz mnie? To...

Usłyszała, jak Lyle mówi:

– Panno Stewart, gazety pół godziny temu trafiły na ulice. Powiedziała pani...

Leslie wolno odłożyła słuchawkę. Spojrzała na tytuł w „Washington Tribune”: NAKAZ SĄDOWY ARESZTOWANIA PREZYDENTA RUSSELLA OSKARŻONEGO O MORDERSTWO.

A potem popatrzyła na wiszącą na ścianie oprawioną pierwszą stronę gazety z tytułem: DEWEY ZWYCIĘŻA TRUMANA.

„Będzie pani jeszcze bardziej sławna niż teraz, panno Stewart. Cały świat pozna pani imię”.

Jutro stanie się pośmiewiskiem całego świata.

W domu Gormanów Sime Lombardo po raz ostatni objął wściekłym spojrzeniem swoją postać na telewizyjnym ekranie i powiedział:

– Zmywam się stąd.

Pobiegł do drzwi frontowych i otworzył je. Pół tuzina wozów policyjnych zatrzymało się z piskiem opon przed domem.

Rozdział dwudziesty piąty

Jeff Connors i Dana czekali na międzynarodowym lotnisku w Dallas na przybycie samolotu, którym miał przylecieć Kemal.

– Ten mały przeszedł piekło – tłumaczyła Dana nerwowo. – Nie jest taki jak inni mali chłopcy. To znaczy... nie bądź zdziwiony, jeśli nie okaże żadnego wzruszenia. – Rozpaczliwie pragnęła, żeby Jeff polubił Kemala.

Jeff rozumiał jej niepokój.

– Nie martw się, kochanie. Jestem pewien, że to cudowny chłopak.

– Leci.

Spojrzeni w górę i obserwowali, jak maleńki punkcik na niebie robi się coraz większy i większy, aż staje się lśniącym 747.

Dana mocno ścisnęła dłoń Jeff a.

Pasażerowie opuszczali samolot. Dana patrzyła z niepokojem, jak wychodzą jeden po drugim. – Gdzie on...

Był. Ubrany w komplet, który Dana kupiła mu w Sarajewie, ze świeżo umytą buzią, zszedł powoli po schodkach i zatrzymał się na widok Dany. Oboje stali tak przez chwilę znieruchomiali, patrząc na siebie. A potem zaczęli biec ku sobie i Dana chwyciła chłopca w ramiona, a on objął ją mocno swoją jedyną rączką.

Oboje płakali.

Wreszcie Dana odzyskała głos i powiedziała:

– Witaj w Ameryce, Kemal.

Kiwnął głową. Nie mógł mówić.

– Kemal, chcę, żebyś poznał mojego przyjaciela. To jest Jeff Connors.

Jeff pochylił się ku chłopcu.

– Cześć, Kemal. Mnóstwo o tobie słyszałem.

Kemal przytulił się do Dany.

– Będziesz ze mną mieszkał – powiedziała Dana. – Chcesz?

Kemal znów kiwnął głową. Nie chciał jej puścić.

Dana spojrzała na zegarek.

– Musimy iść. Robię reportaż z Białego Domu.

To był wspaniały dzień. Niebo miało odcień głębokiego, czystego błękitu, a chłodny wietrzyk wiał od rzeki Potomac.

Stali w Ogrodzie Różanym wraz z trzema tuzinami innych dziennikarzy prasowych i telewizyjnych. Dana skierowała kamerę na prezydenta, który stał na podium z Jan u boku.

Prezydent Oliver Russell mówił:

– Muszę złożyć ważne oświadczenie. W tej chwili trwa spotkanie głów państw Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Libii, Iranu i Syrii, mające na celu przedyskutowanie trwałego traktatu pokojowego z Izraelem. Otrzymałem słówko na ten temat, wiem, że spotkanie przebiega nadzwyczaj pomyślnie i że ten traktat pokojowy powinien zostać podpisany w ciągu paru najbliższych dni. Jest to sprawa największej wagi; Kongres Stanów Zjednoczonych nieprzerwanie wspiera nasze wysiłki. – Oliver zwrócił się do mężczyzny stojącego obok. – Senator Todd Davis.

Senator Davis podszedł do mikrofonu, jak zwykle w swoim białym markowym ubraniu i białym słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Rozpromienionym wzrokiem patrzył na tłum ludzi.

– To prawdziwie historyczny moment w dziejach naszego wielkiego kraju. Jak wiecie, od wielu lat dokładałem starań, żeby zapanował pokój między Izraelem i państwami arabskimi. Było to długie i trudne zadanie, ale teraz, dzięki inicjatywie naszego wspaniałego prezydenta, mogę z satysfakcją powiedzieć, że nasze wysiłki wreszcie przyniosły owoce. – Zwrócił się do Olivera. – Powinniśmy wszyscy pogratulować naszemu drogiemu prezydentowi roli, jaką odegrał, pomagając nam w doprowadzeniu do zakończenia tego...

Dana myślała: „Jedna wojna zbliża się do końca. Może pewnego dnia będziemy mieli świat, w którym dorośli nauczą się rozwiązywać swoje problemy, kierując się miłością, a nie nienawiścią, świat, w którym dzieci będą mogły rosnąć, nie słysząc ohydnych huków bomb i terkotu karabinów maszynowych, bez lęku, że przez takie okrutne wojny zostaną na całe życie kalekami bez rąk albo nóg”.

Odwróciła się, żeby popatrzeć na Kemala, który podniecony szeptał coś do Jeffa. Dana się uśmiechnęła. Jeff jej się oświadczył. Kemal będzie miał ojca. Będą rodziną. „Jak to się stało, że jestem taka szczęśliwa?” – zastanawiała się. Przemówienia dobiegały końca. Kamerzysta przesunął kamerę i dał zbliżenie Dany. Spojrzała prosto w obiektyw.

– Tu Dana Evans dla WTE, Waszyngton, D.C.